

Palimpsest Powstanie



RADOSŁAW WIŚNIEWSKI

Palimpsest Powstanie

„ — Zawołać naszych chłopaków?
— Zawołaj!”

(Edward Stachura, Siekierzada)

WSTĘP

Powstanie warszawskie, mimo upływu 75 lat, wciąż budzi żywe dyskusje i kontrowersje. Szczególnie w ostatniej dekadzie widoczny jest wzrost zainteresowania jego tematyką wykraczający poza środowiska historyków i pasjonatów militariów. Szlak bojowy większości powstańczych oddziałów doczekał się swoich monografii, nakręcono seriale oraz filmy dokumentalne i fabularne z *Miastem '44* na czele, ukazały się komiksy, a symbole Polski Walczącej zagościły na stałe w świadomości polskiego społeczeństwa. Nie ulega wątpliwości, że i w bieżącym 2019 roku na przełomie lipca i sierpnia Polska zostanie zalana rocznicowymi artykułami, okolicznościowymi wywiadami z coraz mniej licznymi świadkami godziny „W” i komentarzami zarówno poważnych, jak i domorosłych historyków. Czy jest w tej sytuacji sens i potrzeba wypuszczania kolejnej publikacji poruszającej problem przebiegu powstania, czego podjął się w książce *Palimpsest Powstanie* Radosław Wiśniewski? Można by zapewne stwierdzić, że takich wydawnictw były już dziesiątki, jeśli nie setki w 2004, 2009 czy 2014 roku. Jednak już pierwsze strony *Palimpsestu* zmuszają do refleksji, że wymyka się on prostemu zaszufladkowaniu. Autor, który wplatając w narrację własne doświadczenia, zadbał o nadanie mu osobistego, unikalnego charakteru, nie poszedł na skróty ścieżkami przetartymi przez autorów wydawnictw popularnych. Zamiast tego zadał sobie trud poznania i przelania na papier prawdziwych historii ludzkich. Historii tak często kryjących się za suchymi słowami opracowań naukowych analizujących działania bojowe w Warszawie, w których na koniec opisu starcia zwięzle wylicza się poległych i rannych, gdzieniegdzie okraszając go jeszcze przymiotnikiem „zacięte”, „bohaterskie”. Czy dzisiaj jesteśmy w stanie w pełni zrozumieć wymiar owego bohaterstwa? Powstanie dla obecnego pokolenia, przyzwyczajonego już do pełnych półek w sklepach, swobodnych podróży po świecie i korzystania z najnowszych osiągnięć techniki, jest doświadczeniem niewyobrażalnym. Radosław Wiśniewski wystrzegł się jednak pułapki patosu, w którą łatwo wpaść historykowi XX-wiecznych dziejów Polski. W jego *Palimpseście* jest poświęcenie, odwaga, patriotyzm wyrażający się czynem, a nie częstą gadaniną, lecz również egoizm, małostkowość i zbrodnicza wręcz głupota. Są postaci powszechnie znane, jak Marek Edelman czy Krystyna Krahelska, ale są i takie, o których trudno znaleźć wzmiankę w najpopularniejszych źródłach pamięci zbiorowej o powstaniu. Godne naśladowania przykłady zachowania i postaw tym bardziej zabłysną na ponurym tle warszawskiej hekatombi, jeśli nie będziemy ich przypisywać spiszowym pomnikom powstańców, lecz ludziom z krwi i kości. Ludziom, którzy w chwili próby postępowali przyzwoicie i odważnie z wyboru, w warunkach przekraczających ich wytrzymałość psychiczną i fizyczną. Takich książek, ukazujących ludzki wymiar powstania warszawskiego, do których z czystym sumieniem można zaliczyć publikację Radosława Wiśniewskiego, nigdy za wiele.

Artur Wodzyński

PROLOG

Było ze czterdzieści lat po wojnie. Postanowiłeś wreszcie pokazać matce, że twój rower to statek kosmiczny „Feniks” z serialu *Zaloga G*¹, że jest zwinny, szybki oraz zwrotny. I był zwinny, szybki oraz zwrotny, ale udawało się to tylko przez chwilę, bowiem najechałeś rowerem na kant studzienki kanalizacyjnej wstającej ponad rozmiękły od wczesnoletniego upału asfalt i twoje drogi z rowerem dramatycznie się rozeszły. To znaczy on stanął, a ty leciutki niczym gołąbeczek pokoju poleciałeś głową naprzód i uderzyłeś twarzą o krawężnik. Niewiele z tego pamiętasz, poza tym, że zachłystywałeś się krwią, a bardziej niż ból czuleś przażenie. Matka podniosła cię najpierw tak jak leżałeś, ale wtedy krew chlusnęła na ziemię. Matka przestraszyła się, więc odwróciła cię twarzą ku słońcu. Tak trzymając cię w ramionach, pobiegła na przelaj przez dwa pasma dzisiejszej alei Sikorskiego w stronę bloków mieszkalnych po drugiej stronie. Zadzwoiła do pierwszych drzwi na parterze. Otworzyła jej starsza kobieta i bez słowa wpuściła do mieszkania, wskazała łazienkę, pomogła obmyć cię z krwi, śliny i łez. Okazało się, że rany są paskudne i brzydkie, ale bardziej powierzchowne, niż można by przypuszczać. Wyglądało na to, że poza złamanym zębem i wywiniętą, zmaltretowaną górną wargą — nie wyniesiesz z tego wypadku trwałych śladów na resztę życia.

— Niech Pani położy chłopczyka na kanapie u męża w pokoju, niech trochę ochłonie — powiedziała starsza pani, która otworzyła drzwi i dodała jeszcze z ciepłym uśmiechem adresowanym do ciebie — do wesela się zagoi...

Wtedy nie rozumiałeś zupełnie, co to znaczy, bo nie za bardzo rozumiałeś sens słowa „wesele”. Wiadomo było tylko tyle, że to jakiś bardzo odległy termin, a ta świadomość nie zadziałała uspokajająco. Mąż starszej pani siedział w głębokim fotelu, przykryty do kolan kocem w kratę, w zaciemnionym, pełnym książek pokoju. Patrzył na ciebie z uśmiechem, kiedy matka kładła cię na szerokim, miękkim łóżku. Jeszcze trochę popłakiwałeś, bo miałeś tylko sześć lat i jeszcze nikt nie zdążył ci powiedzieć, że nie jesteś nieśmiertelny.

— Boli cię? — zapytał cicho mąż starszej pani, patrząc ci w oczy i uśmiechając się przy tym. Nie było w tym uśmiechu nagany, zdziwienia, wyzwania, że chłopaki nie płaczą. Nie dziwił się, że jak boli, to się płacze. — Moi koledzy czasem też płakali, wiesz? Często bywało, że któregoś zraniła kula, odłamek... — westchnął, patrząc na ciebie i nadal uśmiechając się spod krzaczastych brwi, dodał — i wtedy było dużo krwi i bardzo bolało. Było Powstanie. I myśmy mieli po parę lat tak jak Ty, i nosiliśmy pocztę albo meldunki, albo zwykłe wiadomości od ludzi do ludzi. I bywało, że któryś z nas zostawał ranny. I jak bardzo bolało, to płakał czasem... Będą cię uczyli, że słodko i zaszczytnie jest umierać za Ojczyznę, ale wiesz... na pewno nie słodko, na pewno nie słodko... — tutaj starszy człowiek przerwał na chwilę, nabrał w płuca powietrza, nosem nachylił się ku tobie, a ty z tego wszystkiego przestałeś płakać i patrzyłeś na niego szeroko otwartymi oczami.

Nagle nie widziałeś już starszego, siwego pana na fotelu, przykrytego kocem w kratę, ale chłopaka takiego jak ty, w krótkich portkach, z podciągniętymi podkolanówkami, albo odwrotnie — zwiniętymi w kluchę na kostce, umorusanego kurzem, gdzieś na warszawskim podwórku. Namnożyło się tych postaci. Nie ma wokół bloków z wielkiej płyty, bo jeszcze nikt jej nie wymyślił. Jest gorące lato. Płoną wokół domy, wyją nad głowami Stukasy², startujące kilka razy dziennie z niezdożytego w Godzinie „W”³ przez baterię „Kuba”⁴ Okęcia. Starszy pan jest zatem chłopcem i próbuje się bawić tak jak ty czterdzie-

¹Zaloga G (*jap.* Kagaku ninja tai Gatchaman) — japoński serial anime o tematyce science-fiction emitowany początkowo w latach 1972–1974, w Polsce po raz pierwszy emitowany w latach 1980–1981 na antenie TVP i początkowo pod tytułem *Wojna planet*. [przypis edytorski]

²Stukasy — Ju-87 „Stuka” (z niem. *Sturmkampfflugzeug*) — niemiecki bombowiec nurkujący produkowany w latach 1937–1944, używany z powodzeniem przez Luftwaffe wszystkich frontach II wojny światowej. Na ich kadłubach montowano syreny akustyczne, które po wprowadzeniu w lot nurkowały wydawały charakterystyczny ryk o przeraźliwej tonacji. Miało to na celu podkopanie morale bombardowanych żołnierzy wroga. [przypis edytorski]

³Godzina „W” — Kryptonimem tym Komenda Główna AK opatrzyła godzinę rozpoczęcia powstania warszawskiego, tj. godz. 17.00 w dniu 1 sierpnia 1944 r. [przypis edytorski]

⁴„Kuba” — Bateria artylerii „Kuba”, nazwana tak od pseudonimu jej dowódcy, por. Romualda Jakubowskiego, wchodziła w skład 7 Pułku Piechoty Legionów AK „Garluch”. Jego zadaniem było opanowanie na początku powstania lotniska na Okęciu. 1 sierpnia 1944 r. dowódca pułku, mjr Stanisław Babiarski ps. „Wysocki”

ści lat później. Nie przekonuje nikogo, że ma rowerek, który jest jak „Feniks” z *Zalogi G*, bo tej bajki jeszcze nikt nie wymyślił, ale jest może jak Indianin ze szczepu Czarnych Stóp, szybki, zwinny i dzielny. Ale nagle słyszysz z boku wizg, a potem głuche uderzenie, jakby coś twardego uderzało w poduszkę, w puch. Kolega obok zachłystuje się krwią, a matka go niesie bezwładnie zwieszonoego z rąk do pierwszych drzwi na parterze najbliższej kamienicy, gdzie bez słowa otwiera jej obca kobieta i wprowadza do łazienki, żeby przemyć dziecko z krwi, ale po umyciu okazuje się, że rany nie są powierzchowne, a krew nie przestaje płynąć.

— ...oni płakali, bo bolało, to zupełnie normalne i ludzkie... — starszy pan dalej uśmiechał się ciepło, patrząc ci w oczy i jeszcze raz zawiesił głos, jakby chciał się upewnić, że dobrze sobie to wszystko wyobraziłeś — ale potem jakoś przestawali, bo koledzy, czasem gorzej ranni, poparzeni, poszarpani — leżeli obok i patrzyli, a jak oni patrzyli, to i jakoś to płkanie nam przechodziło, że to jednak nie fason.

I oni już byli blisko, może w spojrzeniu starego człowieka, który uśmiechnął się szerzej, przymknął oczy i odchylił się ze spokojem na oparcie fotela, nie przeczuwając nawet, z jaką armią zostawił ciebie na resztę życia.



TRZYMAĆ FASON. BATERIA „KUBA”

Wytyczne mówiły, że raz ogłoszone pogotowie bojowe nie powinno być odwołane. Zebrane w lokalach konspiracyjnych oddziały z wyfasowanym uzbrojeniem, zaopatrzeniem, przygotowanymi służbami w pobliżu celów natarcia będą prawie na pewno trudne do ukrycia, tym bardziej, że przecież to wszystko młodzi ludzie z fantazją niemal ułańską. Zamykają drzwi, legitymują mieszkańców, nawet przeprowadzani przez łączniczki do miejsc koncentracji w małych grupach — rzucają się w oczy. Z drugiej strony pogotowie bojowe nie powinno być utrzymywane dłużej niż dwie doby. Ludzi w lokalach konspiracyjnych trzeba wyżywić, trzeba dać jeść, pić, muszą gdzieś spać. Niemożliwe jest utrzymanie pełnej tajemnicy przy ogłoszeniu pogotowia, odwołaniu i ponownym ogłoszeniu, a tajemnica jest kluczem do zaskoczenia, a zaskoczenie — jedynym sprzymierzeńcem licznych,

ocenił, że akcja wobec silnej obsady niemieckiej nie rokuje szans powodzenia i odwołał natarcie. Rozkaz nie dotarł na czas do baterii „Kuba”, która samotnie uderzyła z podwarszawskiej wsi Zbaraż na Okęcie i została odparta z ciężkimi stratami. [przypis edytorski]

ale słabo uzbrojonych konspiratorów. Uzbrojonych tym gorzej, że latem jeszcze wyeksponowano ze składnic Warszawy za Wisłę około 900 pistoletów maszynowych własnej roboty z amunicją, bo przecież nikt nie brał poważnie pod uwagę włączenia do planu „Burza”⁵ samej Warszawy.

Tymczasem na wieść o tym, że gubernator Warszawy⁶ wydał obwieszczenie nakazujące stawić się ludności cywilnej w dniu 28 lipca do robót fortyfikacyjnych, Komenda Okręgu ogłasza rano tego samego dnia pogotowie bojowe we wszystkich oddziałach. Powinno to oznaczać, że najpóźniej wieczorem dnia następnego, czyli 29 lipca 1944 roku, skoncentrowane oddziały dostaną rozkaz ataku. Skojarzenia między zarządzeniem gubernatora Fischera a branką Wielopolskiego⁷ wydają się oczywiste. Ale ludność Warszawy nie stawiała się do robót, a Niemcy nie zareagowali tak, jak tego można by się spodziewać. W powietrzu czuć, że są w strasznym popłochu, że w maszynie okupacyjnej coś się zaciera. Na pytanie jednego ze sprzedawców, co tak młode panie kupują u niego tyle białych materiałów, odpowiadają podobno, że wojna się kończy, narzeczeni będą wracać i trzeba na śluby się szykować. Pogotowie jednak tego samego dnia, 28 lipca po południu, odwołano. W związku z godziną policyjną było za późno na rozwiązanie koncentracji i faktycznie wszyscy nocowali w kwaterach mobilizacyjnych, w praktyce na podłogach prywatnych mieszkań. W ramach pogotowia oddziały osiągnęły liczebność bliską 80% zaprzysiężonych członków. To było bardzo dużo. Kiedy pogotowie odwołano, oddziały musiały na wypadek nowego pogotowia poszukać nowych miejsc zbiórki, poszukać nowych magazynów zdawanej broni, siłą rzeczy nie mogły być to miejsca wybrane z takim rozmysłem i tak dobrze przygotowane jak te, których wybór i przygotowanie trwało ostatnich kilka miesięcy.

Kiedy dosłownie dwa dni później bez wcześniejszego ogłoszenia pogotowia zapada decyzja o wyznaczeniu godziny „W” na 1 sierpnia, godzinę 17:00, staje się jasne, że wiele oddziałów nie będzie w stanie zebrać się równie szybko i sprawnie jak w czasie pierwszego pogotowia. Ocenia się, że w Godzinie „W” zebrano średnio 50% stanów i wydano około 30% zakonspirowanej broni. Decyzja o wybuchu Powstania zostaje wydana 31 lipca o godzinie 19, jeżeli wziąć pod uwagę, że było to tuż przed godziną policyjną, to na koncentrację pozostawało przedpołudnie 1 sierpnia, mało jak na regularne wojsko, a co dopiero na wojsko podziemne. Gorsze wykonanie koncentracji wynika prawdopodobnie też z tego, że ogłaszanie alarmu i jego odwołanie bywa demobilizujące. Kiedy ten pierwszy alarm okazuje się próbą, myślisz, że ten drugi to raczej też nie będzie na poważnie. Co więcej — wyznaczenie godziny natarcia na 17 jest także zaskoczeniem, ale dla powstańczych dowódców. Przez wiele miesięcy przygotowywano się do uderzenia na umocnione posterunki niemieckie o zmroku lub przed świtem — wtedy, kiedy czujność przeciwnika jest najbardziej osłabiona. Uderzenie w biały dzień na obiekty, które często są umocnione, w sytuacji gdy broń to najczęściej granaty, których zasięg jest mierzony siłą rzutu i nie przekracza z zasady 20–30 metrów, w pełnej widoczności, wobec przytomności nieprzyjaciela — nie jest szczytem marzeń tych, którzy mają na poły bezbronne powstańcze wojsko poprowadzić do szturm.

Szczególnie trudne zadanie Komenda Okręgu AK powierza pułkowi „Garłuch”, który ma w trzech batalionach nominalną siłę 1800 ludzi i ma za zadanie, uderzając wielkim półkolem z Okęcia, Służewca, Rakowa, zając lotnisko na Okęciu i zakłady PZL⁸ przy

⁵„Burza” — Właśc. Akcja „Burza”. Była to operacja AK mająca na celu opanowanie terytorium II Rzeczypospolitej w chwili załamania wojsk niemieckich, ale jeszcze przed wkroczeniem Sowietów, wobec których AK miało wystąpić w roli gospodarza. Akcja objęła znaczne połacie Kresów Wschodnich i centralnej Polski, początkowo jednak wyłączone z niej były większe miasta. [przypis edytorski]

⁶gubernator Warszawy — Ludwig Fischer (1905–1947) — niemiecki prawnik, dygnitarz partii NSDAP, w latach 1939–1945 gubernator dystryktu warszawskiego, stracony w Polsce za zbrodnie wojenne. [przypis edytorski]

⁷branka Wielopolskiego — Tzw. branka Wielopolskiego — potoczne określenie przymusowego poboru do wojska rosyjskiego młodzieży polskiej w 1863 roku. Miała ona na celu rozładowanie politycznego napięcia w Królestwie Kongresowym poprzez usunięcie z jego terenu najbardziej patriotycznego elementu. Zarządzona z inicjatywy namiestnika Aleksandra Wielopolskiego przyniosła jednak skutek odwrotny od zamierzonego, przyspieszając wybuch powstania styczniowego. [przypis edytorski]

⁸PZL — Państwowe Zakłady Lotnicze, założone w 1928 roku, mieściły się początkowo przy ul. Puławskiej. W 1935 r. przeniesiono je na Okęcie, a w 1936 r. na teren Pałucha. W czasie wojny prowadzono w nich remonty silników na potrzeby Luftwaffe. Obecny adres PZL to al. Krakowska 110/114. [przypis edytorski]

ulicy Krakowskiej. Ten pozornie odległy od centrum zdarzeń punkt wydaje się szalenie istotny. Z jednej strony w świetle zamiarów i nadziei Komendy Głównej AK — zajęcie lotniska miało pozwolić na w miarę szybki, niezakłócony przelot Brygady Spadochronowej⁹. Z drugiej — jak pokaże przebieg Powstania — zajęcie lotniska mogłoby znacząco obniżyć aktywność niemieckiego lotnictwa bombowego, które dysponując niewielkimi siłami, dzięki posiadaniu lotniska dosłownie o płot od obiektów, które miało atakować, mogło jednak wykonywać kilkadziesiąt akcji dziennie. Wadze zadań powierzonym pułkowi „Garluch” nie odpowiadał stan uzbrojenia. Dowódca pułku, major Stanisław Babiarz ps. Wysocki¹⁰, jeszcze 1 sierpnia rano udaje się do kwatery głównej komendanta okręgu „Montera”¹¹ i próbuje przekonać go, że jego oddziały nie mają dość odpowiedniego wyposażenia, by nacierać w otwartym w większości terenie na umocnione obiekty, a Okęcie jako lotnisko wojskowe było umocnione, obsadzone m.in. przez baterie działek przeciwlotniczych. Perswazje nic nie dały i rozkaz został podtrzymany.

O godzinie 17:00 Pułk „Garluch”¹² miał wykonać zaskakujące uderzenie na niemieckie pozycje wokół Okęcia. O godzinie 16:00, wobec słabości uzbrojenia swoich żołnierzy, wobec tego, że udaje mu się zebrać nie więcej niż 60–70% stanu oddziałów, wobec tego, że większość żołnierzy ma nacierać w otwartym terenie na umocnionego przeciwnika, wobec czołgów, które przechodzą w pobliżu lokali konspiracyjnych, „Wysocki” wydaje rozkaz o odwołaniu natarcia. Nie wszędzie ten rozkaz ma to większego znaczenia, bo niektóre grupy i oddziały nie zostały skonspirowane po drodze na koncentrację. Większa część Kompanii „Mazur” z batalionu pułku zostaje osaczona w domu numer 175 przy szosie Krakowskiej. Natarcy strzelają do budynku ze wszystkiego co mają, w tym z automatycznych działek przeciwlotniczych, przed którymi osłony nie dają ceglane ściany. Budynek zostaje podpalony. Większość żołnierzy kompanii ginie 1 i 2 sierpnia lub dostaje się do niewoli, co jest równoznaczne z rozstrzelaniem. Do ataku rusza także II batalion pod dowództwem majora Aleksandra Mazura ps. „Zawisza”¹³, ale wobec przewagi nieprzyjaciela „Zawisza” nakazuje wycofać się na pozycje wyjściowe i czekać na dalsze rozkazy. Wieczorem major uda się do dowódcy pułku, przez przypadek wpadnie na niemiecki patrol i zginie.

Pułk miał też swój oddział artylerii polowej o kryptonimie „Anna”, a od swojego dowódcy — porucznika Romualda Jakubowskiego ps. „Kuba”¹⁴ — zwany po prostu Baterią „Kuba”. Nie trzeba dodawać, że bateria nie miała ani jednego działka. Podzielona na trzy plutony, posiada na ponad stu osiemdziesięciu ludzi 6 pistoletów maszynowych, 3 karabiny, kilkadziesiąt sztuk broni krótkiej i czterysta granatów ręcznych. Sam „Kuba” — wedle relacji zebranych przez Stanisława Podlewskiego — nie widział szans powodzenia wykonania zadania, na ostatniej odprawie miał to powiedzieć wprost. Od majora „Wysockiego” usłyszał podobno:

— Panie poruczniku, proszę nie mędrkować, tylko słuchać...

⁹Brygady Spadochronowej — 1. Samodzielna Brygada Spadochronowa, dowodzona przez gen. Stanisława Sosabowskiego, została utworzona w 1941 r. na terenie Wielkiej Brytanii przez rząd polski na uchodźstwie z myślą o wsparciu powszechnego powstania w Polsce z chwilą załamania wojsk niemieckich. Plan zakładał przelot brygady drogą lotniczą na pokładach samolotów dostarczonych przez zachodnich sojuszników. W istniejących w 1944 roku realiach politycznych było to jednak niemożliwe. Wielka Brytania i Stany Zjednoczone nie były zainteresowane realizacją tego planu i wywierały nacisk na rząd polski, aby wyraził on zgodę na użycie brygady na froncie zachodnim, do czego ostatecznie doszło we wrześniu 1944 r. pod Arnhem. [przypis edytorski]

¹⁰major Stanisław Babiarz ps. „Wysocki” (1900–1947) — uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, w okresie międzywojennym podoficer zawodowy, a następnie oficer służby stałej WP. Od 1939 w ZWZ, od 1942 r. dowódca 7 Pułku Piechoty Legionów AK „Garluch”, uczestnik powstania warszawskiego, w którym dowodził VIII samodzielnym rejonem AK Okęcie, zmarł w Buku k. Poznania na gruźlicę. [przypis edytorski]

¹¹„Monter” — Antoni Chruściel ps. „Monter” (1895–1960) — oficer zawodowy WP, w kampanii 1939 roku jako ppłk dypl. dowódca 82 Pułku Piechoty, od 1941 roku Komendant Okręgu Warszawa-Miasto ZWZ (następnie AK). W powstaniu nominalnie dowodził całością sił polskich. Od 1942 pułkownik, 14 września 1944 awansowany do stopnia generała brygady. Po wojnie na emigracji. [przypis edytorski]

¹²„Garluch” — Zob. przyp. 4. [przypis edytorski]

¹³major Aleksander Mazur ps. „Zawisza” (1904–1944) — oficer zawodowy WP, w kampanii 1939 roku walczył w składzie 28 Pułku Strzelców Kaniowskich, od 1940 w ZWZ, od 1942 dowódca II batalionu 7 Pułku Piechoty Legionów AK „Garluch”. Poległ 1 sierpnia w czasie walki w rejonie Okęcia. [przypis edytorski]

¹⁴porucznik Romuald Jakubowski ps. „Kuba” (1918–1944) — harcerz, student Tajnej Politechniki Warszawskiej, żołnierz Okręgu Warszawa AK, w powstaniu warszawskim w stopniu porucznika dowódca baterii artylerii swojego imienia. Poległ 1 sierpnia w natarciu na Okęcie. [przypis edytorski]

Tymczasem rozkaz o odwołaniu ataku w ogóle nie został wysłany do baterii „Kuba”. Na uwagę szefowej łączności zgrupowania, że nie została wysłana łączniczka do porucznika „Kuby”, major „Wysocki” miał rzucić tylko:

— To tacy zapaleńcy i odważni do szaleństwa — nuż im się uda zdobyć lotnisko.

Zatem Bateria „Kuba” miała uderzyć sama, tylko przypadkiem wspierana przez elementy II i III batalionu, które uległy dekonspiracji, albo do których rozkaz o odwołaniu natarcia nie dotarł na czas, nie na tyle szybko, by dowódcy nakazali odwrót. Uderzenie całym pułkiem rozproszyłoby może nieco ogień Niemców, dało jakieś szanse na bezpieczny odskok, bo że natarcie zakończy się niepowodzeniem, było raczej do przewidzenia, świadczyła o tym spóźniona mocno decyzja majora „Wysockiego”. Ale jest za późno, chłopcy wybiegają już kwater, truchtają uliczkami, alejkami, kobiety klękają, robią znaki krzyża, modlą się. Jakiś chłopiec podbiega do kaprała Kazimierza Twardo ps. „Łysy”¹⁵ i prosi:

— Panie, dajcie mi jakąś broń. Chcę bić Niemców.

— Synku, wracaj do mamy!

— Kiedy chcę bić Niemców z wami.

Kpr. „Łysy” (Kazimierz Twardo) wkłada mu w rękę granat-sidolówkę, w biegu pokazuje jak zerwać zawleczkę, odliczyć trzy sekundy ściskając łyżkę i rzucić. Ale zanim ktokolwiek będzie mógł rzucić granat, trzeba przebiec niemal otwarte pole, zaorany ugór bez żadnej zasłony terenowej. Chłopcy rozsypują się z drużynowych kolumnienek w tyralierki i przeskakują pierwszy odcinek dzięki zaskoczeniu, ale Niemcy błyskawicznie orientują się, że nie jest to żadne generalne natarcie. Raczej pomyłka. Bateria „Kuba” koncentruje na sobie cały ogień, strzelają ciężkie karabiny maszynowe, kładąc zapory ogniowe, snajperzy, automatyczne działka przeciwlotnicze, startuje samolot Fi-156 Storch¹⁶ i z jego pokładu ktoś dokłada jeszcze seriami z góry, zza pleców, od strony szosy krakowskiej wyjeżdża jeden (według innych relacji dwa) samochody pancerne i chłopcy dostają też ogień w plecy. „Kuba” co i raz próbuje poderwać ludzi, bo wie, że zaleganie w otwartym polu to śmierć, ale zwraca na siebie uwagę, zostaje trafiony. Odzywają się od czoła natarcia głosy, że dowódca ranny, dawać sanitariuszkę, ale szybko okazuje się, że dowódca już nie żyje. Wkrótce ginie też jego zastępca, podporucznik Tadeusz Jędrzejak pseudonim „Harley”¹⁷. I wtedy podnosi się dowódca pierwszego plutonu, brat „Kuby”, podporucznik Zbigniew Jakubowski ps. „Słoń”¹⁸ i daje głos. Żeby w tej krwawej łaźni wiedzieli, że jest głos, który dowodzi, że walka trwa. Dopiero teraz dociera do wszystkich rozkaz wycofania, że natarcie odwołane. Cofają się jak kto może, ostrzeliwani ze wszystkich stron, niemający czym odpowiedzieć. „Słoń” wraz z grupką kilkunastu ludzi cofa się na Zagościniec, ale tam dostają się pod silny ostrzał od strony alei Lotników i giną. Poszczególne grupy będą krążyły, niektórzy spróbują przeniknąć do Kampinosu, niektórzy na Mokotów, gdzie wielu też dosięgnie śmierć, tylko niecałe dwa miesiące później. Ze stu osiemdziesięciu ludzi Baterii „Kuba” ginie ponad 120, wielu rannych jeszcze następnego dnia dobijają na przedpolu Niemcy.

Przy pożegnaniu z matką „Kuba” miał powiedzieć:

— Pamiętaj matulko, że to wojna, możemy nie powrócić. Nie wolno ci się załamywać, fason trzeba trzymać do końca.

¹⁵kapral Kazimierz Twardo ps. „Łysy” (1912–1995) — żołnierz baterii „Kuba”, uczestnik walk o Okęcie, po wojnie powrócił do Warszawy. [przypis edytorski]

¹⁶samolot Fi-156 Storch — Fieseler Fi 156 „Storch” („Bocian”) — trzyosobowy niemiecki samolot rozpoznawczo-łącznikowy, produkowany od 1935 roku, używany przez Luftwaffe na wszystkich frontach II wojny światowej, uzbrojony w jeden karabin maszynowy MG 15 kal. 7,92 mm. [przypis edytorski]

¹⁷podporucznik Tadeusz Jędrzejak ps. „Harley” (?–1944) — oficer baterii „Kuba”, uczestnik walk o Okęcie, poległ 1 sierpnia. [przypis edytorski]

¹⁸podporucznik Zbigniew Jakubowski ps. „Słoń” (1920–1944) — oficer baterii „Kuba”, brat Romualda Jakubowskiego, poległ 1 sierpnia w natarciu na Okęcie. [przypis edytorski]



ZŁA NOC

Nadchodzi zmierzch i ciężka noc. Żołnierze Pułku „Garłuch” nie bardzo wiedzą, co mają robić. Cofnięci na pozycje wyjściowe, często pod ogniem nieprzyjaciela, nie dostają nowych rozkazów. Grupy żołnierzy domagają się od oficerów jakiegokolwiek decyzji, niektórzy chcą na własną rękę przebijać się w stronę kompleksów leśnych — Lasów Chojnowskich albo Puszczy Kampinoskiej. Pułk „Garłuch”, wskutek braku zdecydowania w ciągu tej nocy i następnego dnia, w zasadzie przestanie istnieć. Luźne ale liczne grupy młodych, częściowo uzbrojonych ludzi wędrujące w różnych kierunkach będą zwracały uwagę tyłowych patroli niemieckich. Będą wylapywani i rozstrzeliwani, część dotrze na Mokotów, część się rozproszy.

To ciężka noc, w której trwają walki, ale trwa też exodus z miasta. Ogólne wrażenie jest takie, że godzina „W” w zasadzie nigdzie nie przynosi jednoznacznego sukcesu. Większość strategicznych i operacyjnych obiektów wyznaczonych do zajęcia pozostaje w rękach niemieckich. Mosty, dworce, duże budynki użyteczności publicznej. Straty powstańców są bardzo ciężkie. Mówi się o ponad dwóch tysiącach zabitych i rannych. Taka rzeź nie powtórzy się w czasie Powstania, jeżeli mowa o skutkach walki w jednostkach liniowych. Bo oczywiście ludność cywilna swój największy koszmar ma dopiero przed sobą. Jeden z historyków Powstania, Jerzy Kirchmayer¹⁹, zarzuci „Monterowi” w powojennych opracowaniach, że planując Godzinę „W” na godzinę 17, rozumował jak przedwojenny połowy dowódca, który chciał rozpoznać przeciwnika walką, ocenić jego położenie, gdzie trzyma się mocno, a gdzie słabo, pod osłoną nocy przegrupować swoje siły i o świcie uderzyć na przeciwnika znowu. Sam „Monter” przyznawał po wojnie, że zamiarem było dozbroić się w obiektach słabo obsadzonych i wzmocnić się przed uderzeniem na obiekty silnie obsadzone. Przy czym dzięki temu rozproszono i tak słabe siły, wyznaczając im setki równorzędnych celów, bez cienia myśli, że raz odparte natarcia nie zostaną wznowione, bo oddziały się rozsypią, wyjdą samowolnie z miasta, nie nawiązując łączności z wyższym dowództwem albo po prostu — jak bateria „Kuba” po pierwszym ataku — przestaną istnieć.

Gorzką ocenę realizacji strategicznych planów dowództwa AK wystawił dowódca garnizonu warszawskiego, świeżo przybyły z Wilna General Stahel²⁰, który w pisany w sierpniu raporcie z walk w Warszawie nawet nie zauważył, że godzina „W” była nakierowana na jakieś strategiczne cele. Píše o rozproszonych atakach na pomniejsze cele, których zamiarem jest zapewne zdobycie broni, amunicji. To by się zgadzało z zamiarem „Montera”.

Z wielu relacji wyłania się obraz chaosu. Wszystko nieźle działa w obrębie jednej dzielnicy, części dzielnicy, tam gdzie działają zwarte oddziały, ale trudno mówić o jakiegokolwiek koordynacji działań między dzielnicami, czy o planowym przegrupowaniu sił. Tej nocy dowodzący obwodem Żoliborz ppłk Mieczysław Niedzielski ps. „Żywiciel”²¹ po stratach poniesionych w godzinie „W” wraz z około 900 swoimi ludźmi, z czego około połowa była uzbrojona — opuszcza miasto i udaje się do Kampinosu, zostawiając jedynie niewielką placówkę na placu Wilsona. Nic o tym nie wie dowódca oddziałów partyzantskich w puszczy, kapitan Józef Krzyczkowski ps. „Szymon”²², który oczekiwał wsparcia z Żoliborza w godzinie „W”, kiedy uderzał na lotnisko połowe na Bielanych. Nie doczekawszy się pomocy od oddziałów warszawskich, przegrupowuje się pod osłoną nocy do kolejnego ataku. Powstańcy uderzą o 4 rano, znowu bez powodzenia, przy czym ciężko ranny zostanie kapitan „Szymon”. Opuszcza miasto samodzielne zgrupowanie kapitana Władysława Nowakowskiego „Serba”²³, próbuje wyjść ze Starego Miasta zgrupowanie

¹⁹Jerzy Kirchmayer (1895–1959) — oficer dyplomowany WP, następnie w ZWZ/AK, współautor planu Akcji „Burza”, po wojnie pozostał w Polsce, prześladowany i więziony w czasach stalinizmu, zrehabilitowany w latach pięćdziesiątych, publikował prace historyczne poruszające tematykę powstania warszawskiego, w których nie stronił od krytyki dowództwa polskiego. [przypis edytorski]

²⁰General Stahel — Reiner Stahel (1892–1955) — niemiecki oficer, zbrodniarz wojenny, między 27 lipca a 24 sierpnia 1944 r. komendant garnizonu Wehrmachtu w Warszawie, uczestniczył w tłumieniu powstania, po wojnie w niewoli sowieckiej, w której zmarł. [przypis edytorski]

²¹ppłk Mieczysław Niedzielski ps. „Żywiciel” (1897–1980) — oficer służby stałej WP, podczas okupacji w ZWZ/AK, w powstaniu w stopniu podpułkownika (od 24 września pułkownika) dowodził oddziałami powstańczymi na Żoliborzu, konsekwentnie odmawiając podjęcia negocjacji z Niemcami aż do 30 września 1944 r., kiedy pod naciskiem Komendy Głównej AK ostatecznie poddał dzielnicę. Po wojnie na emigracji w Stanach Zjednoczonych. [przypis edytorski]

²²kapitan Józef Krzyczkowski ps. „Szymon” (1901–1989) — od 1941 r. w ZWZ/AK, dowódca VIII Rejonu VII Obwodu AK (obejmującego Powiat Warszawski), w powstaniu w stopniu kapitana dowodził grupą „Kampinos”, ciężko ranny w nieudanym ataku na lotnisko na Bielanych. Po wojnie pozostał w kraju. [przypis edytorski]

²³kapitan Władysław Nowakowski „Serb” (1898–1964) — oficer służby stałej WP, kampanię 1939 r. odbył w szeregach 30 DP, w czasie okupacji w NOW, NSZ i AK, w powstaniu dowódca Zgrupowania „Żubr”. Po nieudanych próbach opanowania wyznaczonych obiektów na Marymoncie zgrupowanie wycofało się (na rozkaz ppłk Niedzielskiego) do Kampinosu. Jego oddziały powracały jednak do Warszawy i uczestniczyły w dalszych walkach nie tylko na Marymoncie, ale i na Żoliborzu. [przypis edytorski]

batalionu „Antoni”²⁴ oraz „Wigry”²⁵ pod dowództwem ppłk. Franciszka Rataja ps. „Paweł”²⁶. Bataliony docierają na Wolę i tam zostają zatrzymane. Dowódca obwodu Ochota, ppłk Mieczysław Sokołowski „Grzymała”²⁷, postanawia wyjść z około 700 ludźmi, z których tylko około 100 ma uzbrojenie, w kierunku Lasu Sękocińskiego. Na Ochocie 2 sierpnia zostają tylko dwa punkty oporu — w rejonie Monopolu Tytoniowego²⁸ i w czworoboku ulic Wawelska, Pługa, Milanowskiego i Uniwersytecka. W nocy odpływa z Mokotowa także batalion „Karpaty”²⁹ oraz inne mniejsze oddziały, które poniosły porażkę w godzinie „W” — łącznie około tysiąca ludzi. W sumie tej nocy i następnego dnia opuszcza Warszawę około pięciu tysięcy ludzi. Część z nich — jak zgrupowanie „Żywiciela” czy „Grzymały” — podejmuje próby powrotu do stolicy i zacznie się rozbudowywać, część — jak pułk „Garłuch” — rozproszy się bezpowrotnie.

Jeżeli coś ratuje Powstanie na tym etapie od całkowitego niepowodzenia, to postawa ludności cywilnej. To właśnie znakomity duch, radość, entuzjazm wśród cywilów w pierwszych godzinach Powstania powoduje krzepnięcie powstańczego wojska.

Mimo woli kojarzy się ta noc sierpniowa z nocą styczniową³⁰ sprzed bez mała stu lat, kiedy to insurgenci mieli uderzyć na zaborcę na terenie całego Królestwa i która to noc również brzmiała w większości miejsc porażką i klęską. A jednak — podobnie jak wtedy — mimo porażek, odwrotów, szukania bezpiecznej przystani w lasach, pojawia się zaskakujący efekt. Przeciwnik niby trzyma gardę, zadaje większe straty, nawet wydaje się, że triumfuje, ale traci inicjatywę, zamyka się w bezpiecznych enklawach, w których może się sycić swoją przewagą ognia, ale zostawia słabszym buntownikom teren, pozornie rzecz bez znaczenia. Tam, wtedy — w 1863 roku — zaczyna grupować swoje garnizony wyłącznie w większych miejscowościach, zostawiając insurgentom mniejsze miejscowości niemal bez osłony, dzięki czemu tamci powstańcy zyskują na kilka-kilkanaście dni oddech, krzepną partię, nabierają charakteru wojskowego zbieraniny chłopsko-ziemiańskiej i kiedy przeciwnik odzyskuje inicjatywę, okazuje się, że pozornie rozbitego już przeciwnika nie jest tak łatwo dobić. I tutaj dzieje się coś podobnego. Godzina „W” jest w zasadzie z wojskowego punktu widzenia porażką, ale Niemcy, spodziewając się samego powstania, nie podejrzewali jego skali — i to jakby wbrew ocenom generała Stahela, które zdawały się bagatelizować osiągnięcia pierwszych godzin walki. Na kilka dni Niemcy, mimo niekwestionowanej przewagi na każdym planie, tracą jedno — inicjatywę. Kiedy ją odzyskują koło 5 sierpnia — naprzeciwko nich nie będzie stało to samo wojsko, nie te wstrząśnięte niepowodzeniami rozproszone częściowo grupy wylapywane w różnych miejscach 2 sierpnia. To będzie wojsko, które będzie czuło za plecami wsparcie całego miasta. I tak długo jak ta symbioza będzie trwała — a będzie to różnie wyglądało

²⁴„Antoni” — Batalion „Antoni” został zorganizowany w 1943 r. z żoliborskich harcerzy skupionych w Szarych Szeregach oraz żołnierzy Narodowej Organizacji Wojskowej, która scaliła się z AK jesienią 1942 r. Jego dowódcą był mjr Zygmunt Brockhauzen ps. „Antoni”. Batalion na początku powstania walczył na Woli, gdzie poniósł tak ciężkie straty, że 7 sierpnia został rozwiązany, a jego ocalałych żołnierzy wcielono do innych pododdziałów AK. [przypis edytorski]

²⁵„Wigry” — Batalion „Wigry” powstał w 1943 roku. Skupiał przede wszystkim środowisko byłych instruktorów ZHP, którzy opuścili organizację w maju 1939 r. na znak protestu wobec polityki władz Związku. W 1944 r. jego dowódcą był por./kpt. Eugeniusz Konopacki ps. „Trzaska”. Batalion „Wigry” walczył w powstaniu na Woli, Starym Mieście i w Śródmieściu do samej kapitulacji. [przypis edytorski]

²⁶ppłk Franciszek Rataj ps. „Paweł” (1894–1958) — uczestnik wojny polsko-bolszewickiej i III powstania śląskiego, oficer służby stałej WP, w czasie okupacji związany najpierw z AK, a następnie z Narodową Organizacją Wojskową (NOW), w powstaniu walczył na Woli, pełniąc różne wysokie funkcje dowódcze, po wojnie w kraju. [przypis edytorski]

²⁷ppłk Mieczysław Sokołowski ps. „Grzymała” (1898–1944) — przed wojną oficer służby stałej, w 1939 roku w stopniu majora dowodził batalionem w 2 Pułku Piechoty KOP, w powstaniu dowódca Obwodu Ochota Armii Krajowej. Wobec ogromnej dysproporcji sił i uzbrojenia przebił się ze swoimi oddziałami do Lasów Chojnowskich z zamiarem powrotu do Warszawy po dobrojeniu ze zrzutów broni. Nocą z 18 na 19 sierpnia poległ w walce w czasie próby przedarcia się do Wilanowa. [przypis edytorski]

²⁸Monopol Tytoniowy — Fabryka Wyrobów Tytoniowych Państwowego Monopolu Tytoniowego, utworzona w 1924 roku, w chwili wybuchu wojny mieściła się u zbiegu ulicy Kaliskiej i Grójeckiej. Z tego powodu ową powstańczą enklawę na Ochocie często określa się mianem „Reduty Kaliska”. [przypis edytorski]

²⁹„Karpaty” — Batalion „Karpaty” wchodził w skład Pułku AK „Baszta”. Dowodzony przez mjr Józefa Hofmana ps. „Majster” otrzymał zadanie opanowania 1 sierpnia toru wyścigów konnych na Służewcu. Natarcie nie powiodło się, a ocaleli żołnierze wycofali się do Lasów Kabackich. [przypis edytorski]

³⁰noc styczniowa — Chodzi oczywiście o noc wybuchu powstania styczniowego z 22 na 23 stycznia 1863 roku. [przypis edytorski]

w różnych rejonach miasta — ten żołnierz będzie dokonywał cudów, które nie śniły się Generałowi Stahelowi ani jego następcy — Erichowi von dem Bachowi³¹.

WIDZENIE TYMOTEUSZA. ŚPIEW MURÓW

Może tego nie widzisz Synku, ale miewam trochę nieobecny wzrok. Staram się zapominać na czas bycia z Tobą o tym, co we mnie zamieszkało. To zawsze było, ale ostatnio to coś chce gadać, mówić do mnie. Nie wiem, dlaczego akurat lato tego roku przymusiło mnie do opowiedzenia samemu sobie tej historii jeszcze raz. Czy z powodu tej liczby — czterdzieści i cztery — która koresponduje z moimi urodzinami? Tak to wyjaśniałem paru znajomym, Twojej Mamie. Ale tak naprawdę — nie mam pojęcia, dlaczego to się ze mną dzieje. Dźwięczy mi to w uszach, kotłuje się w głowie i ona czasem boli, a czasem bolą plecy, jakbym cały dzień nosił żelastwo z piwnic hurtowni na górę i z powrotem. I to też zresztą się czasem zdarza. Zatem gadam do siebie. Bo przecież często tak jest, że aby lepiej zrozumieć jakieś zdanie albo zadanie, powtarza się je na głos. Tak, żeby związki między wyrazami, pojęciami stały się jaśniejsze, jakby się ręką wodziło po niewidzialnym przedmiocie, próbując odgadnąć, co to właściwie jest, z czego jest zrobione, do czego można tego użyć, czy może się do czegoś przydać, czy czymś grozi.

Mówię do siebie, że czuвам i zarazem próbuję sobie tę historię opowiedzieć jeszcze raz, na głos, poskładać kilka znaczących dla mnie szczególnie fragmentów, głosów, zdań, obrazów. Z jednej strony schładzam, uciszam, oddalam się. Z drugiej nasłuchuję tych głosów łączywie:

Nocą, gdy miasto odpłynie w sen trzeci,
a niebo czarną przewiąże się chmurą,
wstań bezszelestnie, jak czynią to dzieci,
i konchę ucha *tak* przyłóż do murów.
Zaledwie westchniesz, a już cię doleci
z samego dołu pięter klawiaturą
w szumach i szmerach skłębionej zamieci
minionych istnień bolesny głos chóru.

„Bluszczem głosów spod ruin i zgłiszcz
pniemy się nocą na dachy i sen,
tobie, Warszawo, w snach naszych śnisz,
nucąc wrześnie żałobny nasz tren”.

T. Gajcy, Śpiew murów

Podobno wczoraj bawiłeś się z Mamą w pokoju siostry, a ja jadłem mój dietetyczny posiłek po pracy i nagle odwróciłeś się w stronę schodów, które prowadzą na poddasze, gdzie spędzam teraz na lekturach i pisaniu sporo czasu, pokazałeś palcem na górę i powiedziałaś:

— Pan pośet!

Mama powiedziała, że nikogo nie ma, a Tata jest na dole, ale Ty przecież widziałeś i wiesz lepiej, co widziałeś, więc pokazałeś jeszcze raz z pokoju siostry schody na poddasze i powiedziałaś zdecydowanie:

— Pan, Pan pośet — po czym dodałeś, zaplatając rączki wokół klatki piersiowej — boje-boje!

³¹*Erich von dem Bach*, właściwie *Erich Julius Eberhard von Zelewski (1899–1972)* — oficer SS, zbrodniarz wojenny, uczestniczył w zwalczaniu partyzantki antyniemieckiej na okupowanych terytoriach ZSRR, od 5 sierpnia 1944 roku dowódca oddziałów *Waffen-SS*, którym postawiono zadanie stłumienia powstania warszawskiego. 2 października 1944 podpisał układ o zaprzestaniu działań wojennych w Warszawie z delegatami Komendy Głównej AK. Po wojnie świadek oskarżenia w procesie norymberskim, nigdy nie odpowiedział za zbrodnie popełnione w Polsce i ZSRR. [przypis edytorski]

Wierzę ci, że mogłeś coś albo kogoś widzieć i miałeś prawo się tego przestraszyć. Podobno dzieci i psy tak mają, że widzą niewidoczne dla dorosłych postaci, a nawet potrafią z nimi rozmawiać. Te dobre i te mniej dobre. Muszę ci powiedzieć, że od kiedy czuвам na głos, czasem mam wrażenie bliskiej obecności, chociaż bałbym się jakoś jednoznacznie ją określić, żeby nie popadać w to wszystko, czego się nie da obronić w języku. Tam na poddaszu zbiera się dużo jakiegoś koloidu. Mówię sobie, że to kurz z książek, z dawno nieruszanego regału. Wszystkie te książki kiedyś miałem w rękach, sporo z nich przeczytałem. Niektóre po kilka razy, a nawet jak byłem młodszy, rysowałem ołówkiem na planach i mapkach swoje wersje taktycznych rozwiązań nierozwiązywalnych zadań, głównie bojowych. I od kilku tygodni one nie wracają na półki, walają się po biurku, podłodze. Wertuję je, przeglądam, grzebię w internecie, porównuję coś, co napisali jedni, z tym, co napisali inni i czasem próbuję napisać wersję wynikającą z tych rozproszonych głosów, która mnie samego przekona. Właśnie tak, jakbym był znowu w szkole i głowił się nad bardzo trudnym zadaniem. W każdym razie chciałem Ci powiedzieć Synku, że wierzę, że Pan pośet na górę, bo tam się strasznie dużo kłębi na poddaszu, dużo imion, pseudonimów, a powiedziane jest, aby imion nadaremno nie używać i nie wzywać. A tata wzywa.

Od dwóch dni myślałem dużo o fosforze białym. Chciałem znaleźć zdjęcie płytek fosforu. Nie proszku, nie bomby, nie kolby laboratoryjnej, ale płytek. Jak mogły wyglądać płytki, które mieściłyby się w zasobnikach, ładownicach w ilości dużej, w ilości wystarczającej? A może to były kostki? Podobno fosfor biały w kostkach jest bardziej stabilny, rozkruszony łatwo się zapala, trudno gasi, nie da się ugasić wodą. Rozgrzewa się do 1300 stopni, ale pali się także w temperaturze poniżej 100 stopni, powoli, nieprzerwanie, niepowstrzymanie. A nasze białko, z którego jesteśmy zbudowani, ścina się przy dłuższym przebywaniu w temperaturze 63 stopni. Rany po fosforze są głębokie, trudno się goją i świecą w nocy, jak próchno w lesie. Algorytmy wyszukiwarek internetowych są bezlitosne. Nie traślałem na zdjęcia kostek, płytek. Widziałem ciągle zdjęcia poparzonych, popalonych dzieci, kobiet, zbliżenia ich ran, dziur wypalonych w ciele do kości i na wylot. I to nie były zdjęcia z Powstania Warszawskiego, to były zdjęcia z Aleppo, Homs, Mosulu³². Tak jakby wojna się nie skończyła. Bo ona się niestety nie skończyła. Nie umiemy jej skończyć.

Próbuję to zrozumieć, otwieram książki w zaznaczonych zagiętymi rogami miejscach i czytam tamtą historię jeszcze raz, opowiadam ją na głos, tak jak układa mi się w głowie, jak ją słyszę zewsząd i wewnątrz. Nie piszę niczego nowego. Raczej ścieram kurz, wyciągam starocie, układam. Marzy mi się, że w ten sposób zbliżamy się jednak do zakończenia tej cholernej wojny. Dla Ciebie. A wtedy i my, i oni, także ten Pan, który pośet na górę, na poddasze do Taty — będziemy mogli zasnąć, wreszcie odpocząć, oddychać spokojnie i swobodnie. A potem się obudzić. Tymczasem — nie bój się. Tata czuwa.

NIE O WSZYSTKIM ŚPIEWA LAO CHE³³

Pierwsze 3–4 dni Powstanie było w natarciu, bo Niemcy nie mieli czym go stłumić. Przez Warszawę przechodziły oddziały walczące na przedmościu praskim, walczyły chaotycznie o przebicie, ale nie było mowy o tłumieniu Powstania, bo nie było czym ani kim. Żeby opanować sytuację, Niemcy musieli ściągać do Warszawy najróżniejsze oddziały po 300–400 żołnierzy z odległości czasem po 300 i więcej kilometrów i powoli klecić z nich jakieś zgrupowanie, przy czym pierwszym zadaniem miało być odbicie zablokowanych punktów

³²*Aleppo, Homs, Mosulu* — W latach 2011–2016 w czasie wojny domowej w Syrii miasta Aleppo i Homs były areną walk między wojskami rządowymi a siłami opozycji. W rezultacie oba miasta niemalże zrównano z ziemią. Opublikowane zdjęcia przedstawiające ich krajobraz po zakończeniu walk wywołały w Polsce komentarze porównujące skalę zniszczeń do tych zadanych Warszawie w latach 1944–45. Z kolei Mosul, opanowany w 2014 r. przez ekstremistów z tzw. Państwa Islamskiego, został odbity przez armię iracką po trwającej ponad 9 miesięcy operacji w latach 2016–2017. Również to miasto zostało mocno uszkodzone. [przypis edytorski]

³³*Lao Che* — Polski zespół muzyczny, w 2005 roku wydał album zatytułowany *Powstanie Warszawskie*. Teksty nagranych na nim piosenek poruszają w porządku chronologicznym tematykę najważniejszych wydarzeń i zagadnień powstańczych. [przypis edytorski]

oporu w centrum miasta³⁴ i przebiecie przez miasto komunikacji z drugim brzegiem Wisły. Powstańcy nie zdobyli wprawdzie mostów, ale odcięli je od reszty miasta.

1 sierpnia 1944 roku, na wieść o wybuchu Powstania w Warszawie, Hitler wydał ustny rozkaz, aby podległe mu jednostki zburzyły miasto, nie brały jeńców i wymordowały wszystkich jego mieszkańców. Nie znamy dokładnego brzmienia tego rozkazu. Wbrew obiegowej opinii, III Rzesza opierała się na ustnym, pełnym niedopowiedzeń rozkazodawstwie i dużej dozie woluntaryzmu, w którym ostatecznie chodziło o to, „żeby Führer był zadowolony”. Natomiast do wykonawcy rozkazu należała interpretacja i szczegółowe dobranie metody jego wykonania. Tymczasem przez pierwsze dwa-trzy dni sierpnia nie za bardzo było kim Warszawę równać z ziemią. Sytuacja zaczęła się zmieniać 3–4 sierpnia wraz z utworzeniem grupy gen. Heinza Reinefartha³⁵, oficera rezerwy, z zawodu adwokata, która miała odblokować siły garnizonu Warszawy, idąc od Woli, Ochoty w kierunku Śródmieścia. To nie była regularna jednostka, tworzyły ją naprędce zbierane siły policyjne i jednostki tyłowe. W pierwszych dniach jej trzonem była m.in. brygada³⁶ sformowana z przestępców, początkowo kłusowników, przez Oskara Dirlewangera³⁷, z którym Reinefarth zresztą się serdecznie nie znoził. W ogóle Dirlewangera i jego żołnierzy, podobnie jak uczestniczącej w tłumieniu Powstania Brygady SS RONA³⁸ złożonej z byłych obywateli ZSRR, nikt z frontowych żołnierzy nie lubił, bo zazwyczaj chętniej zajmowali się pastwieniem nad ludnością cywilną. Nie chodziło o to, że oficerowie i żołnierze Wehrmachtu mieli coś przeciwko temu ostatniemu, chodziło o to, że ważniejsza była dla nich jednak walka niż mordy i grabieże. Mordy oznaczały zaś często ponadnormatywne zużycie amunicji. W rozmowie w nocy z 4 na 5 sierpnia 1944 roku z Von Vormannem³⁹, dowódcą 9 Armii niemieckiej, której formalnie podlegały wojska walczące w Warszawie, Reinefarth mówił o pierwszych walkach na Woli:

— Co mam robić z ludnością cywilną? Posiadam mniej amunicji niż jeńców.

Przy czym słowa „jeńcy” i „ludność cywilna” były tutaj użyte jako synonimy, bowiem wobec rozkazu Hitlera każdy Polak w Warszawie był zarazem jeńcem, czyli kandydatem do rozstrzelania. Nie znam odpowiedzi na problemat generała Reinefartha, ale następnego dnia podległe mu jednostki kontynuowały przebijanie korytarza do Śródmieścia od strony Ochoty i Woli, po równo dzieląc czas na mordowanie ludności i walkę z Powstań-

³⁴odbitcie zablokowanych punktów oporu w centrum miasta — Największą enklawą niemiecką odciętą w pierwszej fazie powstania była tzw. dzielnica rządowa, obejmująca tereny część Śródmieścia Północnego, w tym m.in. Ogród Saski i Krakowskie Przedmieście. Na jej terenie przebywali w chwili wybuchu powstania m.in. gen. Reiner Stahel i gubernator dystryktu warszawskiego, Ludwig Fischer. Powstańcy mimo wysiłków nie zdołali opanować dzielnicy rządowej, a niemiecka odsiecz nawiązała z nią łączność 7 sierpnia. [przypis edytorski]

³⁵gen. Heinz Reinefarth (1903–1979) — generał SS (*SS-Gruppenführer*), w czasie powstania od 5 sierpnia dowódca improwizowanego zgrupowania policyjnego sprowadzonego z Kraju Warty, odpowiedzialny m.in. za egzekucje ludności cywilnej na Woli. Po wojnie mieszkał w RFN, gdzie pełnił funkcję burmistrza miasta Westerland. Nigdy nie poniósł konsekwencji swych zbrodni wojennych. [przypis edytorski]

³⁶brygada — Brygada Szturmowa SS „Dirlewanger” (*SS-Sturmbrigade Dirlewanger*), utworzona w 1940 jako pluton złożony z kłusowników, a z czasem stopniowo rozbudowywana, brała udział w wyjątkowo okrutnych represjach wobec ludności cywilnej na okupowanych terenach Polski i Białorusi. W Warszawie znalazła się 4 sierpnia 1944 roku. W tym czasie większość jej personelu stanowili zwolnieni z więzień i obozów mordercy, gwałciele, podpalacze i włamywacze. Brygada Dirlewangera poniosła ciężkie straty w walce z Armią Krajową, a jej zapal bojowy i skuteczność były poddawane w wątpliwość przez samych Niemców. Dużą aktywność wykazała natomiast na polu represji wobec ludności cywilnej Warszawy, którą w sadystyczny sposób mordowano, gwałcono i ograbiano. [przypis edytorski]

³⁷Oskar Dirlewanger (1895–1945) — oficer SS (*SS-Oberführer*), w 1935 roku skazany za gwałt na nieletniej, w powstaniu warszawskim dowodził brygadą swojego imienia (patrz przyp. 36), odpowiedzialny za liczne zbrodnie wojenne popełnione na ludności polskiej stolicy. Uczestniczył w tłumieniu powstania na Słowacji. Aresztowany przez Francuzów krótko po zakończeniu wojny, zginął najprawdopodobniej z ręki polskich strażników, którzy śmiertelnie go pobili. [przypis edytorski]

³⁸Brygady SS RONA — Rosyjska Wyzwoleńcza Armia Ludowa, formacja kolaboracyjna w służbie niemieckiej złożona z Rosjan. Jej dowódcą był *Waffen SS-Brigadeführer* Bronisław Kamiński. W czasie powstania warszawskiego Brygada Szturmowa SS „RONA” stacjonowała do 26 sierpnia na Ochocie i w Śródmieściu, gdzie dopuściła się licznych zbrodni. Jej wartość bojowa była niewielka. Mimo to pod koniec 1944 r. Niemcy podjęli się rozbudowania jej do rozmiarów dywizji, czego jednak ostatecznie do końca wojny nie zdołano zrealizować. [przypis edytorski]

³⁹Von Vormann, Nikolaus von Vormann (1895–1959) — generał Wehrmachtu, brał udział w kampanii w Polsce i ZSRR, w okresie powstania warszawskiego dowódca 9. Armii, która broniła bezpośredniego przedpola polskiej stolicy na wschodnim brzegu Wisły. Podlegała mu część jednostek biorących udział w tłumieniu powstania. Po utracie Pragi odwołany 21 września 1944 r. ze stanowiska. [przypis edytorski]

cami. Z czasem proporcje ulegną zachwianiu, Niemcy i podległe im oddziały zajmą się głównie mordowaniem i rabowaniem. A potem już głównie mordowaniem. Szacunki historyków bardzo się różnią. Nie wszyscy historycy do działalności grupy Reinfartha przywiązują podobną wagę. Czasem wydarzenia nazwane „Rzezią Woli” są kwitowane jednym zdaniem o tym, że liczba ofiar jest szacowana na od 7 do 38 tysięcy. I najczęściej historycy skupiają się na wydarzeniach jednego dnia, czyli 5 sierpnia. Tymczasem piekło szalało od 4 do 7 sierpnia od Ochoty po północne krańce Śródmieścia i według ustaleń Antoniego Przygońskiego pochłonęło nie mniej niż 59.400 mieszkańców Warszawy.

Szał mordu zaczął wygaszać przybyły do Warszawy 5 sierpnia jako naczelny dowódca wszystkich sił skierowanych do stłumienia Powstania Erich von dem Bach-Zelewski, uchylając pierwotny rozkaz Hitlera. Najpierw uchylił rozkaz dotyczący mordowania wszystkich mieszkańców — miano mordować tylko mężczyzn, potem zaś tylko mężczyzn w wieku poborowym, wreszcie tylko mężczyzn podejrzanych o to, że mogliby być Powstańcami. Oczywiście nie zawsze, nie wszędzie i nie wszyscy wypełniali rozkaz co do joty. Tak to bywa na wojnie. Mimo że von dem Bach po wojnie twierdził, iż łagodząc pierwotny rozkaz Hitlera miał motywacje humanitarne, wiele wskazuje na to, że jego motywacja była wyłącznie utylitarna — chociażby dlatego, że wjeżdżając do Warszawy był świadkiem egzekucji na cmentarzu prawosławnym na Woli i nie wstrzymał jej. Najpierw objechał front wszystkich jednostek i dopiero pod wieczór uchylił rozkaz Hitlera.

Chodziło zapewne o kilka rzeczy. Po pierwsze — zagrożenie życia cementowało jedność ludności cywilnej i Powstańców, po drugie — eksterminacja nie dawała szans na szybkie zakończenie walk na drodze kapitulacji (ludzie wiedzieli, że albo będą walczyć, albo zginą) po trzecie — mordy i grabieże powodowały, że mniej żołnierzy walczyło z Powstaniem, a morale i spoistość oddziałów, które i tak były raczej zbieraniną tego, co akurat było pod ręką, była w zasadzie żadna. Dlatego po 7 sierpnia główną metodą eksterminacji będzie przymusowe wysiedlanie; mordowanie stanowiło jedynie metodę pomocniczą tłumienia powstania.

Rzeczywiście — jedną z przyczyn, dla których Powstanie nie zakończyło się w sierpniu, było memento Woli i Ochoty. Wydawało się, że wyboru nie ma. Być może rzeczywiście go nie było. Nie wiadomo jak wojska von dem Bacha zachowałyby się na przykład, gdyby kapitulacja nastąpiła 20 sierpnia — biorąc pod uwagę taki drobiazg jak to, że państwa alianckie prawa kombatanckie żołnierzom Armii Krajowej przyznały dopiero 29 sierpnia 1944 roku. I dopiero od tego czasu byli oni uznawani za część wojsk alianckich walczących z Niemcami, a tym samym Niemcy mieli traktować jeńców w zgodzie z literą konwencji haskich.

Niewielu historyków Powstania przez lata pochylało się nad kilkudziesięciogodzinną gehenną Woli i Ochoty. Czasem to jest kilka zdań, czasem ledwie jedno. Cyfra. Za cyframi stoją ludzie, a w zasadzie leżą, czolgają się, wypierają. Wiele relacji jest i ta, która za mną chodzi od lat — Wanda Felicja Lurie, która w czasie Powstania była w ciąży, sama będąc w ostatnim miesiącu ciąży z czwartym dzieckiem, została 5 sierpnia 1944 roku ze swojego domu przy ulicy Wolskiej i popędzona „Ursusa”.

„Niemiec, który to widział [...] gdy błagałam go, całowałam go — odpychał mnie i wołał „prędzej”; popchnięta przodem, przodem się, uderzył też i pchnął mego starszego synka, wołał „Gasz, Gasz, polski bandyto”. W ostatniej czwórce, razem z trojgiem dziewcząt, do miejsca egzekucji, trzymając prawą ręką dwie rączki, a lewą rączkę starszego synka. Dzieci szły płacząc i mówiąc „ojciec zabitych, wołał, że nas zabiją i wzywał ojca. Pierwszy synka, drugi ugodził mnie, następny zabił młodszego synka, do mnie nie był śmiertelny: kula trafiła w kark z lewej strony, dołną część czaszki i wyszła przez policzek; dostałam krwiaka, z krwotoku ustnym wypłułam kilka zębów”.

⁴⁰Wanda Felicja Lurie (1911–1989) — pracownik służby zdrowia i nauczycielka, żona przemysłowca Bolesława Lurie, mieszkanka Woli, w czasie powstania cudem ocalała z egzekucji. [przypis edytorski]

Trafiona przy kolejnych egzekucjach strzałami oddanymi do innych osób, ranna w nogi Wanda Lurie wieczorem wypelzła spod zwału trupów. Została niebawem ponownie pojmana i skierowana do obozu przejściowego w Pruszkowie.

Heinz Reinefarth został skazany wyrokiem niemieckiego sądu wojennego w 1945 roku na karę śmierci za brak determinacji w obronie Kostrzyna. Wyroku nie wykonano. Żaden inny sąd nigdy nie postawił go w stan oskarżenia. Po wojnie był między innymi burmistrzem miasta Westerland i deputowanym landtagu Szlezwik-Holsztyn.

Wanda Felicja Lurie w obozie w Pruszkowie 20 sierpnia 1944 roku urodziła syna. Nadała mu imię Mściśław.

KTÓRZY NIE ZAWIEDLI

Urodziłem się w Warszawie i mieszkalem w niej przez pierwszych kilka lat życia. Pamiętam całkiem sporo z tych pierwszych lat życia. Na przykład wyprawy na Powązki na Wszystkich Świętych. Oprócz odwiedzania grobów bliskich zawsze zabieraliśmy kilka zniczy dla tych, do których nikt nie przychodzi. Miałem prawo wybrać, komu zapalimy świeczkę. Mało sprawiedliwie szukałem grobów lotników, chociażby symbolicznych, bo zawsze nosiły jakąś ozdobę przypominającą samolot. Im ciekawsza ozdoba, tym większa była szansa, że wskażę dany grób. Na Powązkach było tego trochę, w tym mój ulubiony, jakby to strasznie nie brzmiało, grób lotników kanadyjskich walczących w szeregach RAF⁴¹ latających z zaopatrzeniem dla Powstania Warszawskiego. Ich historia skapywała we mnie powoli, wraz z całą historią Powstania, półsłówki, czasem pełnych zdań, a wraz z tym rosła świadomość, by sparafrazować słowa Poety — jaką przebodli mnie ojczyznę.

Im dalej od wydarzeń, tym więcej komiksu, wideoklipu, mema, tym mniej kłopotliwych szczegółów, psujących czarno-biały obraz świata detali. Powszechna narracja, jaka dominuje w Polsce, jest taka, że myśmy się bili, a oni nas opuścili. Pomijając już fakt, że nie było żadnego „myśmy”, bo nas, żyjących dzisiaj, wtedy nie było. A tak zwana narracja często jest prostackim spłaszczeniem tego, co się nie da streścić w pohukiwaniu do rytmicznego ruchu zaciśniętych pięści. Owszem, Warszawa walczyła w strategicznej izolacji, ale nie było tak, że nikt nie próbował pomóc. Próbował i te próby pomocy kosztowały bardzo drogo. Po 7 sierpnia widać też było, że minęły te dwa-trzy dni, jakie miało potrwać Powstanie. Minął okres, kiedy Powstańcy próbowali rozszerzać swój stan posiadania. Teraz problemem było jego utrzymanie.

8 sierpnia 1944 roku, po interwencjach u aliantów polskiego rządu domagającego się wznowienia zrzutów dla Warszawy, wysłania tam Brygady Spadochronowej gen. Sosabowskiego oraz przyznania żołnierzom AK statusu kombatanatów i wymuszenia traktowania jeńców z AK zgodnie z konwencjami haskimi — zezwolono ponownie na loty ze wsparciem dla Powstania. Z zastrzeżeniem, że mają to być loty wyłącznie o charakterze ochotniczym.

Po pierwszej próbie zrzutów dla Warszawy w nocy z 3 na 4 sierpnia 1944 alianci zabronili lotów nad Polskę. Po pierwsze — 3 na 4 sierpnia nie było zgody na lot do Warszawy i 7 polskich załóg miało zezwolenie tylko na loty ze zrzutami zaopatrzenia nad południową Polskę. 4 załogi złamały ten zakaz, lecąc nad Warszawę, w tym 1 została zestrzelona w okolicach Sulejowa przez nocny myśliwiec Luftwaffe. Z 7 załóg brytyjskich, które poleciały tej nocy na inne zrzutowiska na terenie Polski — 5 nie wróciło do baz, poległo 17 lotników, 6 dostało się do niewoli, 5 ukryła Armia Krajowa. Był to poziom strat dla aliantów nieakceptowany, do czego doszła „chwalebna niesubordynacja” polskich załóg i to był powód, dla którego do 8 sierpnia lotów ze zrzutami nie było.

Samoloty startowały z baz południowych Włoszech, leciały nad terytorium opanowanym przez nieprzyjaciela, gdzie czyhały na nie strefy ognia przeciwlotniczego i nocne myśliwce. Załogi jadły na zapas na czas lotu, po czym zażywały środek na zaparcie, bo samoloty nie posiadały toalety. Zaraz po wylądowaniu brały za to środek na przeczyszczenie, żeby móc od razu iść spać. Same samoloty, jakimi latały załogi na zrzuty do Polski, to były

⁴¹RAF — Służyli oni w szeregach 148 i 178 dywizjonu Royal Air Force. [przypis edytorski]

najczęściej przerobione na potrzeby operacji specjalnych Handley Page „Halifax”⁴² albo B-24 „Liberator”⁴³. Pomalowane na czarno, z założonymi tłumikami płomieni na rury wydechowe silników, pozbawione większości uzbrojenia dla zwiększenia zasięgu i prędkości przelotowej. Ponieważ latały w pojedynkę i w rozproszeniu, i tak nie mogły się w razie czego ratować siłą ognia. Najczęstszą bronią przeciwko myśliwcom nocnym był unik i manewr, zerwanie kontaktu, dopiero w ostateczności ogień obronny. Zarówno dla „Halifaxów”, jak i „Liberatorów” lot do Warszawy był krańcowym wysiłkiem jeżeli chodzi o zasięg i wytrzymałość załóg. Na dokładkę loty odbywały się latem, w czasie wyjątkowo krótkich, a zatem niesprzyjających działaniom specjalnym nocy.

Lot nad Warszawę w obie strony trwał około 11–12 godzin, a trasa liczyła około 2800–3000 kilometrów. Trzeba było trafić nad miasto, co podobno nie było takie trudne, bo miasto płonęło jak pochodnia. Ale należało jeszcze znaleźć miejsce zrzutu — co nie było łatwe, bo trzeba było wypatrzeć ogniska ułożone w krzyż wśród szalejących pożarów. Trzeba było przelecieć nad strefą zrzutu na możliwie małej wysokości („ślizgając się po dachach”) we wściekłym ogniu ze wszystkiego, co Niemcy mieli na dole, najwolniej jak się dało — i celnie zrzucić ładunek. Potem trzeba było często postrzelanym jak sito samolotem wrócić do siebie i bezpiecznie wylądować. Dowódca 31 dywizjonu SAAF⁴⁴ określił loty nad Warszawę jako „Mission Impossible”. W jednym z filmów dokumentalnych młody wówczas pilot z Południowej Afryki wspomina, jak pierwszy raz zobaczył trasę lotu na mapie. Baza była na samym dole całosciennej mapy, w okolicy kolan, a kolorowa taśma wspinała się na przeciwległy kraniec mapy pod sam sufit do Warszawy. Żeby ją zobaczyć, trzeba było zadrzeć wysoko głowę. „To niemożliwe” — pomyślał w pierwszej chwili. Opowiadał to do kamery stary człowiek, śmiejąc się pogodnie, jak to potrafią tylko starsi ludzie, ze świadomością, że są już poza układem odniesienia, poza oceną, bo swoje już zrobili.

Gotowość zrzutów na Warszawę zgłosili na początku sierpnia Amerykanie z 8 Armii USAAF w ramach wahadłowych operacji bombowych „Frantic”, kiedy samoloty startowały z lotnisk alianckich, bombardowały cele, a następnie lądowały w bazach sowieckich i w locie powrotnym do baz alianckich bombardowały kolejne cele. Taki model operacji de facto wydłużał ich zasięg o dobre kilkaset kilometrów, bombowce nie musiały bowiem zabierać paliwa na powrót tą samą trasą do baz. Jednak kiedy w grę weszła pomoc dla walczącej Warszawy, Amerykanie na zgodę na lądowanie w sowieckich bazach musieli czekać ponad miesiąc. Zgody tej nie uzyskały załogi 1586 polskiej eskadry specjalnego przeznaczenia, 31 i 34 Południowoafrykańskiego Dywizjonu SAAF ani dywizjonów 178 i 148 RAF, na których to lotnikach, latających z baz w południowych Włoszech, spoczął główny ciężar zaopatrywania Powstania. I ci lotnicy zapłacili najwyższą cenę. Jedyna wyprawa 8 Armii USAAF miała miejsce 18 września 1944 roku, zrzut nastąpił z bardzo dużej wysokości — ponad 4000 metrów — i 3/4 zasobników spadło na tereny zajęte przez Niemców albo na tzw. „ziemię niczyją” i trzeba je było odbijać. Lotnicy latający z Włoch nadlatywali naprawdę „ślizgając się po dachach”, mieli dużo wyższą skuteczność w zrzutach. I wyższą śmiertelność.

Loty co jakiś czas przerywano i wznawiano. Na przykład dlatego, że kończyły się w jednostkach sprawne samoloty i żywe załogi, o co nie było trudno przy wysokości strat, która sięgała 20–30% startujących załóg co noc. Zdarzało się, że loty odbywały się nielegalnie, kiedy to załogi 1586 eskadry startowały bez wiedzy i zgody wyższego dowództwa. Częściowo zrekonstruowany „Liberator” w Muzeum Powstania Warszawskiego to właśnie maszyna w barwach tej jednostki. W jego rekonstrukcji wykorzystano fragmenty wraku samolotu numer boczny KG89OGR-S (załoga kapitana Zbigniewa Szostaka), który w nocy z 14 na 15 sierpnia został zestrzelony nad Puszcą Niepołomicką. Załoga wyskoczyła, jednak spadochrony z powodu niskiej wysokości lotu nie otworzyły się i wszyscy zginęli.

⁴²Handley Page „Halifax” — czterosilnikowy ciężki bombowiec brytyjski produkowany w latach 1940–1946, wykorzystywany również jako samolot transportowy. [przypis edytorski]

⁴³Consolidated B-24 „Liberator” — czterosilnikowy ciężki bombowiec amerykański, produkcja w latach 1940–1945, wykorzystywany również jako samolot transportowy. [przypis edytorski]

⁴⁴SAAF (South African Air Force) — Południowoafrykańskie Siły Powietrzne. Z dostawami dla powstania warszawskiego latały dwa południowoafrykańskie dywizjony, 31 i 34. [przypis edytorski]

Po 15 września 1944 loty 1586 eskadry wstrzymano z braku załóg i samolotów.

Ostatnich zrzutów dla Warszawy dokonano w nocy z 21 na 22 września 1944 roku, a uczyniły to załogi dywizjonów SAAF.

W operacjach brało udział łącznie 2. 472 pilotów: 637 Polaków, 735 Brytyjczyków i Południowoafrykańczyków i 1. 100 Amerykanów. Zostało zestrzelonych 256 pilotów Sił Sprzymierzonych: 112 Polaków, 133 Brytyjczyków i Południowoafrykańczyków oraz 11 Amerykanów. Z zestrzelonych pilotów ocalało 41.

Lotnicy wiedzieli, że nie są w stanie odwrócić losów Powstania, ale jak to powiedział jeden z weteranów: „Chodziło o symbol, że nie jesteście zapomniani, zostawieni samym sobie”.

Dla South African Air Force to były najkrwawsze misje w dziejach formacji. Dwudziestoparoletni chłopcy z Południowej Afryki nie mieli kompletnie nic wspólnego z europejską rzezią, ze środka której wzywała pomocy jakaś tam Warszawa, ale jak mówi tekst piosenki Lao Che — nie pękali, szli na śmierć, ot tak na krótką koszulę, razem z kolegami z Kanady, Anglii i Polski. Nikt z pilotów ze wspomnianych tutaj dywizjonów RAF i SAAF nie odmówił wykonania misji nad Warszawę.

Rządy, dowództwa może zawiodły.

Oni nie.

DZISIAJ W DOMU STAŁEM WIE- CZOREM PRZEZ CHWILĘ NA BACZ- NOŚĆ

„O ludzkiej śmierci nie opowiesz pieśnią
wiersza kadzidło zmarłym
odważnym wszystkim pokłon niski
pogarda dla kanalii”

Jan Krzysztof Kelus, *Jesień w pasiece*

Dzisiaj pochowano Generała Ścibora-Rylskiego⁴⁵, pokazywano jego wystąpienia, szczególnie te ostatnie, ktoś wspomniał, że jakiś tam polityk pełniący jakąś funkcję wysłał wiązanki zamiast po prostu przyjąć, kogoś tam zabrakło na uroczystościach pogrzebowych.

Jest noc, a ja zamiast tego wracam do pracy pułkownika Adama Borkiewicza⁴⁶ „Powstanie Warszawskie” (rok wydania 1957, ten rok się czuje w tej książce). I tam na stronie 591 kilka lakonicznych zdań o walkach na Czerniakowie w dniu 18 września 1944 roku:

„Tego dnia kompanie I batalionu 9 pułku oraz oddziały powstańcze kapitan Motyla [pseudonim Zbigniewa Ścibora-Rylskiego] poniosły ciężkie straty [...], zdziesiątkowane zostały resztki batalionów „Parasol”, „Czata”, „Zośka”. [...] „Radosław” wyznaczył na dowódcę wszystkich oddziałów na Wilanowskiej kpt. Motyla. Kpt. Motyl od razu przystąpił do organizacji obrony, wyznaczając dowódców punktów oporu, ich załogę, środki. Z I batalionu została zaledwie trzecia część. Tego dnia odparto na przyczółku 11 uderzeń niemieckich, wspieranych przez 10–12 czołgów względnie dział szturmowych”.

Spróbujmy rozwinąć te zdania. Pod nimi się sporo kryje.

Kapitan Motyl, wymieniany przez Borkiewicza tylko z pseudonimu, jest wtedy w akcji dużo dłużej niż od 1 sierpnia. Ma za sobą szlak od Wołynia po Lubelszczyznę jako

⁴⁵Generał Zbigniew Ścibor-Rylski ps. „Motyl” (1917–2018) — lotnik, uczestnik kampanii 1939 roku, oficer 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, w powstaniu warszawskim dowódca kompanii w batalionie „Czata 49”, po wojnie pozostał w kraju, zatajając przez długi czas swoją konspiracyjną przeszłość. [przypis edytorski]

⁴⁶pułkownik Adam Borkiewicz (1896–1958) — oficer służby stałej WP, historyk, członek Komendy Głównej AK, po wojnie szykanowany przez władze komunistyczne, autor pierwszej monografii powstania warszawskiego. [przypis edytorski]

dowódca kompanii w batalionie „Sokół” 27 Dywizji Piechoty AK⁴⁷. Dowodził chyba dobrze, skoro 3 maja zostaje mu przyznany krzyż srebrny Orderu Virtuti Militari. 15 lipca, kiedy dywizja znajduje się już na Lubelszczyźnie, dostaje wezwanie do Warszawy i bierze udział w organizacji batalionu „Czata 49”, który zostaje sformowany w Warszawie z żołnierzy Kedywu⁴⁸ z baz kresowych.

I potem po kolei — Godzina W, obrona Woli, cofanie się na Starówkę, walki na Starówce. 25 sierpnia drugi raz odznaczony Virtuti Militari, 28 sierpnia 1944 roku awans na kapitana. W nocy z 30 na 31 sierpnia bierze udział w „desancie” z kanałów na Placu Bankowym, który ma pomóc w przebicciu się załogi Starego Miasta do Śródmieścia.

I rozwijamy te nitki dalej. W połowie września 1944 pewnie Powstanie pewnie by już upadło, ale w tym samym czasie Sowietci i 1 Armia Polska idąca z Sowietami wyszli wreszcie na drugi brzeg Wisły. 15 września Praga była wolna. To dawało nadzieję, tym bardziej że 1 Armia ruszyła do forsowania Wisły niemal z marszu. To z jej składu, a konkretnie z 3 Dywizji Piechoty im. Romualda Traugutta, pochodził ów I batalion 9 pułku, z którego została po dwóch dniach 1/3 i które to resztki oddały się bez szemrania pod komendę kapitana Motyła.

Tutaj słowo wyjaśnienia. Bataliony Kedywu — m.in. „Zośka”, „Parasol”, „Czata 49”, „Pięść”, „Miotła” — były oddziałami najlepiej wyszkolonymi, ludzie je tworzący bywali w akcjach bojowych na długo przed Powstaniem, umieli obchodzić się z bronią, umieli strzelać tak, żeby zabić i wreszcie wobec kompletnej biedy — byli nieźle uzbrojeni, z racji pozostawania i przed Powstaniem w swoistej służbie czynnej. Dlatego te jednostki były do końca działań zbrojnych przerzucane z dzielnicy do dzielnicy jako „straż pożarna”, komandosi (którymi przecież nie byli). 18 września to był, jak łatwo policzyć, 48 dzień ich niemal nieprzerwanej walki i oprócz wszystkiego, czuli potworne zmęczenie.

I rozplątuję dalej. Kilka razy w życiu słyszałem z bliska dźwięk, jaki wydaje jadący czołg. Nieprzyjemnie jest wtedy stać blisko, ziemia autentycznie drży pod nogami. 10–12 czołgów robi pewnie jeszcze więcej hałasu, niesynchronizowanego, bo nie poruszają się jak jeden czołg, tylko chaotycznie. Jest się czego bać. 11 natarć po 10–12 czołgów w ciągu jednego dnia zostaje odpartych przez chłopaków, którzy widzieli już Wolę, Powązki, Stare Miasto, kanały, a ci, którzy przeżyją — w tym Kapitan Motyl — przejdą kanałami jeszcze na Mokotów i z Mokotowa do Śródmieścia, gdzie ostatecznie skapitulują razem z resztą wojsk powstańczych.

Jaką trzeba mieć siłę charakteru, żeby tę przerażoną ludzką zbieraninę chwycić w karby i stworzyć strukturę, plan, który się oprze? Raz, drugi, jedenasty? Kim trzeba być, żeby ludzie byli gotowi trwać i iść za kimś takim w ogień, czyli często na śmierć?

A chłopcy z nim na boje
Szli z pieśnią, jak na bal,
Bo z dzielnym Komendantem
I na śmierć — iść nie żal.

(Ballada o Lisie-Kuli)

Nie mam pojęcia, co to za siła. Nie dowiem się już. Jest noc, dlatego mówię dobranoc, Panie Generale, gdybym miał obcasy — to bym trzasnął, zrobił w tył zwrot i odmaszerował. Ale nie mam, siedzę boso przy biurku, za oknem pada deszcz, a ja powtarzam szeptem:

— Dobranoc, dobranoc i jeszcze raz dobranoc.
I gaszę światło.

⁴⁷batalion „Sokół” 27 Dywizji Piechoty AK — 27 Wołyńska Dywizja Piechoty AK powstała w ramach Akcji „Burza” 15 stycznia 1944 roku na bazie oddziałów partyzanckich Okręgu Wołyni AK. Po mobilizacji osiągnęła maksymalny stan ok. 6500 ludzi. Współpracując z Armią Czerwoną, dywizja toczyła od lutego do lipca walki z UPA oraz z siłami niemieckimi. Rozbrojona przez Sowietów w dniach 25–26 lipca 1944 r. [przypis edytorski]

⁴⁸Kedyw — skrót od Kierownictwo Dywersji Komendy Głównej Armii Krajowej. Była to utworzona w 1942 roku konspiracyjna formacja podporządkowana bezpośrednio Komendantowi Głównemu AK. Zajmowała się organizowaniem akcji zbrojnych i najbardziej niebezpiecznych aktów sabotażu i dywersji. W jej szeregach służyli najbardziej doświadczeni w walce konspiratorzy warszawscy. [przypis edytorski]

CHOĆ NA „TYGRYSY” MAJĄ VI-SY

Pałacyk Michła, Żytunia, Wola,
Bronią się chłopcy od „Parasola”,
Choć na „tygrysy” mają visy —
To Warszawiaki fajne chłopaki są!



Józef Ziutek Szczepański

Tekst znanej chyba wszystkim piosenki powstańczej, hymnu „Parasol” autorzony przez Józefa „Ziutka” Szczepańskiego⁴⁹, mówi o walkach zgrupowania dyspozycyjnego Komendy Głównej AK Kedyw, zwanego od pseudonimu dowódcy Zgrupowaniem „Radosław”⁵⁰, toczonych na Woli w pierwszych dniach sierpnia. I mówi o tym, że chłopcy od „Parasola” na „Tygrysy” mają „Visy” — czyli że na nowoczesne czołgi Panzerkampfwagen VI o nazwie kodowej „Tiger” z wielką armatą kalibru 88mm mają przedwojenne pistolety, polską kopię amerykańskiego Colta 1911 — o nazwie własnej „Vis”⁵¹. „Ziutkowi” chodziło oczywiście tylko o pokazanie dysproporcji sił między Powstańcami a Niemcami i siłę ducha krzepnącego wojska, wczoraj jeszcze zbieraniny cywilów po konspiracyjnych podchorążówkach. Ale sama figura przeszła do legendy, ujednoznaczyła się i zrobiło się z nią trochę jak z legendą o polskiej kawalerii szarżującej w 1939 roku na czołgi. Owszem, polska kawaleria walczyła z czołgami, ale w szyku spieszonym i nie szablami, a nowoczesną bronią przeciwpancerną — i to walczyła udanie. Zatem owszem, przedwojenne „Visy” były w cenie tak u Powstańców, jak i u ich przeciwników, bo to była dobra, niezawodna broń osobista. To prawda. Ale do ostrzeliwania „Tygrysów”, czy szerzej niemieckich pojazdów pancernych, się ich nie używało. Przy tym trzeba zaznaczyć, że sława Panzerkampfwagen VI była tak wielka, że w zasadzie na każdy niemiecki czołg, poza wyraźnie wyróżniającą się „Panterą”, mówiło się „tygrys”. I bywało, że za wycofującym się niemieckim czołgiem, czasem uszkodzonym, ten i ów krzyknął:

— Do budy! Do budy tygrys!

Ba, we wrześniu powstał nawet plakat powstańczy z hasłem „tygrys do budy”. Chociaż tak naprawdę w Warszawie w czasie Powstania „Tygrysów” łącznie było pięć i wszystkie znajdowały się w naprawach, czyli nie były w pełni sprawne, chociaż zostały użyte bojowo w kilku miejscach w pierwszych dniach sierpnia. Jeden został zniszczony przez Powstańców ogniem PIAT-a lub zdobycznego Panzerfausta na Ochocie, gdy z kolei drugi (według innych relacji ten sam) — wpadł na słup transformatora i został przez Powstańców zdobyty, a później uruchomiony⁵². I zresztą zaraz ponownie unieruchomiony z powodu zatarcia sprzęgła, a wreszcie zniszczony przy pomocy min samobieżnych przez Niemców w czasie walk na Ochocie 8 i 9 sierpnia. Później już raczej dbano, żeby tak dobre, drogie czołgi jak „Tygrysy” nie były narażane w walkach ulicznych, w których zalety ich grubego pancerza i dalekosiężnego działa przeciwpancernego nie były tak pierwszorzędne jak

⁴⁹Józef Andrzej Szczepański ps. „Ziutek” (1922–1944) — harcerz, poeta, w powstaniu warszawskim żołnierz batalionu AK „Parasol”, zmarł z ran 10 września. [przypis edytorski]

⁵⁰Zgrupowanie „Radosław” — utworzona w 1944 roku formacja Armii Krajowej. W jej skład wchodził głównie żołnierz Kedywu. Była to najlepiej wyszkolona i uzbrojona jednostka polska walcząca w powstaniu. Wsławiła się bohaterską obroną Woli w dniach 6–11 sierpnia, następnie walczyła na Starym Mieście i w Śródmieściu. [przypis edytorski]

⁵¹polską kopię amerykańskiego Colta 1911 — o nazwie własnej „Vis” — Choć Vis był niewątpliwie wzorowany na Colcie 1911, nie można nazwać go dokładną kopią — polscy inżynierowie wprowadzili niewielkie modyfikacje. [przypis edytorski]

⁵²drugi (według innych relacji ten sam) — wpadł na słup transformatora i został przez Powstańców zdobyty, a później uruchomiony — Według niektórych źródeł mógł to być czołg typu PzKpfw IV lub PzKpfw V „Pantera”. [przypis edytorski]

w polu, zaś powodem zguby mogło być złe wymierzenie zakrętu i utknięcie w ścianie budynku. Na przykład.

Co do Visów na „Tygrysy” — w dniu 8 sierpnia „Monter” wydaje instrukcje dla komendantów obwodów, czyli poszczególnych dzielnic, o tym jak mają organizować walkę. Zwraca uwagę fragment, w którym odnosi się do uzbrojenia wojsk powstańczych, a ściślej jego braku:

„II. Komendantom obwodów polecam tak przebroić swoje oddziały, by broń była w rękach elementu najbardziej bojowego. Żołnierze nie uzbrojeni — noszą butelki zapalające, granaty lub po prostu kamienie o kształcie i wadze granatów ręcznych. Rozbiją one twarz żołnierza niemieckiego lub obezwładnią jego ręce całkiem skutecznie na bliską odległość. A tej amunicji nam nie brakuje”.

Wydaje się jednak, że nikt z dowódców liniowych nie zamierzał się zbyt ściśle do tej instrukcji stosować, chociaż butelki zapalające tak teraz, jak i kilka lat wcześniej, w 1939, okazywały się w warunkach miejskich nader skutecznym środkiem walki z czołgiem. Ale przede wszystkim wykorzystywano raczej angielskie granatniki przeciwpancerne PIAT, których granat kumulacyjny był w stanie trafić i przebić z dowolnej strony niemal każdy niemiecki czołg — pod warunkiem, że odległość strzału była mniejsza niż sto metrów. I, co ważne, w przeciwieństwie do swoich niemieckich i amerykańskich odpowiedników nie tworzył po strzale chmury gorących gazów prochowych, które po pierwsze demaskowały strzelca, a po drugie wykluczały użycie takiego uzbrojenia w zamkniętych pomieszczeniach. Także w piosence powstańczej powinny być raczej PIAT-y, a później także rusznice zrzucane przez Sowietów w workach bez spadochronów, względnie butelki z benzyną. Tylko że one nie rymują się ani z „Tygrysami” ani z „Panterami”, ani z „Panzerkampfwagenami”.

Butelki z benzyną, których w dniu wybuchu walk Powstańcy mieli kilkanaście tysięcy, a które potem na bieżąco z dużą łatwością produkowali, budziły powszechny strach niemieckich załóg. Nie były wprawdzie w stanie zaszkodzić poważniej samemu czołgowi czy działu szturmowemu, wypalony pojazd zazwyczaj dawał się naprawić w polowym warsztacie i szybko wracał do linii, ale płonąca mieszanka przenikała przez szpary w pancerzu, po łączeniach włączów, klap, otworów obserwacyjnych, przez żaluzje silnika i często wznicała pożary wtórne, a przede wszystkim powodowała poparzenia załogi, ze śmiertelnymi włączniami. Ta metoda walki piechoty z czołgami przypisywana jest powszechnie Finom z czasów Wojny Zimowej 1939/1940, ale tak naprawdę po raz pierwszy została zastosowana przez stronę republikańską w hiszpańskiej wojnie domowej i stąd nieoficjalna nazwa butelki z benzyną — „koktajl Mołotowa”.

Najlepszą zaś bronią przeciwpancerną zawsze była własna broń pancerna. Obok nieużytego bojowo „Tygrysa” na Ochocie, Powstańcy ze zgrupowania „Radosława” z sierpnia zdobyli (przez łut szczęścia, dzięki użyciu wiązki filipinek lub granatu ze zrzutów zwanego „Gamonem” albo dzięki celnemu strzałowi z PIAT-a w tył wieży jednego z czołgów — relacje są sprzeczne) dwa czołgi typu „Pantera”, które niemalym trudem udaje się naprawić i uruchomić. Jeden o nazwie własnej „Magda” (pierwotnie „Pudel”) i drugi o nazwie własnej „WP”. W załogach obok zupełnych amatorów ochotników znajdzie się trzech lub czterech przedwojennych pancerniaków. Oba czołgi będą wspierały działania Kedywu do 11 sierpnia, kiedy wobec kolejnych uszkodzeń, a przede wszystkim defektów instalacji elektrycznej, zostaną podpalone przed wycofaniem się powstańców z Woli w stronę Starego Miasta. Prawdopodobnie zresztą Niemcy później je wyremontowali i po naprawach oba wozy wróciły do linii po stronie Niemców. Bo czołg trafić, unieruchomić, wytrącić czasowo z akcji czy nawet ranić i zabić załogę — było względnie prosto. Ale jeżeli przeciwnik panował nad terenem, to taki czołg rzadko kiedy był stracony bezpowrotnie. Stąd te rozbieżności pomiędzy tym, co jedna strona zgłaszała jako czołg trafiony, a druga raportowała jako uszkodzony i tylko czasem „stracony bezpowrotnie”. Te liczby się od siebie różniły mniej więcej w stosunku 3 do 1.

Nie inaczej było z jednym z niszczycieli czołgów typu „Hetzer”⁵³ ze składu 743 batalionu niszczycieli czołgów, który 2 sierpnia zdobyli żołnierze z batalionu „Kiliński”. Oburzili go granatami, butelkami z benzyną i wóz częściowo się wypalił od środka, a z załogi przeżył tylko jeden Niemiec. Początkowo „Hetzera” osadzono jako fragment barykady, ale następnie mimo znacznych zniszczeń wywołanych pożarem wóz wyremontowano, odmalowano, nadano mu imię własne „Chwat” i oddano do dyspozycji dowództwa okręgu AK. Były plany użycia go bojowo, ale na to nie zgadzał się „Monter”, bowiem przejazd wozu wymagałby rozbiórki części barykad na jego trasie. Wóz stał na podwórku Poczty Głównej, gdzie został zasypany gruzem w czasie nalotu 5 września. W tym samym mniej więcej czasie zgrupowanie „Krybar”⁵⁴ traci wykonany przez Powstańców własnymi środkami wóz pancerny „Kubuś” zbudowany z płyt stalowych na bazie podwozia ciężarówki Chevrolet, również zasypany gruzem w rejonie ulicy Okólnik na upadającym Powiślu. Ewentualnie, unikat. Nigdzie indziej ruch oporu nie był w stanie zbudować własnego wozu bojowego.

W tym sensie, metaforycznym, odległym od pierwowzoru, Powstańcy w jakimś sensie rzeczywiście przeciwstawiali „Tygrysom” — *vis*, czyli z łaciny „siłę” i to bynajmniej nie siłę rozumianą wprost, jako przewaga technologiczna, przemoc. Ale to już nie na mój rozum.



ODRZUCONA PROPOZYCJA

18 sierpnia 1944 roku, przekazując poprzez parlamentarzysty odpowiednie pismo do polskich linii, gen. Von Dem Bach-Zelewski podjął pierwszą próbę rozmów na temat kapitulacji Powstania Warszawskiego. W liście do dowództwa AK w Warszawie zaproponował żołnierzom AK poddanie się w zamian za potraktowanie ich zgodne z konwencjami ge-

⁵³„Hetzer” — Jagdpanzer 38(t), potocznie zwany „Hetzerem”, był produkowany przez Niemców w latach 1944-1945. Powstało ponad 2800 egzemplarzy tego udanego pojazdu. Dzięki niskiej sylwetce, silnej armacie kaliber 75 mm i pochylemu pancernowi doskonale nadawał się do ostrzeliwania z zasadzek nieprzyjacielskich czołgów. [przypis edytorski]

⁵⁴Zgrupowanie „Krybar” — zgrupowanie AK walczące w powstaniu od 5 sierpnia na Powiślu i w Śródmieściu. Dowódcą był kpt. Cyprian Odorkiewicz ps. „Krybar” — pseudonim pochodził z połączenia pierwszych liter imion jego córek, Krystyny i Barbary. 3 września Zgrupowanie „Krybar” połączono z oddziałami ewakuowanymi ze Starego Miasta i przemianowano na Grupę „Powiśle”. [przypis edytorski]

newskimi. Tę propozycję, podobnie jak inne, ponawiane co jakiś czas przez niemieckie dowództwo — Komenda Główna AK pozostawiła na długi czas bez żadnej odpowiedzi.

W tym czasie nie żyje już Tadeusz Gajcy⁵⁵, Krzysztof Kamil Baczyński⁵⁶ — co dla większości bohaterów tamtych zdarzeń nie ma wielkiego znaczenia. Tylko jeden z kolegów Baczyńskiego z batalionu, na pytanie obcego, kogo to się tak chowa z honorami, miał powiedzieć „Słowackiego!”. I nie żyje nie mniej niż 59. 400 (za ustaleniami A. Przygońskiego) mieszkańców Ochoty i Woli. Sowietci już nie przyszli z pomocą. Samoloty ze zrzutami od aliantów latają tylko z Włoch, pojedynczo, ponoszą straty. Kilka dni temu na Starym Mieście czolg saperski Borgward IV⁵⁷, zdobyty przez powstańców i nieumiejętnie przez nich prowadzony, eksplodował zabijając nie mniej niż trzysta osób. Sama Starówka już jest odcięta od innych dzielnic. Będzie płonąć i konać jeszcze przez dwa tygodnie.

Z drugiej strony — za dwie noce zostanie podjęta próba przebicia się z Żoliborza na Stare Miasto, potem ze Śródmieścia na Stare Miasto, jeszcze upadnie umocniona PASTA⁵⁸, a na początku września znowu będzie słychać huk sowieckich dział od Wisły.

Prawa kombatanckie alianci przyznają Armii Krajowej dopiero 30 sierpnia 1944 roku, dwanaście dni po von dem Bachu. Taka ironia losu. Ale ich stosowanie przez Niemców będzie selektywne i wybiórcze. Doświadczą tego wszystkie zdobywane dzielnice, a w szczególności podpalane miotaczami ognia i płytkami białego fosforu powstańcze szpitale na Starym Mieście.

Dłaczego zatem ta propozycja zostaje odrzucona? Dopiero co został wydany przez Komendę Główną AK rozkaz mówiący o tym, że oddziały partyzanckie mają iść na pomoc walczącej Warszawie. Do Kampinosu ruszył kilka dni temu z wyprawą jeden z oficerów Kedywu major „Okon”⁵⁹, który miał zastąpić rannego w walkach 1 i 2 sierpnia majora „Szymona” i zorganizować z dobrze uzbrojonego leśnego wojska grupę odsieczową, która miałaby uderzyć odciążając z Żoliborza na Stawki, Powązki, z których ledwo co wycofały się oddziały Kedywu „Radosława”. Ani Komenda Główna AK, ani dowódca warszawskiego okręgu AK „Monter” nie wiedzą za dobrze, jakie siły powstańcze są na Żoliborzu, nie mówiąc o możliwości oceny siły zgrupowań partyzanckich w Kampinosie, ale wszyscy czekają na ten ruch z dużą nadzieją. Nikt nie wie, że na Żoliborzu siły powstańców liczą zaledwie około 500 ludzi i nie ma mowy, żeby były w stanie stworzyć większe zgrupowanie uderzeniowe.

⁵⁵Tadeusz Gajcy ps. „Topór” (1922–1944) — poeta, żołnierz AK, w powstaniu walczył w Grupie „Ryszarda”, poległ 16 sierpnia. [przypis edytorski]

⁵⁶Krzysztof Kamil Baczyński ps. „Jan Bugaj” (1921–1944) — poeta, podharcemistrz Szarych Szeregów, żołnierz AK, w powstaniu żołnierz batalionu „Parasol”, poległ 4 sierpnia. [przypis edytorski]

⁵⁷czolg saperski Borgward IV — Sd.Kfz. 301 „Borgward IV” — niemiecki ciężki transporter materiałów wybuchowych, zdalnie detonowany przy pomocy radia, służył do wysadzania w powietrze nieprzyjacielskich umocnień. Wyprodukowano około 1200 pojazdów tego typu. W Warszawie walczył 302. Batalion Pancerny wyposażony w transportery tego typu. [przypis edytorski]

⁵⁸PAST-a — Polska Akcyjna Spółka Telefoniczna mieściła się w pierwszym warszawskim wysokościowcu wzniesionym w latach 1906–1908 przy ulicy Zielnej 39. W powstaniu jeden z głównych punktów oporu niemieckiego w Śródmieściu Północnym, zdobyty ostatecznie przez żołnierzy polskich po ciężkich walkach w dniu 20 sierpnia 1944. [przypis edytorski]

⁵⁹major Alfons Kotowski ps. „Okon” (1899–1944) — oficer służby stałej WP, uczestnik kampanii 1939 roku, później w ZWZ/AK, od 16 sierpnia 1944 roku dowodził Grupą „Kampinos” w stopniu majora. Partyzanci nie zdołali jednak w znaczący sposób odciążyć walczącej stolicy. W czasie odwrotu z Puszczy Kampinoskiej zgrupowanie zostało otoczone na skutek błędów mjr Kotowskiego, który poległ 29 września w niewyjaśnionych okolicznościach, niewykluczone, że z ręki swoich podwładnych. [przypis edytorski]



STRATEGIA PORAŻKI

Próbuję pamiętać, przypominać sobie, być tam dzień po dniu. Ułomnie, bo przecież praca, bunt dwulatka, zobowiązania i obowiązki (wbrew pozorom to nie to samo, chociaż jedno często z drugiego wynika). I co roku dziwi mnie, jak długo to trwa. Kiedyś, jeszcze w końcu lat 80-tych, nadawano w radio codziennie audycję na podstawie książki Władysława Bartoszewskiego „Dni Walczącej Stolicy”. To dawało jakieś wyobrażenie, fragmentaryczne, ale jednak. Audycje zaczynały się w środku lata, kończyły się zaś, kiedy większość drzew już rudziała i zdarzały się przygruntowe przymrozki. To dawało wyobrażenie, odległe echo tamtego trwania. Powstanie trwało i krwawiło.

Jest noc z 22 na 23 sierpnia. Nad ranem 22 sierpnia skończyło się niepowodzeniem drugie natarcie oddziałów z Żoliborza wspartych przez oddziały leśne z Kampinosu na Dworzec Gdański, które miało na celu odciążenie Starego Miasta, a w perspektywie utworzenie połączenia między nim a Żoliborzem. Z kolei Kampinos wobec słabości niemieckich sił wokół Warszawy miał dosyć bezpieczne kanały przetransportowania sprzętu i ludzi z Żoliborzem. Niemcy bali się działań na tym odcinku. Między Starym Miastem a Żoliborzem mieli w ręku pas terenu szeroki zaledwie na 600 metrów z linią kolejową i Dworcem Gdańskim.

Dwa polskie natarcia, szykowane i zapowiadane od połowy sierpnia, miały miejsce w nocy z 20 na 21 i 21 na 22 sierpnia. W sumie kosztowały życie około 500 powstańców. Straty oddziałów szturmowych wyniosły około 75% stanów wyjściowych, co oznacza, że zginęło lub zostało rannych 3 na 4 żołnierzy idących do ataku. Było to jedno z najkrwawszych starć w czasie Powstania. Operacja wymagała łączności i koordynacji różnych ugrupowań, współdziałania ze Starym Miastem — a tego zabrakło. Między innymi zrezygnowano z sygnalizowania rakietami momentu rozpoczęcia ataku, aby rzekomo nie niweczyć efektu zaskoczenia. Łączność radiowa między dzielnicami odbywała się via Londyn. Wyglądało to tak, że depezę trzeba było zaszyfrować, nadać do Londynu, gdzie trzeba było ją odebrać, rozszyfrować, zaszyfrować ponownie, nadać do odbiorcy, który musiał ją

odebrać i rozszyfrować. Często rozkazy, sugestie i plany nie pokrywały się już z zastaną sytuacją operacyjną. Niemcy znali znaczenie tego rejonu i spodziewali się powstańczej akcji w każdej chwili. W połowie lipca, więc jeszcze przed wybuchem Powstania, ustawili tam pociąg pancerny i czołg. Będący tam niejako „przejazdem” saperzy 19 Dywizji Pancерnej umocnili teren schronami bojowymi, stanowiskami granatników i moździerz. Rejon był też flankowany ogniem bocznym m.in. z Cytadeli i Fortu Traugutta. O żadnym zaskoczeniu od początku nie mogło być mowy.

Ataki były prowadzone w nocy, ale w czasie pierwszej próby uderzenia oddziały żołnierzy z Kampinosu ruszyły do ataku z gromkim okrzykiem „Hura!”, co zdaje się nijak się miało do efektu zaskoczenia. Oba natarcia odbyły się praktycznie bez łączności, bo ta opierała się ciągle na gońcach i pisemnych rozkazach, jakby był rok 1939. Zabrakło właściwego rozpoznania terenu, poszczególne poddziały gubiły się w nim i w ciemnościach traciły orientację. Koniec końców zabrakło koordynacji tak po stronie poszczególnych oddziałów z Żoliborza i Starego Miasta, jak i na większą skalę, między obiema walczącymi dzielnicami. Trudno powiedzieć, czy zadania, jakie postawiono przed zgrupowaniami, w istniejących warunkach były w ogóle wykonalne.

Evakuacja rannych odbywała się za dnia. Nie była łatwa, bo Niemcy, już w nocy do brze wstrzelani w teren, teraz dosyć celnie strzelali do bezbronnych sanitariuszek, z których kilka zginęło. Popołudniem 22 sierpnia część rannych, których nie zdołano ściągnąć z przedpola Starówki, rozjechały niemieckie czołgi, m.in. na boisku „Polonii”⁶⁰.

Po nieudanym natarciu z Żoliborza dochodzi do zamieszania w powstańczych szeregach. Oddziałom leśnym nakazuje się oddać broń na rzecz oddziałów miejskich, ale niektóre oddziały miejskie (zgrupowanie „Sosny”) tracą ludzi, którzy nie chcą wracać na Starówkę, ale wolą dołączyć do oddziałów w Kampinosie. Z kolei ponad 250 żołnierzy majora „Okonia” ze zgrupowania kampinoskiego nie chce oddać broni, ale wyraża gotowość wcielenia do oddziałów na Żoliborzu. Część oddziałów pod dowództwem kapitana „Trzaski” — Eugeniusza Konopackiego, dowódcy harcnerskiego batalionu „Wigry”, która najpierw przeszła ze Starego Miasta kanałami na Żoliborz, żeby wziąć udział w ataku na Dworzec Gdański, teraz wraca z powrotem kanałami do piekła. Dotrą tam 24 sierpnia, dwóch żołnierzy objuczonych sprzętem utonie w kanałach na skutek spiętrzeń, jakie Niemcy wywołali, budując sztuczne tamy.

Dla tych, którzy mieli jakąkolwiek orientację w topografii miasta i wycucie bitwy, niepowodzenie próby wywalczenia połączenia Żoliborza ze Starówką stanowiło wyraźny znak, że zbliża się koniec. Na pewno koniec izolowanej Starówki, na której broniły się najlepsze, najlepiej uzbrojone oddziały powstańcze. Gęsta zabudowa Starego Miasta i okolic powodowała, że Niemcy nie mieli jak się przebić, a jedynie mozolnie spychali obrońców do coraz mniejszego, coraz bardziej zatłoczonego kotła. Na obszarze mniejszym niż 2 na 2 kilometry kilka tysięcy powstańców i kilkadziesiąt tysięcy cywilów. Wystarczy spacer po współczesnej makiecie Starego Miasta z jego wąskimi uliczkami, aby zyskać pewne wyobrażenie o tym, co tam się mogło dziać.

Tymczasem Radio Londyn nadaje w wieczornej audycji chorał Kornela Ujejskiego⁶¹ zaczynający się od słów:

Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej,
Do Ciebie, Panie, bije ten głos,
Skarga to straszna, jęk to ostatni,
Od takich modłów bieleje włos.
My już bez skargi nie znamy śpiewu,
Wieniec cierniowy wrósł w naszą skroń,
Wiecznie, jak pomnik Twojego gniewu,
Sterczy ku Tobie błagalna dłoń.

⁶⁰na boisku „Polonii” — Stadion „Polonii” mieści się przy ul. Konwiktorskiej 6. W nocy z 21 na 22 sierpnia na jego terenie walki toczyły bataliony „Zośka” i Czata 49. [przypis edytorski]

⁶¹Kornel Ujejski (1823–1897) — poeta, przedstawiciel nurtu romantycznej twórczości inspirował się filozofią Andrzeja Towiańskiego i poruszał tematy religijno-etyczne. [przypis edytorski]

Młody żołnierz, pracownik biura propagandy KG AK i radiostacji „Błyskawica”, Zbigniew Jasiński⁶² nie wie, że to umówiony sygnał nadawany z Londynu przez SOE do kraju, że tej nocy zrzutów nie będzie i nie należy wystawiać obstawy zrzutowisk. Może tej nocy, w jakimś domu, piwnicy, na kwaterze w Śródmieściu, w dymie i łunie idącej ze Starówki pisze swój wiersz, kończący się słowami:

Halo! Tu serce Polski! Tu mówi Warszawa!
Niech pogrzebowe śpiewy wyrzucą z audycji!
Nam ducha starczy dla nas i starczy go dla Was!
Oklasków nie trzeba! Żądamy amunicji!

24 sierpnia przeczyta go na żywo na antenie Radia „Błyskawica” zaraz po wiadomościach, w których będzie mowa o tym, że 23 sierpnia powstańcy zdobyli budynek Komendy Policji na Krakowskim Przedmieściu, budynek MSW na Nowym Świecie i Kościół św. Krzyża, zdobywając dużo broni i amunicji. To będzie ostatni sukces powstańców i ostatnia oznaka inicjatywy⁶³. Od tego dnia zaczyna się już tylko uparte trwanie i agonia, która, odsuwana kolejnymi zwidami niosącymi nadzieję, będzie trwała 40 dni.

Wiersz Jasińskiego stanie się jednym z najbardziej znanych wierszy powstańczych. Może dlatego, że tej amunicji z wiersza do końca nie będzie, a powstanie będzie mimo wszystko trwało.

NA GRANICY NIESUBORDYNACJI

Powstanie trwa dwudziesty czwarty dzień. Po 22 sierpnia próby połączenia dzielnic walczącej stolicy się nie powiodły, a w południe 23 sierpnia kłóścią rozpoczęli atak na Starówkę przy pomocy wojsk niemieckich. W ten sposób rozkaz KG AK z 14 sierpnia 1944 roku, który brzmiał:

„Nakazuję skierować natychmiast najbardziej wartościowe i wszystkie rozporządzone, dobrze uzbrojone oddziały na peryferie miasta, znajdujących się na peryferiach, z zadaniem obrotu i wkroczenia do walki wewnątrz miasta”.

Niektórzy mówili, że to tak jakby namawiać czołwaki, ale 16 sierpnia przystąpiono do realizacji rozkazu. Czołwaki, w tym jednym okręgiem AK, który spróbował rozkaz KG AK realizować — setki ludzi — przez kilka-kilkanaście dni

w ciągłych walkach i potyczkach, a zebrane razem 20 i 21 sierpnia między Ruskim Brodem i Przysuchą liczyły ponad 6 tysięcy żołnierzy, uzbrojonych bez porównania lepiej niż Powstańcy w Warszawie. Razem z oddziałami z innych okręgów, które dobrowolnie oddały się pod komendę korpusu, były w pobliżu i zgłaszały gotowość marszu na Warszawę — np. 74 pułk piechoty AK — z łatwością ta liczebność przekroczyłaby 10 tysięcy ludzi pod bronią. Komenda Główna AK, jakby nie zwracając uwagi na to, że jednostki są jeszcze około 150 km od miasta — sugerowała, żeby oddziały korpusu „Jodła” uderzyły od strony Ochoty, a nie Piaseczna, gdzie Niemcy byli liczni i umocnieni.

Duch i morale w korpusie było wysokie, uczestnicy tamtych zdarzeń wspominali, że towarzyszyły im emocje, jakie chyba były udziałem Warszawiaków w pierwszych dniach Powstania. Ale ich dzień zemsty i odwetu jeszcze nie nadszedł. Czekali.

⁶²Zbigniew Jasiński ps. „Rudy” (1908–1984) — dziennikarz, poeta, żołnierz AK, autor słynnego wiersza *Żądamy amunicji!* uważanego za najpopularniejszy w czasie powstania, po wojnie na emigracji. [przypis edytorski]

⁶³ostatnia oznaka inicjatywy — Nie jest to do końca ścisłe. Jeszcze 2 września batalion „Miłosz” opanował szturmem gmach YMCA (Young Men’s Christian Association) przy ulicy Konopnickiej 6. [przypis edytorski]

⁶⁴Kielecki Korpus AK „Jodła” (z 7 Dywizji Piechoty AK oraz 75 i 25 Pułk piechoty) — Kielecki Korpus Armii Krajowej powstał 17 lipca 1944 roku. Jego dowódcą był płk Jan Zientarski ps. „Mieczysław”. [przypis edytorski]



Rozpoznanie wykryło, że przeprawy przez Pilicę w rejonie Nowego Miasta nad Pilicą i Białobrzegów są umocnione, ale słabo obsadzone, niektóre patrole dotarły nawet do Tarczyna, na przedmieścia Warszawy. Dalsze rozpoznanie wskazywało na obecność w terenie trzynastu niemieckich dywizji piechoty i ośmiu dywizji pancernych. Dowódcy AK nie mogli wiedzieć, że to dane grubo przesadzone — tyle nie liczyła nawet cała niemiecka 9 Armia broniąca Wisły od Sandomierza po Modlin. Ale to się wie po fakcie, z opracowań powstałych wiele lat po wojnie. Podejmujący decyzje takiej papierowej wiedzy nie mieli. Wiedzieli tylko, że mają w rękę równowartość jednej dywizji bez broni ciężkiej, łączności operacyjnej i taktycznej, środków transportu i ewentualnych środków medycznych dla rannych.

Nad zgrupowaniami ciągle krążyły niemieckie samoloty rozpoznawcze, od wysuniętych patroli niósł się co jakiś czas grzechot broni maszynowej. Niemcy wiedzieli, że coś się święci. Wiedział też von dem Bach w Warszawie. Po wojnie będzie wspominał, że ewentualna odsiecz innych oddziałów partyzanckich to było coś, co spędzało mu sen z powiek.

A jednak. Dowódcy się wahali. Z lasów pod Ruskim Brodem i Przysuchą trzeba było w walce pokonać przeprawy na Pilicy, a potem partyzantów czekał marsz, około 100 kilometrów w terenie pozbawionym większych kompleksów leśnych aż do Lasu Kabackiego i z niego atak na Warszawę, w którym o zaskoczeniu przeciwnika już raczej nie byłoby mowy. Dla zgrupowania liczącego kilka tysięcy albo nieco więcej ludzi, z taborami opartymi o trakcję konną, to było minimum pięć-sześć dni marszu, prawdopodobnie w ciągłych walkach, bez możliwości ukrycia się w lasach, przy panowaniu przeciwnika w powietrzu i bliskości — relatywnej, ale jednak — niemieckich jednostek pancernych, przeciwko którym broni było mało. Powodzenie w tych walkach wobec braku doświadczenia kadry w operowaniu wielkimi jednostkami nie było wcale takie pewne. To wszystko była zacięta, waleczna, ale partyzancka brać — tak jak 400 żołnierzy legendarnego „Ponurego”⁶⁵, których przyprowadził godny spadkobierca legendy majora Piwnika — Eugeniusz Kaszyński „Nurt”⁶⁶. Dalszy ruch na Warszawę oznaczał także оголошение rodzimego terenu z wojska, które wśród licznych zadań miało także ochronę ludności cywilnej przed akcjami odwetowymi Niemców. W polu zostałyby tylko jednostki podległe PKWN i komunistom z Lublina⁶⁷.

Poza tym nawet zakładając, że jakimś cudem udałoby się korpusowi dotrzeć do Warszawy, byłiby to ludzie śmiertelnie zmęczeni marszem, walkami, pozbawieni amunicji i żywności — a tego przecież, a nie ludzi chętnych do walki, brakowało w mieście, któremu mieli iść na pomoc. Dzięki łączności z Londynem i Brindisi dowództwo korpusu wiedziało też, że o żadnych zrzutach broni dla niego nie mogło być mowy, bowiem cały wysiłek eskadr transportowych SOE był skierowany na Warszawę i Kampinos. Niemcy wiedzieli, podejrzewali jaki jest cel marszu tych rozproszonych oddziałów. Chwilowo nie mieli czym tego marszu zatrzymać, bowiem toczyli ciężkie walki z Sowietami na przyczółkach na Wiśle — pod Puławami, Warką i Sandomierzem. Ale zbierali się do tego powoli, w desperacji sięgając po jednostki węgierskie, o których wiedzieli, że ich karność w walce z Polakami może być problematyczna. W tej ostatniej kwestii mieli rację.

23 sierpnia w gajówce Promień koło Przysuchy odbyła się dramatyczna narada sztabu okręgu „Jodła” w składzie: dowódca korpusu płk Jan Zientarski, pseudonim „Miecz-

⁶⁵Jan Piwnik ps. „Ponury” (1912–1944) — przed wojną służył w Policji Państwowej, uczestnik kampanii 1939 roku. W listopadzie 1941 roku zrzucony do Polski na spadochronie jako tzw. cichociemny, dowodził oddziałami partyzanckimi w Górach Świętokrzyskich i na Nowogródczyźnie. Wsławił się brawurowymi akcjami, popadając przy tym w konflikty z przełożonymi z AK. Poległ 16 czerwca 1944 roku w czasie walki z Niemcami pod wsią Jewłaszce. [przypis edytorski]

⁶⁶Eugeniusz Kaszyński ps. „Nurt” (1909–1976) — cichociemny, od 1942 roku w okupowanym kraju, służył w Kedywie i w jednostkach partyzanckich. W 1944 roku dowódca batalionu w 2 Pułku Piechoty AK. Po wojnie na emigracji, zmarł w zapomnieniu w Wielkiej Brytanii. [przypis edytorski]

⁶⁷PKWN i komunistom z Lublina — PKWN — Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego. Był to marionetkowy rząd złożony z podporządkowanych Stalinowi polskich komunistów. Swój manifest ogłosił 22 lipca 1944 roku w Lublinie. [przypis edytorski]

sław⁶⁸, szef sztabu korpusu ppłk Wojciech Borzobohaty „Wojan”⁶⁹, oficer operacyjny — mjr dypl. Bolesław Jackiewicz „Rys”⁷⁰, oficer informacyjny — mjr Jan Górski „Faraon”⁷¹, kwatermistrz — mjr. dypl. int. Włodzimierz Talko „Obuch”⁷² oraz dowódca 2 DP ppłk Antoni Żółkiewski „Lin”⁷³ i 7 DP płk Gwidon Kawiński „Czesław”⁷⁴. Zdania były podzielone, koncepcje różne — od przebijania się całością sił, po wyekwipowanie trzech elitarnych batalionów, które pojedynczo mogłyby łatwiej przeniknąć do Warszawy i dać jej realne wsparcie. Ostatecznie pułkownik „Mieczysław” podjął decyzję o przerwaniu Akcji „Zemsta”, czyli odsieczy dla walczącej Warszawy, rozwiązaniu koncentracji, rozdzieleniu zgrupowania i przejściu do realizacji Akcji „Burza” na swoim terenie w oczekiwaniu na ruch Sowiec. Ostatecznie nikt nie wiedział, że front właśnie stanął na pół roku. Sowieci walczyli na przyczółkach, biła się Warszawa. Przejście do walki na swoim terenie wydawało się mieć sens.

24 sierpnia rano podano tę wiadomość dowódcom zgrupowań, a oni przekazali ją podkomendnym. Cezary Chlebowski w beletryzowanym „Reportażu z tamtych dni” opisuje, że karne dwuszeregi się zachwiały, było blisko buntu, dało się słyszeć krzyki „Zdrada!”, „Nie wracamy!”, „Na Warszawę!”. Leśne wojsko miało swoje zdanie. Trudno znaleźć teraz bezpośrednią relację, ale to chyba trwało dłuższy czas, kiedy — rzecz nie do pomysłenia w regularnym wojsku — dowódcy przekonywali podkomendnych do decyzji odwrotu, a podkomendni chcieli iść się bić. Niektórzy oficerowie chcieli popełnić samobójstwo. Część zgrupowań odeszła 24 sierpnia wieczorem, część 25 sierpnia, część 26 sierpnia. Nastąpiło to niemal w ostatniej chwili, bowiem Niemcy już zaczęli gromadzić wokół siły, aby wielkie zgrupowanie partyzanckie zniszczyć.

27 sierpnia decyzję „Mieczysława”, na granicy niesubordynacji i dezercji przyjął do wiadomości dowódca AK gen. „Bór”, jednak polecał niejako w zamian zdobyć jeden z większych ośrodków na terenie AK „Jodła” — Kielce lub Radom. Do niczego takiego nie doszło, nie było mowy o operowaniu dużym zgrupowaniem w terenie, który był silnie nasycony regularnym wojskiem, na tyłach frontu wschodniego. Podobno niektórzy z żołnierzy AK, odwracając wzrok i posłusznie odmaszerowując, mieli łzy w oczach. Odchodzili na rozkaz, ale nie do domów. Czekali ich długie tygodnie leśnej walki, wielu z nich walczyło jeszcze w listopadzie 1944 roku. Raz rozwiązana koncentracja miała się już nie powtórzyć.

Zbigniew Zieliński⁷⁵, żołnierz 74 pułku piechoty AK z Radomska, napisze w swoich wspomnieniach:

„Kiedy wracaliśmy w połowie września w rejon wymarszu — do lasów radomszczańskich — i maszerowaliśmy zwartym szeregiem przez wieś Cie-

⁶⁸ppłk Jan Zientarski ps. „Mieczysław” (1894–1982) — oficer służby stałej WP, w kampanii 1939 roku dowódca piechoty dywizyjnej 10 DP, od 1942 inspektor Komendy Głównej AK na okręg radomsko-kielecki, od sierpnia do października 1944 roku dowódca Korpusu Kieleckiego AK, w latach 1946–1950 więziony przez władze komunistyczne. [przypis edytorski]

⁶⁹ppłk Wojciech Borzobohaty ps. „Wojan” (1908–1991) — oficer służby stałej artylerii WP, w konspiracji od 1939 roku, pełnił wysokie funkcje sztabowe w AK w Warszawie, w latach 1943–1944 szef sztabu komendanta Okręgu AK Radom-Kielce, od 1945 do 1953 roku więziony przez władze komunistyczne, w latach 1990–1991 prezes Światowego Związku Żołnierzy AK. [przypis edytorski]

⁷⁰mjr dypl. Bolesław Jackiewicz „Rys” (1914–1982) — oficer służby stałej WP, cichociemny (zrzucony w kraju w kwietniu 1944 r.), oficer operacyjny sztabu Okręgu AK Radom-Kielce, w latach 1957–1961 poseł na sejm PRL. [przypis edytorski]

⁷¹mjr Jan Górski „Faraon” — oficer służby stałej WP, uczestnik obrony Warszawy w 1939 r., od 1941 r. pełnił funkcję II zastępcy Szefa Oddziału II Wywiadu Komendy Okręgu AK Radom-Kielce, po wojnie pozostał w kraju. [przypis edytorski]

⁷²mjr. dypl. int. Włodzimierz Talko „Obuch” (1908–1983) — oficer służby stałej WP, w 1944 r. w stopniu majora kwatermistrz Korpusu Kieleckiego AK, po wojnie w kraju. [przypis edytorski]

⁷³ppłk Antoni Żółkiewski „Lin” (1896–1945) — oficer służby stałej WP, w kampanii 1939 r. w stopniu podpułkownika dowódca 5 Pułku Strzelców Podhalańskich, od sierpnia do października 1944 r. dowódca 2 Dywizji Piechoty AK, w 1945 aresztowany przez NKWD, odbity z transportu przez oddział Antoniego Hedy ps. „Szary”, zmarł na zawał w czasie ucieczki. [przypis edytorski]

⁷⁴ppłk Gwidon Kawiński „Czesław” (1891–1962) — oficer służby stałej WP, w kampanii 1939 r. dowódca piechoty dywizyjnej 27 DP, w czasie okupacji w ZWZ/AK, od lipca do października w stopniu pułkownika dowódca 7 Dywizji Piechoty AK, po wojnie pozostał w kraju. [przypis edytorski]

⁷⁵Zbigniew Zieliński ps. „Sęk” (1927–) — żołnierz AK, uczestniczył również w konspiracji antykomunistycznej po wojnie, zdołał uniknąć wykrycia i aresztowania, w latach 1991–1992 Kierownik Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych. [przypis edytorski]

lętniki, jakaś kobieta wyskoczyła z chałupy, uklękła na drodze i krzyczała: „O Boże! — mnie hitlerowcy wywieźli po upadku Woli i wszystkich straciłam... to u nas chłopcy z butelkami w rękę atakowali czołgi, a tu prawdziwe Wojsko Polskie...”.

Nie wszyscy ci młodzi ludzie przeżyli wojnę, ale można zaryzykować chybotliwe przypuszczenie, że przeżyło ich jednak dużo więcej, niż gdyby dowództwo okręgu „Jodła” zdecydowało się kontynuować marsz w stronę płonącego miasta i podjęło decyzję w tamtym momencie oczekiwaną przez ogół. Sztab podjął jednak inną, psychicznie o wiele trudniejszą, decyzję o odwrocie.

O SILE INTENCJI

No proszę sobie wyobrazić. Jest lipiec, lata dziewięćdziesiąte, nad orawską wsią zapada mrok i to jest prawdziwy mrok. Na wzgórzach nie mrugają jeszcze stacje przekładnikowe gsm, drogę przez wieś, która ma około 600 numerów i długość około 12 kilometrów, oświetla ledwie kilkadziesiąt latarni, nikt nie oświetla sobie podwórek, ścian domów, ganczków, daszków nad drzwiami. Siedzimy w chacie na wzgórzu, pod ścianą stoi stary metalowy piec na drewno, w którym tli się ogień, na fajerkach grzeje się czajnik, wokół krząta się Jola, żona Franka. Franek siedzi niby to wygodnie rozparty za stołem na ławie, ale kiedy mówi, całym sobą wyraża jakiś rodzaj niepokoju. Mamy po kilkanaście lat, jesteśmy przekonani o swojej nieomyślności gnojami, każdy wybór, którego do tej pory dokonywaliśmy, wydawał się być jedynym możliwym, każde odkrycie miało posmak prawdy ostatecznej.

Do Franka chodziliśmy na rozmowy o duchowości. Franek miał wiele w sercu, wiele w głowie i wiele na półkach. Na co dzień pracował jako psychiatra i psycholog dla policji, po godzinach zajmował się życiem. Intensywnie musiał je testować, sprawdzać, odrzucać kolejne zaślony, iluzje, pewnie — tego dzisiaj nie wiem — samo życie lubiło zrzucać przed nim swoje ciuszki, ale niewiele i tak odsłaniało. Za kilka lat spotkamy się już jak dorośli ludzie i Franek powie, że od kiedy miewał w nocy ataki astmatyczne i z trudem łapał oddech, zrozumiał, że wszystko, co przeczytał czy usłyszał o duchowości, to jedno wielkie nic, że kiedy brakuje ci oddechu w nocy — liczy się tylko oddech i on się robi od tego bardzo świadomy. Ale na razie jeszcze jest mrok, noc, lipiec, w ciemnościach nad wsią wznosi się wielka góra, która wcale nie jest znowu taka wielka, ale największa w okolicy, dlatego to ją miejscowi nazywają Synajem — a nie tatrzańskie granie widoczne przy dobrej pogodzie po przeciwnej stronie. I Franek jeszcze nie miewa bezdechów w nocy. Jest pełen życia, drżenia, a wydaje się, że żadna z książek, które czytał, nie przyniosła jego duszy ukojenia. I dzieli się właśnie tym stanem, nie daje odpowiedzi, nie zgrywa żadnego guru, mimo że jest od nas starszy o dwa pokolenia i mógłby. Ale przecież wszyscy jesteśmy przechodniami, wszyscy w drodze. Jesteśmy i zaraz znikamy.

— Więc, rozumiesz, intencja... — Franek zerkał na mnie swoimi przeraźliwie niebieskimi oczyma spod bandanki zrobionej z kraciastej, flanelowej koszuli, z którą nie rozstawał się nawet tutaj, pod dachem, kiedy nie groziło mu zalenie potem z wysiłku — ...intencja załatwia wszystko, rozumiesz, jest ważniejsza od modlitwy, medytacji, mantrowania, wszystko to gówno, jeżeli nie masz intencji, właściwej intencji, nie masz tej świadomości, że ta intencja jest właściwa... musisz to wiedzieć, bo to jest najważniejsza rzecz, inaczej to wszystko co robisz jest gówno warte...

Przerwał i patrzył na efekt, jaki wywołał. A chyba lubił wytrącać rozmówcę z dobrego samopoczucia, i czekał na pierwsze tego oznaki. Stąd dramatyczna emfaza, pozorne przeczenie temu, co się powiedziało wczoraj albo przedwczoraj. Na przykład o modlitwie, mantrze albo medytacji.

O, i to tak jest, widzisz, że jak robisz coś w intencji — tutaj wstał i udał się w stronę czajnika, pocierając dłońmi o wystrzępione od zużycia džinsy, które urywały się w połowie łydek, jakby od zawsze były za krótkie — masz na przykład dla siebie rzucić palenie, albo wódę — nie ma szans, gówno sam siebie obchodzisz, nie zrobisz tego sam dla siebie! Ale — znowu zawiesił głos, nalewając z czajnika gorącej wody do kubka — jak wymyślisz

sobie, że nie dla siebie, ale rzucasz palenie dla chorej babci, ooooo, to inna sprawa, pewnie ci się uda. Ale nie wiesz czemu, nie wiesz, o ha! Widzisz, nie wiesz!

— Ale Franek zaraz Ci to wytłumaczy — z uśmiechem dodała Jola, obserwując z pogodnym wyrazem twarzy męża i nas, zebranych wokół stołu. — Ha... właśnie, bo nawet nie wiesz, że zmanipulowałeś swoje fałszywe ego! — kontynuował Franek, jakby nie usłyszał Joli — ono sobie myśli, że rządzi światem, ho-ho, robi coś dla kogoś, ma nad czymś władzę, a Ty właśnie o — złamałeś je, umniejszyłeś, tak o.

Franciszek usiadł na swoim miejscu i zamyślił się na chwilę, spoglądając jak w blaszanym kubku gorąca woda rozwija zasuszone liście ziół.

— Albo taki wysiłek w górach, dzisiaj byliście na Babiej, ciężko, słońce, pot — podniósł wzrok znad kubka — ale to idziesz dla siebie, dla swojego ego, dla swojego iluzorycznego „ja”, żeby być na szczycie, o rozumiesz, kurwa, byłem na szczycie, pokonałem górę, ooo, ale się napasło Twoje ego, oooo. Ale jak byś szedł z intencją, że nie dla siebie idziesz, ale wnosisz tę intencję na szczyt, na górę, to idzie się inaczej. Wiem co mówię, wiem co mówię...

Podnieśliście wszyscy na Franka wzrok, bo zdawało się, że docierał do jakiegoś szczególnego obszaru, a on zauważył to i widać było, że bardzo go to ucieszyło. Mówił do was wszystkich, ale zarazem każdy czuł się wywołany do tablicy z osobna, bo używał wyłącznie liczby pojedynczej drugiej osoby.

— ...No bo widzisz, ja na przykład co roku pierwszego sierpnia idę na Babią Górę za tych z Powstania Warszawskiego, tylko z jednego powodu — że ja mogę, a oni już nie...

Zamilkł, opuścił wzrok i popatrzył jeszcze raz do wnętrza kubka, gdzie zapewne suche witki ziół napęczniały już od wilgoci i zogromniały, zasłaniając blaszane dno.

— Oni już nie... — dodał w zamyśleniu i zamilkł.

PRZEBICIE DO ŚRÓDMIEŚCIA. NIE O WSZYSTKIM ŚPIEWA LAO CHE

Przez zieleń łąk, przez złoto pól
Idź z nami w tyralierce
A kiedy ci zabraknie kul
Na szalę ciśnij serce

Jan „Bonawentura” Romocki

Coraz dalej od tamtego popołudnia pełnego nadziei. Jest rano, a ja myślę o tym, co wydarzy się tej nocy. Trzydziesty sierpnia to kolejny dzień oblężenia Starego Miasta. Walki o różnym stopniu nasilenia trwają też na Mokotowie, Śródmieściu, Żoliborzu, ale to na Stare Miasto koncentrycznie kierują się główne siły von dem Bacha. I tam też biją się najlepsze powstańcze oddziały, w tym bataliony Kedywu czyli Kierownictwa Dywersji ze zgrupowania „Radosław”. 29 sierpnia wobec ogromnego wyczerpania walką oraz wysokich strat w jednostkach bojowych, sięgających od początku działań grupy odsieczowej około 4000 zabitych i rannych — Niemcy wstrzymują aktywne działania przeciwko Starówce. Pozostają przy działaniach oblężniczych — ostrzale artyleryjskim, bombardowaniu, nękanii obrony wypadami i patrolami — ale chwilowo nie szturmują. Dzieje się też tak dlatego, że po dłuższej przerwie w stronę Warszawy znowu rusza sowieckie natarcie i ze zgrupowania von dem Bacha wycofywane są czasowo różne jednostki, m.in. pododdziały saperów, niezbędne do walki w mieście. Z meldunków dowódcy 9 Armii Von Vormanna i von dem Bacha wynika, że Niemcy nie są w stanie w najbliższych dniach doprowadzić do rozstrzygającego szturm na Starym Mieście, które jest dla nich kluczowym punktem w systemie obronnym Powstańców. Chyba, że nastąpi jakieś nieprzewidziane załamanie po stronie Polaków.

Niewiele widzące ponad skraj barykady i słabo zorientowane w ogóle sytuacji wokół dowództwo Powstania tworzy w tym czasie plan przebiccia się ze Starówki do Śródmieścia. Wojsko na Starym Mieście jest skrajnie przemęczone, skrwawione, ludność cywilna daleko za granicą wytrzymałości. Opuszczenie Starego Miasta oznacza stworzenie wielkiej wyrwy w systemie obronnym Warszawy, ale podejmującym decyzje wydaje się, że innego wyjścia nie ma.

Plan uderzenia jest dziwnie podobny do nieudanego ataku na Dworzec Gdański sprzed tygodnia. Wyselekcjonowane grupy uderzeniowe złożone z najlepiej uzbrojonych i najbardziej sprawdzonych w walce żołnierzy wyciągniętych ze swoich macierzystych oddziałów utworzą zgrupowania szturmowe i uderzą równocześnie ze Starego Miasta oraz Śródmieścia o godzinie 23:00 na relatywnie wąski pas terenu utrzymywany przez Niemców. Wykorzystując ciemności oraz zaskoczenie utworzy się drogę oddziałom ze Starówki na Śródmieście. Za grupami szturmowymi miał ruszyć drugi rzut uzbrojonych oddziałów, potem nieuzbrojony personel, lżej ranni, służby, ewentualnie ludność cywilna, chociaż jej tak naprawdę chyba nikt nie brał poważnie pod uwagę. Zaskakującemu w zamierzeniu atakowi miał towarzyszyć „desant” specjalnej grupy uderzeniowej z kanałów na Plac Bankowy, który miał odwrócić uwagę i wprowadzić zamieszanie w szeregach niemieckich.

Nikt nie założył utrzymania Starówki i stopniowej ewakuacji kanałami. W zasadzie nie wiadomo dlaczego. Nie poczyniono też takich przygotowań. Na pytanie o ewakuację kanałami w trakcie jednej z porad mjr Stanisław Klepacz ps. „Jesion”⁷⁶ miał odpowiedzieć: „ja do kanału nie wejść”. Wszedł, ale dwa dni później. Może dlatego też nikt nie wysadził tamy w kanałach między Starówką a Żoliborzem, przy pomocy której Niemcy spiętrzyli poziom ścieków w całej sieci kanalizacyjnej. Taka akcja nastąpi od strony Żoliborza dopiero w nocy z 1 na 2 września, a dokona tego grupa minerów ze Zgrupowania „Żywiela” z Żoliborza przy pomocy bomby zegarowej złożonej z plastiku ze zrzutów i zwykłego, domowego budzika. Ale będzie już za późno na planową ewakuację. Ze Starówki na Żoliborz przejdzie zaledwie około 800 osób, głównie żołnierzy ze zgrupowań Armii Ludowej.

Zbiorowa pamięć, jeżeli sięga tej nocy, żywi się głównie epopeją Kompanii „Rudy” z Batalionu „Zośka”, razem około 60 młodych ludzi, opisaną pierwotnie przez Aleksandra Kamińskiego⁷⁷, a wyśpiewaną przez Lao Che w niezapomnianym „Przebicciu do Śródmieścia”. Ludzie pod dowództwem Andrzeja „Morro” Romockiego⁷⁸ najpierw przebijają się w nocy przez ul. Bielańską, potem cały dzień 31 sierpnia ukrywają się w podziemiach budynków i kolejnej nocy z 31 sierpnia na 1 września 1944 roku, udając oddział niemiecki, przekradają się przez teren nieprzyjaciela do Śródmieścia. W ostatnim momencie Niemcy rozpoznają, że mija ich oddział powstańczy, a od Śródmieścia też padają pierwsze strzały, bowiem nikt tam ich nie oczekuje tej nocy. Ginie wtedy ostatni żołnierz z kompanii „Giewont” z batalionu „Zośka” — nikt nie wie, czy od polskiej, czy niemieckiej kuli. Dowodzący kompanią Andrzej Romocki „Morro” krzyczy wtedy w stronę powstańczych pozycji słynne słowa:

— „Ra-do-sław”, nie strzelać! Tu Starówka! Nie strzelać!

Dochodzą do swoich poranieni, kontuzjowani, ale żywi. Historia, która okazuje się cudem, wyjątkiem, bo przecież realia tamtej nocy wyglądały zupełnie inaczej.

Koncentrację i przegrupowanie do ataku zamierzano rozpocząć 30 sierpnia po zmroku, co dawało bardzo mało czasu na zmontowanie natarcia. Jak uważa Antoni Przygoński,

⁷⁶ mjr Stanisław Klepacz ps. „Jesion” (1888–1958) — w latach 1918–1938 oficer służby stałej WP, w powstaniu kolejno komendant Kwatery Głównej Dowódcy AK, kwaterymistrz Grupy „Północ”, zastępca dowódcy Grupy „Północ” i wreszcie zastępca komendanta Obwodu Śródmieście. Po wojnie na emigracji w Stanach Zjednoczonych. [przypis edytorski]

⁷⁷ Aleksander Kamiński (1903–1978) — pedagog, członek ruchu harcerskiego, w czasie wojny w ZWZ/AK, zasłynął opublikowaniem w czasie okupacji konspiracyjnej książki *Kamienie na szaniec*, w której opisał losy warszawskich harcerzy działających w podziemiu, nie ustrzegł się jednak błędów (m.in. niesłusznie posadził Henryka Ostrowskiego ps. „Heniek” o załamanie w śledztwie i zdradzenie Gestapo informacji na temat warszawskiej konspiracji). [przypis edytorski]

⁷⁸ Andrzej Romocki ps. „Morro” (1923–1944) — harcerz, żołnierz AK, w powstaniu dowódca 2 kompanii batalionu „Zośka”, poległ 15 września. [przypis edytorski]

zdecydowano tak właśnie dlatego, żeby ludność cywilna i ranni ze szpitali, których było na Starówce kilka, nie zorientowali się w sytuacji. A trzeba było огоłosić całe odcinki z obsady, żeby o oznaczonej godzinie zebrać wybranych ludzi i pododdziały na południowym skraju dzielnicy. Na wielu ulicach i barykadach pozostawiono tylko kilkusobowe patrole, część pozycji na noc pozostała w ogóle nie obsadzona. Cała akcja miała być nie tylko przeprowadzona w nocy, ale i objęta najściślejszą tajemnicą przed mieszkańcami Starego Miasta.

Pierwszy rozpoczyna zejście do kanałów desant wyznaczony do ataku na Plac Bankowy. Jest około dwudziestej. To resztki dzielnego batalionu „Czata 49” — razem około 100, może 150 ludzi. Nie ma jasności co do tego, kto ostatecznie dowodził tym desantem. Pojawiają się dwa nazwiska — kapitan Zdzisław Zołociński ps. „Piotr”⁷⁹ i kapitan „Motyl” — Zbigniew Ścibor-Rylski, obaj weterani z 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK. Desant ma wyjść na raz trzema włazami, opanować plac, zaryglować ogniem trzech erkaemów wyloty i wystrzelić rakietę, sygnalizując siłom w Śródmieściu i na Starówce, że można zaczynać koncentryczne natarcie.

Zejście do kanałów ze sprzętem i uformowanie kolumny z przewodnikiem trwa trzy kwadransy. Tempo przemieszczania się w kanale wynosi średnio 500 metrów na godzinę. Spora część drogi to nie jest wielki kolektor burzowy, w którym Andrzej Wajda kręcił „Kanał” ale boczna odnoga, wysoka na 90 centymetrów i szeroka na 50, gdzie idzie się w kucki, w pochyleniu lub na czworakach, z bronią, którą trzeba chronić przed zanieczyszczeniem, żeby się nie zacięła, z amunicją, która ma wystarczyć na akcję. Tam nie udałoby się nakręcić żadnego filmu. I tak trzy do czterech godzin. Do oddziału nie dołączył na czas pluton telefonistów z aparatem i kablem. Na ich zejście do kanałów nie zezwolił major „Barry”, Włodzimierz Kozakiewicz⁸⁰, dowódca oddziału żandarmerii strzegący włazów do kanałów. Po prostu nie uwierzył telefonistom, że idą na akcję i podejrzewał ich o próbę dezercji. Nie było w tym nic niezwykłego, bowiem nie dalej jak 28 sierpnia bez porozumienia z dowództwem Starówki kanałami odszedł trzystuosobowy oddział AL. Telefoniści na domiar złego nie mieli żadnych papierów, przepustek i nie było z nimi oficera, który by mógł za nich zaręczyć. I tak desant poszedł bez łączności z dowództwem.

O zmierzchu, wraz z ruchem luzowanych grup szturmowych w kierunku południowej części Starówki okazało się, że całej wielkiej tajemnicy nie udało się utrzymać nawet kilka godzin. Jak pisze Stanisław Podlewski w swojej książce *Przemarsz przez piekło*:

„Wieść rozeszła się lotem błyskawicy, wyrwała rzesze mieszkańców ze stanu beznadziejnego oczekiwania i ośpienia. Każdy chciał wyjść z tego piekła. [...] Gdy tylko zapadł mrok — ze wszystkich schronów, piwnic i nor na pół zasypanych zwalami gruzu, zaczęły wynurzać się gromady ludzi z tobołkami i zawiniątkami. Idą przez ulice, o których świadczą już tylko wysokie zwaly gruzu, czarne przewody kominów i zręby fundamentów. [...] Zewsząd niosą rannych. Na ramionach, na krzesłach, na stołkach, na noszach, na wózkach dziecięcych. [...] W pewnej chwili błysk rakiety rzuca snop silnego światła. Pod zwałonym balkonem stoi młoda kobieta. Do jej kolan tuli się dwoje małych dzieci. Oczy wypaliły jej odpryski z bomby zapalającej. Krwawe oczodoły przysłonięte opaską. Na czole świecą rany, w które wżarł się głęboko fosfor. Te małeństwa będą ją prowadzić?”

⁷⁹kapitan Zdzisław Zołociński ps. „Piotr” (1916–1964) — oficer służby stałej WP, saper, od 1940 w konspiracji warszawskiej oraz przez jakiś czas tarnowskiej, od lutego do lipca 1944 w 27 Wołyńskiej Dywizji AK, w powstaniu dowódca plutonu, a następnie kompanii w batalionie „Czata 49”. Według Muzeum Powstania Warszawskiego dowódca desantu kanałowego na Plac Bankowy w nocy z 30 na 31 sierpnia. Dwukrotnie ranny we wrześniu, po wojnie pozostał w kraju. [przypis edytorski]

⁸⁰major „Barry”, Włodzimierz Kozakiewicz — Włodzimierz Kozakiewicz ps. „Barry” (1911–1954) — losy przedwojenne nieustalone, w konspiracji warszawskiej służył w Państwowym Korpusie Bezpieczeństwa, w powstaniu w stopniu kapitana/majora szef żandarmerii Grupy „Północ”. Jego głównym zadaniem było kontrolowanie dostępu do kanałów, w czym, według niektórych przekazów, wykazywał się wraz z podwładnymi nadmierną brutalnością wobec ludności cywilnej i żołnierzy AK. Należy jednak pamiętać, że w warunkach rozpręgnięcia dyscypliny i narastającej paniki wśród ludności Starego Miasta pobłażliwość mogła mieć katastrofalne skutki. Po wojnie mjr Kozakiewicz wrócił do Polski i był więziony przez komunistyczne władze. [przypis edytorski]

W tych warunkach nie ma możliwości, żeby oddziały poruszały się sprawnie. Ulice są wąskie i zagruzowane, jest ciemno i w tłumie rwie się spoistość oddziałów. Wyznaczony termin uderzenia z 23:00 zostaje przesunięty na 0:30, potem na 1:00, a potem jeszcze na 2:00. Nie ma jak powiadomić o tym Śródmieścia, bo chwilowo nie ma żadnej łączności z „Monterem”, goniec kanałami będzie szedł co najmniej dwie-trzy godziny. Dopiero o 3:00 nad ranem, w szarówce przed pierwszym brzaskiem, natarcie ze Starówki z niekompletnymi wciąż oddziałami w pierwszej linii rusza. Wtedy od półtorej godziny już bije się Śródmieście po drugiej stronie i nie ma już oczywiście mowy o żadnym zaskoczeniu.

Zanim jednak do tego dojdzie, oddział szturmowy „Czaty 49” dociera do włazów pod Placem Bankowym. Okazuje się, że dwa z trzech włazów są zablokowane, być może stoją na nich niemieckie pojazdy. Kłapa trzeciego włazu ustępuje, ale wówczas prowadzący pierwszy oddział porucznik Cedrowski „Cedro”⁸¹ widzi, że wokół są rozstawione namioty i słyszy rozmowy w języku niemieckim. Okazuje się, że plac, który według informacji ze sztabu miał być wolny od zorganizowanych jednostek nieprzyjaciela, został wybrany na miejsce biwaku dla jakiegoś niemieckiego oddziału, a właz znajduje się centrum obozowiska. Poza tym wejście jednym włazem trwało trzy kwadransy, wyjście miało nastąpić trzema włazami, żeby jak najszybciej cały desant znalazł się na powierzchni. Ile zajmie opuszczanie kanału jednym włazem pod ogniem nieprzyjaciela? Pod włazem dochodzi do gorączkowej narady, a w związku z tym, że mówimy o kanale szerokości pół metra, wysokim na 90 centymetrów, w którym nie da się minąć, zaś dowódcy rozmieszczeni są wzdłuż linii swoich oddziałów — narada odbywa się na zasadzie głuchego telefonu, żołnierze podają sobie z ust do ust słowa dowódców. Z braku telefonu nie ma jak powiadomić własnego zgrupowania o tym, że na trasie przebiecia jest większy oddział nieprzyjaciela. Przekazanie informacji gońcem mija się z celem, akcja powinna się zacząć zaraz, bo zbliża się pierwsza w nocy. Ostatecznie dowodzący desantem przyjmuje plan porucznika Cedrowskiego. Żołnierze będą opuszczać kanał jedynym włazem możliwie szybko w takiej kolejności, jak w nim stoją, przy czym następuje wymiana broni, ci na początku otrzymują pistolety maszynowe, żeby w razie czego gwałtownym ogniem osłonić kolegów wychodzących z kanału. Karabiny są podawane do tyłu. Niektórzy historycy twierdzą, że przemieszczali się ludzie z bronią, ale biorąc pod uwagę rozmiary kanału, raczej przekazywano sobie tylko broń. Wszyscy raczej wiedzą, że w tej sytuacji nie jest to plan niczego innego, jak samobójczego ataku, który ma dać czas kolegom ze Starówki przebić się do swoich.

„Cedro” wyskakuje ze swoimi ludźmi pierwszy. Początkowo udaje się po cichu wyjść kilkunastu ludziom. Zajmują pozycje wokół fontanny na placu (w miejscu fontanny po wojnie stanie pomnik Feliksa Dzierżyńskiego). Niestety w pewnym momencie ktoś wpada na Niemca, który zdaje się wstał za potrzebą i szedł w stronę latryny. Niemiec ginie od serii pistoletu maszynowego, ale wokół natychmiast rozpętuje się piekło. Krzyki, przypadkowe serie, wystrzały. Niemcy szybko orientują się, skąd się wziął desant. Biorą właz kanału pod ogień granatników i broni maszynowej. Kolejni żołnierze „Czaty” usiłują wyjść z włazu, żeby wesprzeć kolegów, ale padają ranni, inni — często też już ranni — wskakują do włazu z powrotem, prosto na głowy wychodzących. W którymś momencie komuś w tej kotłownianinie wypala zacięta wcześniej „Błyskawica” i cała seria rykoszetem odbija się od ścian kanału. Wreszcie ktoś przypadkiem z zewnątrz zatrząskuje właz, ratując zapewne życie tym wewnątrz i skazując na śmierć tych, którzy zostali na powierzchni. Z podkomendnych porucznika „Cedro”, którzy wyszli na Plac Bankowy, po kilkunastominutowej walce wszyscy zostaną ranni lub zabici. Przeżyje jeden człowiek — amunicyjny Jan Pęczkowski ps. „Kamiński”⁸², który ukryje się w krzakach. Reszta zginie. Pozostali żołnierze „Czaty 49” zostają w kanałach, bez łączności z dowództwem.

⁸¹porucznik Cedrowski „Cedro” — Jan Andrzej Byczkowski ps. „Cedro” (1910–1944) — oficer rezerwy WP, uczestnik kampanii 1939 roku, w powstaniu najpierw w Zgrupowaniu „Radosław”, a następnie Batalionie „Czata 49”, poległ 31 sierpnia na Placu Bankowym. W niektórych opracowaniach figuruje jako Cedrowski — było to nawiązanie panińskie jego matki, którym niekiedy posługiwał się w celach konspiracyjnych. [przypis edytorski]

⁸²Jan Pęczkowski ps. „Kamiński” (1923–1991) — w czasie okupacji w Kedywie, w powstaniu w stopniu starszego strzelca kolejno w Zgrupowaniu „Radosław”, batalionie „Miotła” i batalionie „Czata 49”, po wojnie mieszkał w Warszawie. [przypis edytorski]

O tym wszystkim nikt nie wie na Śródmieściu, gdzie oddziały czekają na umówioną raketę. Około północy pułkownik Antoni Chruściel, ps. „Monter”, każe wystrzelić zieloną raketę i czeka na odpowiedź Starówki. Ale sygnału ze Starówki nie ma. Około pierwszej w nocy słychać gwałtowną strzelaninę od strony Ogrodu Saskiego i Placu Bankowego, ale nie ma nadal rakiety. Wreszcie o 1:30 „Monter” daje rozkaz do natarcia. Oddziały ruszają, ale uderzenie nie rozwija się dobrze. Jedno z wydarzeń tej nocy opisuje Jan Nowak Jeźniorański:

„Po półgodzinie pułkownik zaczyna się niepokoić. Nasze natarcie nie może jakoś ruszyć z miejsca. Decyduje się pójść do przodu i zobaczyć, co się tam dzieje — pisze Jeźniorański w swej słynnej książce *Kurier z Warszawy*. — Towarzyszę mu krok za krokiem. Po drodze trzeba dokonywać akrobatycznych sztuk, do których nie jestem przysposobiony. [...] Docieramy w końcu do linii zniszczonych domów ulicy Krochmalnej, które wychodzą na Hale Mirowskie. Stąd właśnie miał nastąpić wypad. Przed pułkownikiem wyłania się z ciemności sylwetka młodego oficera. Melduje się dowódca plutonu, porucznik „Janusz”***.

— Co wy tu jeszcze robicie? — pyta ostro „Monter”. — Na co czekacie?

— Panie pułkowniku — próbowaliśmy. Minerki wysadziły dziurę w murze. Wyjść na tamtą stronę nie sposób. Niemieckie granatniki są wstrzelane w otwór i w podwórze.

— Spokojny dotychczas „Monter” nagle podnosi głos.

— Wykonać rozkaz. Ma pan natychmiast wykonać wypad. My tamtych bez pomocy nie zostawimy.

— Rozkaz, panie pułkowniku — odpowiada głucho „Janusz”.

Wspinam się znowu za Chruścielem po czymś, co było kiedyś klatką schodową i stajemy w wypalonym oknie. Pod nami o dwa piętra niżej studnia podwórka. Po lewej wypalone otwory okienne wychodzą na Hale Mirowskie czy może na plac Żelaznej Bramy. Podwórko pod nami zapełnia się powoli młodymi ludźmi. Rozpoznaję grupę dziewcząt, którzy wysadziły dziurę w murze. Nagle dzieje się coś strasznego. W ten tłum młodych na dole wpada jeden granat, za nim drugi i trzeci, eksplodując na podwórku. Za nimi wybuchają butelki z benzyną przeznaczone na niemieckie czołgi. Słyszę przejmujące krzyki bólu i przerażenia. Przeważają głosy dziewczęce. Płomienie rozjaśniają w dole pod nami dantejską scenę: ruszający się kłęb rannych i palących się ludzi.

Zbiegamy na dół. Na pomoc pędzą patrole sanitarne z noszami. Oglądamy straszliwe żniwo. Wybuch granatów w tej ciżbie pokaleczył albo poobrywał nogi. Wynoszą żołnierzy martwych albo popalonych, dziewczęta z poobrywanymi stopami, a na końcu na noszach białego jak prześcieradło por. „Janusza”. Obie straszliwie krwawiące nogi trzymają się na strzępach ciała. Wpatruje się w pochylonego nad nim „Montera” i szepce:

— Rozkaz wykonałem, panie pułkowniku...”

Ze zgrupowań Starego Miasta tej nocy zginie lub zostanie rannych 300 młodych ludzi, nie mniej zginie lub zostanie rannych ze zgrupowań śródmiejskich. Nad ranem ci ze Starówki będą musieli dokonać najtrudniejszego zadania — wrócić po nieudanej operacji na opuszczone barykady i walczyć dalej. Nikt jeszcze nie wie, że dzień, który wstaje po tej upiornej nocy, będzie jednym z najtragiczniejszych w dziejach obrony Starówki i Powstania w ogóle.



I DALEJ W TĘ CIEMNOŚĆ

31 sierpnia wstawał nad Starówką ponury. Około 6:00 rano trzeba było rozformować naprędce sklecone grupy szturmowe, na nowo poskładać z macierzystymi formacjami, wysłać te grupy na opuszczone pozycje bojowe. Panuje spory bałagan. Ciężko rannych wyniesionych w nocy wprost na ulice często już nikt z powrotem nie znosi do piwnic i powstańczych szpitali. Ludność cywilna także niechętnie wraca do swoich schronień. Wszyscy wiedzą, że stało się coś złego. Gdyby tylko Niemcy wiedzieli jak wygląda sytuacja, mogliby w zasadzie tego samego dnia złamać obronę i po prostu wejść na Stare Miasto bez większego oporu. Ale nie wiedzą. Są też chyba mimo wszystko wstrząśnięci gwałtownością nocnego ataku. Poza tym nie planowali szturm Starego Miasta przez kilka dni. Im także brakowało ludzi, a trzeba pamiętać, że podstawowa zasada sztuki wojennej mówi, że atakujący umocnionego przeciwnika powinien mieć nad nim przewagę liczebną minimum jak jeden do trzech. Albo coś, co tę przewagę liczebną zastępuje.

Tego dnia zatem — na szczęście dla Powstańców — nie dojdzie do bardziej gwałtownych natarć. Będzie to samo, co zawsze — bombardowanie przez bezkarne Stukasy startujące z pobliskiego Okęcia po kilka, kilkanaście razy dziennie, ostrzał artylerii, w tym tej najcięższej, używanej do zdobywania twierdz jak moździerz typu „Karl” o nazwie własnej „Ziu”, monstrualnego kalibru 600 mm, strzelający pociskami o wadze 2170 kilogramów sztuka⁸³. Większa w dziejach ludzkości była tylko armata kolejowa „Dora” kalibru 800

⁸³moździerz typu „Karl” o nazwie własnej „Ziu”, monstrualnego kalibru 600 mm, strzelający pociskami o wadze 2170 kilogramów sztuka — Właśc. 60-cm Karl-Grät 040. Moździerz ten zaprojektowano z myślą o ostrzale umocnień francuskiej Linii Maginota. W sumie Niemcy wyprodukowali 6 egzemplarzy tej broni. [przypis edytorski]

mm⁸⁴ użyta do ostrzału Sewastopola. Do tego artyleria lżejszego kalibru, nebelwerfery⁸⁵, haubice. Jeden z niemieckich korespondentów wojennych napisze, że „żadne miasto na świecie czegoś takiego nie doświadczyło”, chcąc podkreślić zaciętość walk i dzielność Wehrmachtu. Wyszło mu chyba inaczej.

W porannym chaosie po nocnym natarciu płk. Karol Ziemski „Wachnowski”⁸⁶ sięga po najbardziej sprawdzone rezerwy ludzkie — pluton łączników zgrupowania „Gustaw” wystawiony przez Narodową Organizację Wojskową⁸⁷. To chłopcy po dwanaście, czternaście, piętnaście lat, świetnie orientujący się w labiryncie gruzów i piwnic, często kursujący z rozkazami na pierwszą linię. Od pewnego momentu wykorzystywani byli nie tylko przez batalion „Gustaw”, ale także przez sztab Starówki. Pluton już wcześniej poniósł wysokie straty, zginęła ponad połowa młodocianych żołnierzy, w tym wielu 13 sierpnia 1944 roku na ulicy Kilińskiego przy eksplozji zdobytego przez Powstańców czołgu saperskiego. Teraz nadchodzi znowu ich godzina. „Wachnowski” wysyła ich z rozkazami w teren. Sytuacja zaś jest napięta również dlatego, że oddziały osłonowe, wystawione często przez autonomiczne organizacje, scalone z AK tylko na czas powstania — przestają ufać dowództwu. Rodzą się podejrzenia, że ich kosztem AK chce ocalić głównie „swoich”. I te jednostki o świcie samowolnie zaczynają opuszczać osłonowe pozycje, żeby — skoro przebicie się nie udało — na własną rękę szukać drogi do Śródmieścia kanałami. Gończy „Gustawa”, ale także major „Jesion” oraz major „Róg”⁸⁸, osobiście obchodzący pozycje, zwracający prośbą i groźbą odpływające oddziały, zaprowadzają do południa względny porządek.

Bliska dezercji jest 104 kompania syndykalistów polskich⁸⁹, broniąca do tej pory dzielnie tzw. reduty „Dom profesorski”⁹⁰. Kryzys rozładowuje osobiście major Stanisław Klepacz „Jesion”, ten sam, który jeszcze kilka dni wcześniej oświadczył, że nie zejdzie do kanału. Zaraz od 104 kompanii major „Jesion” udaje się do batalionu „Gustaw”, bowiem ten — uchodzący za żelazną rezerwę — oddział broniący skraju Starego Miasta w rejonie Placu Zamkowego też tego dnia przechodzi poważny kryzys moralny, jego żołnierze też chcą odejść kanałami do Śródmieścia. Jeden z pijanych żołnierzy batalionu NOW-AK „Gustaw” przystawia „Jesionowi” lufę do piersi, a ten odsuwa ją od siebie bez okazywania emocji. Zaraz za nim wszędzie postępuje pluton żandarmerii pod dowództwem „Barry’ego”, z bronią gotową do strzału, gdyby było trzeba.

Ludność cywilna próbuje wywieszać białe flagi, rozbierać barykady. Do takich aktów doszło m.in. na ul. Bonifraterskiej i Freta, gdzie wojsko użyło broni palnej przeciwko tłumowi. Nikt nie liczył ofiar, w opracowaniach mówi się o kilkunastu zabitych i rannych

⁸⁴armata kolejowa „Dora” kalibru 800 mm — Właśc. 80 cm Kanone 5 (Eisenbahn) „Schwerer Gustav”. Działo to powstało w 1942 roku. Niemiecy żołnierzy dali mu przydomek „Dora”. Warto nadmienić, że Niemcy eksperymentowali z jeszcze większymi stacjonarnymi działami, którym nadali kryptonim *Vergeltungswaffe-3*. Długość lufy miała wynosić 120 metrów, a zasięg ognia kilkadziesiąt kilometrów. V-3 przygotowywano z myślą o ostrzale Londynu ze stanowisk na wybrzeżu północnej Francji. Na przełomie 1944–1945 roku Niemcy ostrzeliwali Luksemburg dwoma działami wyposażonymi w lufy długości 45 metrów. Nie wykazały one wielkiej skuteczności wzięwszy pod uwagę poniesione nakłady. Wszystkie projekty dział takich jak „Dora” czy V-3 były przejawem nieekonomicznego gigantyzmu, który uwidaczniał się w licznych projektach militarnych III Rzeszy. [przypis edytorski]

⁸⁵Nebelwerfer — niemiecka wieloprowadnicowa wyrzutnia raketowa, używana do wsparcia artyleryjskiego na krótkim dystansie. Powstańcy ze względu na charakterystyczny odgłos słyszalny przy odpalaniu nazywali je „krowami” lub „szafami”. [przypis edytorski]

⁸⁶płk. Karol Ziemski ps. „Wachnowski” (1895–1974) — oficer służby stałej WP, w 1939 roku dowódca 36 Pułku Piechoty Legii Akademickiej, od 1942 w AK, w powstaniu od 7 sierpnia 1944 w stopniu pułkownika dowódca Grupy „Północ”, od 20 września zastępca dowódcy Warszawskiego Korpusu AK. Po wojnie na emigracji. [przypis edytorski]

⁸⁷Narodowa Organizacja Wojskowa (NOW) — konspiracyjna organizacja przedwojennego Stronnictwa Demokratycznego, w 1942 częściowo scalona z AK, po powstaniu warszawskim wraz z częścią NSZ stworzyła Narodowe Zjednoczenie Wojskowe. [przypis edytorski]

⁸⁸major Stanisław Błaszczak ps. „Róg” (1901–1983) — oficer kawalerii służby stałej, uczestnik kampanii 1939 roku, w ZWZ/AK od 1940 roku, w powstaniu w stopniu majora/podpułkownika pełnił szereg funkcji dowódczych na Starym Mieście, w Śródmieściu i na Powiślu. Po wojnie na emigracji w Stanach Zjednoczonych. [przypis edytorski]

⁸⁹104 kompania syndykalistów polskich — 104 Kompania Związku Syndykalistów Polskich powstała w 1943 roku. Jej dowódcą 1 sierpnia 1944 był por. Kazimierz Puczyński ps. „Wroński”. W powstaniu walczyła na Starym Mieście, w Śródmieściu i na Czerniakowie. [przypis edytorski]

⁹⁰„Dom profesorski” — Mieścił się on przy ulicy Brzozowej 12. [przypis edytorski]

po stronie ludności cywilnej. Nie był to ani pierwszy, ani ostatni taki incydent w dziejach Powstania. Przy innej barykadzie kobieta, podobno matka trzech synów, którzy wszyscy zginęli, wykrzykuje do jednego z żołnierzy:

— Oby cię pierwsza kula trafiła!

W tym samym czasie w kanałach pod terenem zajętych przez Niemców kryje się ocalona część żołnierzy „Czaty 49”, którym nie udało się dokonać desantu na Placu Bankowym. Po nieudanej akcji wychodzą z wąskiego kanału i docierają do kolektora, który ma wysokość 1,7 m, a po bokach wąskie gzymsy, gdzie można usiąść. Większość z nich przysiadła na tych gzymsach i od razu zasypia. Nad ranem wysyłają do dowództwa Starówki porucznika Jerzego Zabłockiego ps. „Igor”⁹¹ jako gońca z zapytaniem, co mają robić. Nie wiedzą ostatecznie, czy na Starym Mieście są jeszcze siły powstańcze, czy może już Niemcy, czy mimo ich niepowodzenia nocny atak się udał, czy nie. „Igor” dociera na Stare Miasto, spotyka pułkownika „Radosława”, który odsyła go do pułkownika „Wachnowskiego”, a ten wydaje rozkaz powrotu na Stare Miasto. „Igor” ponownie wchodzi do kanału i po wyczerpującym marszu odnajduje swój oddział i przekazuje rozkaz. W oddziale panuje konsternacja, ostatecznie po radzie dowódcy „Czaty 49” umawiają się, że „Igor” wróci do „Wachnowskiego” i powie, że nie odnalazł już oddziału w kanałach, a jego koledzy odmaszerują do Śródmieścia. „Igor” zawraca i po kilku godzinach melduje się „Wachnowskiemu”, a ten przyjmuje jego wyjaśnienia za dobrą monetę. „Czata 49” odchodzi do Śródmieścia i wychodzi włazem przy ul. Wareckiej po całej dobie w kanałach.

Jeszcze przed południem na Stare Miasto dochodzi fonogram od „Montera”, dowódcy Warszawskiego Okręgu AK:

„Wytrzymajcie jeden, dwa dni. Mam pewne podstawy do zapewnienia wam pomocy”.

Rzeczywiście, Stare Miasto wytrzyma dwa dni i dwie noce, ale żadna pomoc już nie nadejdzie. Nikt chyba zresztą w nią już nie wierzył. Stare Miasto prosi o granaty, „Monter” odpowiada, że wyślą granaty, ale żeby wstrzymać ewakuację, Stare Miasto odpowiada, że transport granatów nie wadzi ewakuacji i po południu „Wachnowski” odpowiada, że wycofywanie ludzi kanałami będzie trwało, a na granaty i tak czeka dla grup osłonowych. Otrzymuje zgodę na dalszą ewakuację od „Montera” pod warunkiem, że ewakuowani będą tylko żołnierze posiadający broń. „Wachnowski” ignoruje to zastrzeżenie, zezwala na ewakuację łżej rannych, nieuzbrojonego personelu, garści cywilów. Razem do Śródmieścia przejdzie około 5000 ludzi, w tym około 100 jeńców niemieckich, na Żoliborz 800. Około 50, może 60 tysięcy, w tym ranni niebędący w stanie poruszać się o własnych siłach — zostaną na miejscu. Na ochotnika zostanie z nimi grupa sanitariuszek i lekarzy, często wbrew wyraźnym rozkazom — wykwalifikowany personel medyczny jest przecież w cenie.

W tych dniach coś ze złej sławy okrywa oddział żandarmerii powstańczej majora „Barry’ego”, który pilnuje wejść do kanału i musi powstrzymywać tłumy cywilów, rannych oraz innych ludzi nieprzewidzianych do ewakuacji. Trudno ocenić z perspektywy ciepłych kapci, szczelnego dachu i pełnej lodówki to, co się mogło wtedy dziać przy włazie. Wiadomo tylko, że przepustowość kanałów i warunki tam panujące wykluczały ewakuację chociażby znaczącej części ludności cywilnej, nie mówiąc o ciężko rannych. Są relacje, które mówią o tym, że żołnierze majora Kozakiewicza strzelali do cywilów i rannych tłoczących się wokół kanału. Inne relacje mówią o tym, że owszem strzelali, ale tylko w powietrze, a ludzie wokół włazów, stłoczeni nadmiernie, ginęli od bomb i ognia snajperów, szczególnie wokół włazu do głównego, wysokiego kanału na placu Krasiańskich.

Bezkarne niemieckie Stukasy jak co dzień bombardują Stare Miasto. Nie ma ich wiele, latają w parach i kluczami, ale za to mają blisko. Bazują na Okęciu. Bywa, że naloty powtarzają się co piętnaście minut. Tego dnia bomby spadną jeszcze między innymi na Pasaż Simonsa⁹², obecnie częściowo zabudowany dziełem deweloperskim — w trak-

⁹¹porucznik Jerzy Zabłocki ps. „Igor” (1916–1999) — żołnierz Kedywu, w powstaniu w stopniu porucznika walczył w różnych oddziałach, początkowo w Zgrupowaniu „Radosław” na Woli, później na Starym Mieście, w Śródmieściu i na Czerniakowie. Po wojnie powrócił do kraju, zmarł w Warszawie. [przypis edytorski]

⁹²Pasaż Simonsa — Pasaż Simonsa istniał w latach 1903–1944 na rogu ulic Długiej i Nalewek. Mieścili się w nim zarówno sklepy, jak i biura oraz sale gimnastyczne. Zniszczony 31 sierpnia w bombardowaniu Luftwaffe, po wojnie nie został odbudowany. [przypis edytorski]

cie prac podobno nie natrafiono na ludzkie szczątki. Miron Białoszewski w *Pamiętniku z Powstania Warszawskiego* pisze o tym zdarzeniu:

„Właśnie 31 sierpnia, jak się zaraz dowiedzieliśmy, Batalion „Chrobry”, ponad 200 ludzi, wrócił z akcji. Do siebie. Do piwnicy w Pasażu Simonsa (Nalewki przy Ogrodzie Krasieńskich, dziś Bohaterów Getta). Wszyscy szybko się walnęli na swoje łóżka polowe i prycze. To znaczy nie tyle walnęli, ile zrobili ruch odchylenia koca, żeby się położyć, i wtedy klops. Ocalało tylko czworo czy pięcioro. Ci też nie wiedzieli, chociaż przeżyli, kiedy — co — jak. Tyle że nagle bomby i się wali”.

Do dwustu żołnierzy zgrupowania „Chrobry I” trzeba doliczyć cywilów, którzy kryli się wszędzie, razem około trzystu osób. Po nalocie z batalionu zostaje żywych 50 ludzi. Tego samego dnia około 15:00 w klasztorze ss. Benedyktynek Sakramentek mimo zbliżającego się — buczenie lotniczych silników słychać w kościele — nalotu trwają przygotowania do uroczystej mszy. W tym dniu siostry obchodzą święto ustanowienia sakramentu Eucharystii. Do nabożeństwa szykują się zatem wyjątkowo sumiennie i w skupieniu. W podziemiach kościoła i klasztoru ukrywa się około tysiąca cywilów, w tym dzieci z zakonnych ochronek⁹³, m.in. z ulicy Kościelnej 4. W jednej chwili seria bomb gruchocze sklepienia. Jakiś człowiek od obrony cywilnej podobno zdążył jeszcze krzyknąć, chcąc zapobiec panice: „Spokojnie, to tylko pękł główny filar!”. Ale w tej samej chwili druga seria bomb grzebie ich wszystkich w jednej stercie gruzów w trakcie nabożeństwa. Ze zwałowiska gruzów udaje się wydobyć 10 sióstr, przeoryszę i kilka cywilnych osób.

Dopiero 1 września z wydobywanych torturami z jeńców zeznań i dzięki sieci informatorów oraz szpicli Niemcy dowiadują się, jak głęboki kryzys przeżywa załoga Starówki. Tego dnia podejmują koncentryczny atak na Stare Miasto, który do wieczora zostaje odparty. Dramatyczne walki toczą się między innymi na Rynku Starego Miasta. 1 września nie ukazały się też po raz pierwszy powstańcze gazety na Starówce. Publicyści i redaktorzy, jeszcze wczoraj zagrzewający ludność cywilną do okazywania jedności z walczącymi, byli już w drodze kanałami do Śródmieścia.

Wieczorem ze wszystkich zgrupowań zostają zostawione czujki i posterunki osłonowe. Same zgrupowania, najpierw te uzbrojone, potem personel nieuzbrojony, schodzą w grupach po 50 osób do kanałów. Najważniejszy, bo najszerszy i najwyższy kanał ma wejście na placu Krasieńskich, ale są też włazy zapasowe, prowadzące do niższych i węższych odnóg. Ciężej rannym, ale mogącym się poruszać, zezwala się na organizowanie własnych grup, przy czym informuje się ich, że będą mogli wejść do kanałów dopiero po odejściu ostatnich grup uzbrojonych. Wszyscy udają, że to nie fikcja, że rzeczywiście będą mieli szansę. Grupy ciężko rannych, ale zdolnych się poruszać, krążą zatem wokół kanałów do rana. Ewakuacja nie przebiega planowo, ciągle spóźniają się jakieś pododdziały, w ich miejsce wchodzą inni, kiedy wreszcie się pojawiają ci, którzy mieli planowe wejście wcześniej — żądają wejścia poza kolejnością. Niemcy co jakiś czas wsypują do kanałów karbid, wlewają do bocznych kanałów benzynę, którą później podpalają, próbują zasypać kanały gruzem, aby wywołać spiętrzenia ścieków.

2 września Stare Miasto zostaje ostatecznie opuszczone. Około 7:00, jak każdego dnia, Niemcy rozpoczynają bombardowania lotnicze i artyleryjskie, strzelają do rozpoznanych poprzedniego dnia stanowisk z broni ręcznej i granatników. Na Starym Mieście zostaje jeszcze około trzystu ludzi z różnych oddziałów. Mają świadomość, że ich szanse przeżycia są znikome, ale wielu z nich zgłosiło się do osłony kolegów na ochotnika. Niemcy początkowo nie orientują się, że powstańcze wojsko w zasadzie w całości już odeszło, piechota postępuje ostrożnie i metodycznie. Skupiają się na tym, by bombardowaniem i ostrzałem dobrze zmiekczyć nieistniejącą już obronę. Około godziny 8:00 bomby spadają na kamienice w rejonie ulicy Daniłowiczowskiej i zasypują rezerwową właz wraz z częścią gromadzących się tutaj Powstańców. Zażarte walki toczą się w rejonie placu Krasieńskich, na który natarcie idzie już ze wszystkich kierunków. Dzielnie walczy grupa osłonowa Tadeusza Kowalczyka „Jackowskiego”, w cywilu adwokata, próbująca zatrzymać niemieckie czołgi idące ulicą Kilińskiego. Około 9:00 gruzy zasypują także właz

⁹³ochronka — daw. zakład dobroczynny zajmujący się opieką nad ubogimi i pozbawionymi normalnych warunków rodzinnych dziećmi. [przypis edytorski]

na placu Krasińskich. Pozostali żołnierze — m.in. „Parasola”, „Gustawa”, harcerskiego batalionu „Wigry”, 104 kompanii syndykalistów polskich — częściowo próbują wtopić się w ludność cywilną, zrzucając opaski, porzucając broń. Niektórzy próbują wejść do bocznych odnog kanałów, do tej pory nieużywanych w ewakuacji. Wielu ginie w ostatnich rozpaczyliwych starciach, jak wspomniana grupa ppor. Tadeusza Kowalczyka⁹⁴, która walczy do ostatniego naboju. Los tej grupy i samego Kowalczyka według niektórych historyków pozostaje nieznanym, według innych — grupa zostaje wzięta do niewoli, a sam Kowalczyk zginie w listopadzie 1944 w czasie próby ucieczki z obozu jenieckiego. Zbłąkane grupki i pojedynczy żołnierze będą wychodzić z kanałów na Śródmieściu i Żoliborzu jeszcze w nocy z 2 na 3 września.

W południe na Starym Mieście pozostają już tylko tysiące cywilów, kobiet, dzieci oraz około 2500 ciężko rannych. Za chwilę okaże się, ile warta stała się aliancka jałmużna w postaci deklaracji przyznania praw kombatanckich AK wydana w dniu 29 sierpnia, a ogłoszona przez BBC 30 sierpnia 1944, która głosiła między innymi, że: „Polska Armia Krajowa, zmobilizowana obecnie, stanowi siłę kombatancką będącą integralną częścią Polskich Sił Zbrojnych”. Podkreślono, że żołnierze AK działają przeciw nieprzyjacielowi jawnie, są pod odpowiedzialnym dowództwem i mają wyraźne odznaki lub polski mundur. „W tych warunkach represje wobec członków Polskiej Armii są pogwałceniem przepisów wojennych obowiązujących Niemców. Wobec tego Rząd J. K. Mości uroczysto ostrzega wszystkich Niemców, którzy biorą jakikolwiek udział w pogwałceniu tych praw lub też są w jakikolwiek sposób za nie odpowiedzialni, że czynią tak na własne ryzyko i będą pociągnięci do odpowiedzialności za swe zbrodnie”.

Tej nocy Radio Londyn nadawało znowu hymn Konrada Ujejskiego „Z kurzem krwi bratniej”. Sygnał, że także tej nocy zrzutów od aliantów nie będzie.

ARMIA ZAPADA SIĘ POD ZIEMIĘ. RANNI TAK NIE POTRAFIĄ. BIAŁY FOSFOR. BLONDYNKA

2 września 1944 roku rano Niemcy zajmują Stare Miasto. Dzieje się coś, czego dzieje wojen jednak nie zaznały: otoczone wojsko — dosłownie — zapadło się pod ziemię. Byli i nie ma. Wynurzą się w innych dzielnicach, żeby dalej walczyć. W zburzonej dzielnicy zostają cywile i ranni. Wiadomo, że ciężko rannych, którzy nie mieli szans zapaść się pod ziemię, było w kilku szpitalach i punktach opatrunkowych około 2500. Jeszcze przed upadkiem dzielnicy personel medyczny odbierał rannym umundurowanie, wszelkie elementy uzbrojenia i oporządzenia, aby Niemcy nie mogli w razie czego powiedzieć, że trafili na szpital wojskowy i pod tym pretekstem nie wymordowali wszystkich. Początkowo Niemcy, poza pojedynczymi przypadkami, zachowywali się wobec rannych poprawnie, niektórzy nawet obiecywali pomoc, transport, leki. W powstańczych szpitalach często leżeli też ranni Niemcy, którzy głośno domagali się dobrego potraktowania Polaków, podkreślając, że byli traktowani na równi z innymi rannymi. Jednak jak zauważa w relacjach Antoni Przygoński, po godzinie 11:00 następuje gwałtowna zmiana nastawienia. Być może zapada wówczas w sztabie Reinefartha albo von dem Bacha jakaś decyzja, nie wiemy do dzisiaj jaka. Wszędzie jednak powtarza się ten sam schemat — personel zostaje zmuszony do opuszczenia szpitala. Oprawcy dają na to zazwyczaj 5 do 10 minut. Nieliczni lekarze, pielęgniarki, sanitariuszki wraz z rannymi, którzy są w stanie się poruszać, wychodzą ze szpitali; pozostali ranni i personel, który nie chce opuścić budynków, piwnic — jest rozstrzeliwany na miejscu. Do sal są wrzucane granaty, a budynki są podpalane.

Niemcy nie chcą wchodzić do piwnic. Boją się, że tam wszędzie gdzie pozostają niedobitki tych, którzy nie zdążyli zejść do kanałów. Załatwiają sprawę znanymi metodami — nie tylko w szpitalach, ale na całej Starówce — wrzucają granaty, strzelają z broni maszynowej wtykanej w otwory okienne, oblewają benzyną i podpalają, czasem używają

⁹⁴ppor. Tadeusz Kowalczyk ps. „Jackowski” (1915–1944) — żołnierz AK, w powstaniu w stopniu podporucznika walczył w Grupie „Północ” w składzie Zgrupowania „Sienkiewicz”, następnie batalionu „Gozdawa”. Wywieziony do obozu koncentracyjnego Flossenbürg, zginął w czasie próby ucieczki w listopadzie 1944. [przypis edytorski]

miotaczy ognia. W halach fabrycznych przy Świętojerskiej 10 ginie 12 ciężko rannych żołnierzy Armii Ludowej i dwie sanitariuszki, których w zamieszaniu ostatnich dwóch dni obrony Starówki zapomniano ewakuować do głównego szpitala przy ulicy Długiej 7.

W relacjach pojawiają się te same obrazy — ranni, którzy od wielu dni nie byli w stanie się ruszać, zaczynają pełznąć do wyjścia, po podłogach, po schodach, po gruzach, nawet wtedy, gdy budynki płonęły. Młodociane sanitariuszki i pielęgniarki wielokrotnie są gwałcone, później także często mordowane. Zdarza się to także sanitariuszkom czekającym ze łżej rannymi na ulicach i podwórkach na rozkaz wymarszu w kierunku punktów etapowych. Tak dzieje się przy szpitalu koło kościoła św. Jacka. Po podpaleniu szpitala ranni z pomocą pielęgniarek i ks. Franciszka Kuleszy zostają wyniesieni wprost na ulicę Starą i tam czekają dwa dni na ewakuację wraz z czuwającymi przy nich sanitariuszkami. Sanitariuszki między 2 a 4 września są kilkakrotnie gwałcone, ale trwają przy rannych. Wśród zgwałconych jest 13-letnia dziewczynka. 4 września udaje się etapami przenieść większość rannych do szpitala przy kościele Karmelitów na Krakowskim Przedmieściu. Niemcy zabijają 8 osób — 6 mężczyzn i 2 kobiety, co wydaje się cudem przy liczebności szpitala 200 rannych.

Równoległe wśród grup ludności cywilnej zaczęto przeprowadzać doraźne selekcje, oddzielając chorych, starców i inne osoby, które uznano za niedołążne, nienadające się do transportu i późniejszej przymusowej pracy. Rozstrzeliwuje się je w ustronnych miejscach, a następnie podpała zwłoki. Wiele z takich egzekucji odbyło się przy ul. Wąski Dunaj. Pierwsi mieszkańcy Starego Miasta, którzy wrócili do zrujnowanej dzielnicy w 1945 roku, wspominają o znalezionej tam wannie pełnej ludzkich prochów.

Na Starym Mieście przebywało w czasie walk około 100 tysięcy cywilów, wliczając w to uciekinierów z Woli. W drugiej połowie sierpnia, w trakcie walk o północną część tego rejonu, Niemcy meldowali około 15 tysięcy „jeńców”, w dniach 31 sierpnia i 1 września mówili o przejściu kolejnych 10 tysięcy cywilów, a 2 września dowodzący 9 Armią Klaus Von Vormann meldował wzięcie na Starym Mieście 35 tysięcy jeńców, w tym około 8 tysięcy mężczyzn. Różnica pomiędzy liczbą 100 tysięcy a liczbą „jeńców” skierowanych do Pruszkowa, do obozu przejściowego, wynosi około 40 tysięcy. To prawdopodobna liczba osób cywilnych, które zginęły w trakcie walk o Starówkę. Zwraca też uwagę Antoni Przygoński na dysproporcję pomiędzy ilością kobiet i mężczyzn, która wynosi między 3 a 4:1, podczas gdy w normalnych warunkach powinna oscylować jeżeli nie około 1:1, to — biorąc wgląd na warunki wojenne 1:2. Ta różnica to około 5–7 tysięcy mężczyzn i mniej więcej na tyle obliczają historycy tragiczny bilans rzezi urządzonej przez zwycięzców na Starym Mieście.

Chciałem już zakończyć na dzisiaj, ale męczyło mnie przez ostatnie noce jedno zdanie z opracowania A. Przygońskiego, strona 503, akapit drugi od góry, gdzie mowa jest o zagładzie szpitala przy ulicy Podwale 25 (100 ciężko rannych) oraz Podwale 46 (30 ciężko rannych).

„W obu tych szpitalach hitlerowcy wypędzili personel medyczny i łżej rannych, w liczbie około 20 osób, pozostałych zaś rannych obsypali płytkami fosforowymi i podpalili. Do tych, którzy resztkami sił próbowali się wydostać z płonących pomieszczeń, strzelano”.

Biały fosfor. Płytki, czy kostki, palą się w temperaturze od 100 do 1300 stopni, nie dają się ugasić wodą, zostawiają świecące nocą blizny. Skąd się wziął fosfor w rękach ludzi, bo przez gardło nie przechodzi mi słowo „żołnierz”, Reinefartha? Skąd ten fosfor wziął Przygoński w relacji o upadku Starówki? Idąc za przypisem na dole strony, przez Internet wracam z powrotem do Stanisława Podlewskiego, „Przemarsz przez piekło”. Jak to? Przecież czytałem całe, jak to możliwe, że wracam tam, skąd wyszedłem?! Zatem ruszam tropem Podlewskiego — kim był, że historyk powołuje się wprost na niego? Za jednymi drzwiami otwierają się kolejne i kolejne, a każde z nich prowadzi gdzie indziej.

Stanisław Podlewski pisał swoją książkę, jej pierwszą niepełną wersję, zbierając relacje jeszcze w drodze do Oflagu⁹⁵ Sandbostel. Zapisał sześć zeszytów, resztę zapisywał na

⁹⁵Oflag — skrót od *Offizierslager für kriegsgefangene Offiziere*, niemiecki obóz jeniecki dla oficerów (niekiedy również podchorążych). [przypis edytorski]

etykietach puszek, banderolach. Wszystkie materiały przechowywał w poduszce, jaśku, który stał się dla niego ważniejszy niż cokolwiek. Pisał wbrew swoim przełożonym, którzy bali się, poniekąd słusznie, że jeżeli takie archiwum wpadnie w ręce Niemców lub Sowietów — skutki mogą być opłakane. Kilkukrotnie musiał ratować swoje archiwum, w tym raz w obawie przed rewizją rzucił poduszkę przez druty do sektora zajmowanego przez jeńców sowieckich. Oddali, nawet nie zajrzeli do środka. W kwietniu, w czasie marszu śmierci z Sandbostel, jeden z konwojentów przystawił mu do głowy pistolet, żądając tej poduszki. Podlewski wydukał po niemiecku, że jest kontuzjowany i lekarz zaleca mu spanie z jaśkiem pod głową, dlatego to dla niego ważne. Esesman miał powiedzieć „durny Polaczek” i pozwolił mu zostawić poduszkę, zabierając chleb, konserwę, bieliznę i buty. Po wojnie zapiski Podlewskiego — dotyczące głównie obrony Śródmieścia i Starego Miasta — wydaje w odcinkach organ „Pax”⁹⁶, „Dziś i jutro”, kierowany przez Bolesława Piaseckiego⁹⁷, przedwojennego przywódcę „palkarzy” z Falangi-ONR. Były żołnierz batalionu „Iwo” pracuje całe życie, otrzymuje setki listów, zbiera relacje, porównuje z dokumentami. Jego „Przemarsz przez piekło” czyta się jak reportaż. W czytelniku rodzą się wątpliwości — skąd autor wzięł te słowa, to zdanie wypowiedziane przez tego czy innego powstańca albo cywila? Co więcej — Podlewski posługuje się w oryginale tylko pseudonimami. Jakby nie wierzył, że można już ujawniać, kto był kim. Ale jakoś dziwnie się mu ufa, nawet nie wiedząc, w jakich warunkach zaczął pracę nad dziełem. Coś jest ze szlachetnego stopu w tych historiach, coś co każe wierzyć im bardziej niż suchym słowom historyków. I nader często na niego właśnie, jako na źródło, inni historycy wskazują. Jakby mówili szeptem — On napisał, że tak jest, było i to znaczy, że tak było. Podlewski chciał napisać monumentalną panoramę Powstania pod tytułem *Stolica wolności*, która objęłaby cały czas Powstania, wszystkie głosy, dzielnice. Dzieło tak skończone jak *Monte Cassino* Wańkowicza⁹⁸. I czuć też ducha Wańkowicza w jego pracach, powinowactwo wydaje się wręcz oczywiste. Planuje zatem wydanie kolejnych części — u schyłku życia pracuje nad kolejnym tomem opowiadającym historię pierwszych dni po godzinie „W” — *Wolność krzyżami się znaczy*, książka wyjdzie po jego śmierci w roku 1989.

Tak, to u niego znajduje się relacja z zagłady dwóch szpitali powstańczych przy ulicy Podwale 25 oraz 46. Relacja o płytkach fosforu pochodzi prawdopodobnie od Danuty Ślęzak (po mężu Galkowa, zmarła w roku 2018), ps. „Blondynka”⁹⁹, sanitariuszki batalionu „Chrobry I”. Ranna w wybuchu czołgu saperskiego na ulicy Kilińskiego 13 sierpnia, cudem ocalona 31 sierpnia, kiedy prawie wszyscy jej koledzy zostali zasypani w zbombardowanym pasażu Simonsa. Koledzy wtedy namawiali, żeby poszła odpocząć na kwatery, ale powiedziała, że idzie do rannych na punkt opatrunkowy. Potem, kiedy trzeba było wyjść kanałami, koledzy namawiają ją, jako lekko ranną, żeby wyszła z nimi. Odmawia, chce zostać z rannymi. I jest z nimi wtedy, kiedy do szpitala „Pod Krzywą Latarnią” wpadają Niemcy i obsypują rannych płytkami z fosforu białego. Może dostali go od żołnierzy Luftwaffe, którzy mogli mieć do niego dostęp, bo były nim wypełniane bomby zapalające. Ranni płoną, próbują zrywać opatrunki, żeby ugasić ogień, obecny ksiądz poprzez ich wrzask udziela wszystkim rozgrzeszenia „in articulo mortis”. Z tego piekła, w potwornym zamieszaniu, wydobędzie 21, inni mówią 22 rannych. Przeprowadzi ich na ulicę Długą 3, potem na Freta 1/3. Nie, nie osobiście — nie dałaby rady przenieść 21 lub 22 ciężko rannych mężczyzn. Oni będą pełznąć po ulicy w świetle płonących wokół budynków, a ona będzie usuwać z ich drogi gruzy, szkło, zabitych. Ich szlak będzie znaczyło czerwone

⁹⁶ „Pax” — utworzone w 1947 stowarzyszenie skupiające prawicowo-chrześcijańskie środowiska polityczne nastawione na współpracę z władzami komunistycznymi PRL. Na jego czele stanął Bolesław Piasecki. Z biegiem lat „Pax” rozluźnił swe więzi z władzami, nigdy jednak całkowicie się od nich nie uniezależnił. Prowadził m.in. bogatą działalność wydawniczą. [przypis edytorski]

⁹⁷ Bolesław Piasecki (1915–1979) — przed wojną przywódca Ruchu Narodowo-Radykalnego „Falanga”, w czasie okupacji w Uderzeniowych Batalionach Kadrowych, następnie w AK, po wojnie stanął na czele stowarzyszenia „Pax” i nawiązał współpracę z władzami, podporządkowując się istniejącemu w Polsce systemowi komunistycznemu. W latach 1971–1979 członek Rady Państwa. [przypis edytorski]

⁹⁸ Melchior Wańkowicz (1892–1974) — pisarz, dziennikarz, reportażysta, w czasie wojny nieoficjalny kronikarz II Korpusu Polskiego, później na emigracji, od 1958 roku w Polsce. [przypis edytorski]

⁹⁹ Danuta Ślęzak ps. „Blondynka” (1924–2018) — harcerka, w powstaniu sanitariuszka w batalionie „Chrobry I”, po wojnie mieszkała w Warszawie, pracowała m.in. w Centralnej Radzie Związków Zawodowych, działaczka ZBoWiD. [przypis edytorski]

pasmo krwi na ziemi. Będzie szabrowała dla nich po piwnicach wodę, napoje, jedzenie. Będzie z nimi, nie mając świadomości, że 2 października Powstanie skapitulowało — aż do 8 października. Zmarłych będzie wynosić przed wejście kamienicy, żeby ich widok i odór rozkładających się ciał odstraszał niemieckie patrole od wchodzenia do środka.

8 października 1944 roku w czasie jednej wypraw po żywność przy ruinach kościoła św. Jacka spotka patrol Czerwonego Krzyża, dzięki któremu jej ranni znajdują się jeszcze tego samego dnia w szpitalu przy ulicy Wolskiej. Jeden w ciężkim stanie, ps. „Elegant”, będzie musiał mieć od razu amputowaną nogę. Następnego dnia — zgodnie z obietnicą daną rannemu przed operacją — wyjdzie za niego za męża i przyjmie po mężu nazwisko Galka.

Z 21 lub 22 rannych do 8 października 1944 przeżyje ona, „Elegant” — Mieczysław Galka¹⁰⁰ i „Edek” — Edward Matecki¹⁰¹. Pozostali umrą z chorób, krwotoków, głodu, zastrzeleni przez Niemców. 9 lub 10 rannych wyjdzie któregoś dnia na wezwanie niemieckiego patrolu do opuszczania piwnic, być może chcąc zakończyć swoją gehennę wspomaganym samobójstwem. Po wojnie Danuta Galkowa zostanie odznaczona m.in. Krzyżem Srebrnym Orderu *Virtuti Militari* oraz najwyższym odznaczeniem Międzynarodowego Czerwonego Krzyża — *Florence Nightingale Medal*. Ale na zawsze zostaną z nią krzyki rannych, płonących żywcem, gdy ona, sama poparzona, z płonącymi włosami, które gołymi rękami gasi na niej „Elegant” — próbuje wydobyć kogo się tylko da z infernalnej czeluści, w jaką zamienia się zasypany fosforowymi płytkami szpital „Pod Krzywą Latarnią”.

— Siostro! Ratuj! Nie zostawiaj nas!

POWIŚLĘ. KRYZYS. WIELKA ŚMIERTELNOŚĆ NIEMOWLĄT

Poza miastem z początkiem września o poranku bywa chłodno. W mieście jest inaczej, miasto jest cieplejsze. Bardzo często bywało tak, że kiedy wyjeżdżałem od nas ze wsi — na trawie był szron, a szyby były zamrożone, co nie zdarzało się jeszcze w mieście. Często jest tak, że na przedmieściach pada deszcz, a w centrum już nie, bo odparowuje nad ziemią. To się zdarza latem. Miasto emituje ciepło, zawsze. Co dopiero, kiedy nie ma w nim wody i nie ma czym gasić pożarów. To może mylić co do pory roku. We wspomnieniach z początków września zgodnie pojawia się złoty kolor liści, na przykład pnączy na willach Sadyby i Czerniakowa, szczególnie tego ostatniego, który nie zaznał jeszcze prawdziwego piekła. Inaczej sprawa miała się z Sadybą, która była wówczas osobnym osiedlem, pełnym willi, ogrodów, drzew, ale w początkach września już płonęła.

Przez cały czas trwania Powstania (a trwa ono już trzydziesty siódmy dzień) Niemcy nie mieli dość sił, aby dokonać szturmu generalnego zbuntowanego miasta, nie mieli nawet dość środków, żeby zaciągnąć wokół miasta szczelną blokadę, dzięki czemu była możliwa komunikacja między Puszcą Kampinoską a Żoliborzem, tak długo jak w Kampinosie pozostawały oddziały partyzanckie. Natomiast Powstańcy byli jeszcze słabsi od Niemców, więc z jednej strony Niemcy systematycznie bili Powstańców częściami, a z drugiej jedna dzielnica nie była w stanie efektywnie pomóc drugiej, czego dowiodły krwawe lekcje przy próbach przebijania się z Żoliborza na Stare Miasto i ze Starego Miasta na Śródmieście. Nie istniało też tak naprawdę, na co zwraca uwagę Kirchmayer, Borkiewicz i Przygoński, jednolite dowodzenie dzielnicami. Zarówno Komenda Główna AK, jak i dowództwo okręgu AK miało niezłą orientację w sytuacji w Śródmieściu Północ, Południe, na Powiślu — i na tym koniec. Nie działało dalsze rozpoznanie, a Mokotów, Żoliborz i Czerniaków żyły własnym życiem.

Oddziały partyzanckie z kolei, które rozkazem z 14 sierpnia wezwał na pomoc Warszawie „Bór”-Komorowski, były lepiej uzbrojone od sił powstańczych, ale nie radziły sobie

¹⁰⁰Mieczysław Galka ps. „Elegant” (1923–1975) — podchorąży AK, w powstaniu dowódca drużyny w batalionie „Chrobry I”, robinson warszawski, po wojnie nadal mieszkał w stolicy. [przypis edytorski]

¹⁰¹Edward Matecki ps. „Edek” (1922–2015) — żołnierz Narodowej Organizacji Wojskowej, podchorąży AK, walczył w składzie Grupy „Północ”, robinson warszawski. [przypis edytorski]

w warunkach walk ulicznych, a co więcej — przyzwyczajone do niezłego wikt i warunków życia w lesie, w mieście zaczynały cierpieć głód i upadało w nich morale. Ich marsz i zogniskowanie uwagi na ewentualnej militarnej pomocy poprzez przebijanie się do miasta wykluczało normalną walkę partyzancką na liniach komunikacyjnych nieprzyjaciela. Kirchmayer i Sowa uważają, że był to błąd pokazujący brak przemyślanej strategii przed Powstaniem i nerwowe, chaotyczne dowodzenie w trakcie. Istotnie — ani zgrupowania w Lasach Chojnowskich i Kabackich, ani w Kampinosie, ani inne w planowy sposób nie zakłócały, nie nękały komunikacji sił niemieckich z Warszawą. Niemcy zatem bili Powstanie częściami, przeciwko wybranym ośrodkom zawsze koncentrując przeważające siły, korzystając w pełni z infrastruktury kolejowej i drogowej w okolicach Warszawy. Okręg „Obroża” przez cały czas trwania Powstania wykonał bowiem tylko jedną akcję wysadzenia torów kolejowych. Jedynym dyspozycyjnym oddziałem Powstania pozostaje topniejące w krwawych walkach zgrupowanie „Radosław”, które liczy na początku września zaledwie kilkuset uzbrojonych żołnierzy. Do końca powstania z Batalionu „Zośka” zginie 360 z 520 żołnierzy, z batalionu „Miotła” w szeregach zgrupowania zostanie 46 żołnierzy, mniej niż 15% stanu wyjściowego. Z całego zgrupowania w Śródmieściu przed kapitulacją spośród początkowych 2300 żołnierzy zgromadzi się 230 ludzi.

W czasie kiedy trwały zaciekle walki na Woli i Starówce, Powstańcy na Mokotowie, korzystając z chwilowej słabości Niemców, rozszerzyli znacznie stan posiadania na Dolny Mokotów i obszary między Sadybą a Mokotowem. Z kolei samą Sadybę 19 sierpnia po krwawych walkach zajmuje zgrupowanie partyzanckie z Lasów Chojnowskich, składające się w sporej części z oddziałów, które w nocy z 1 na 2 sierpnia 1944 po niepowodzeniach Godziny „W” wyszły z Warszawy, m.in. z Mokotowa i Ochoty. Powstańcy umacniają się i mimo rosnącego nacisku ze strony Niemców będą się bronić. Sadyba — flankująca każdy ruch na Warszawę z południa, będąca wysuniętą redutą obronną Mokotowa — upadnie dopiero 2 września. Pod pociskami najcięższej niemieckiej artylerii i bombami nadal bezkarnych samolotów wałęsały się stropy Fortu Dąbrowskiego, który jest głównym punktem oparcia Powstańców. Kilkuset żołnierzom uda się przebić na Dolny Mokotów. Rannych, jeńców i spore grupy ludności cywilnej Niemcy rozstrzelują na miejscu. Do masakry kilku tysięcy cywilów w ruinach Fortu Dąbrowskiego nie dochodzi na skutek interwencji jednego z generałów niemieckich, który, stojąc na beczce po benzynie, przemawia do zebranych, że zostaną wyprowadzeni z miasta i nie stanie im się krzywda. To przemówienie pamięta wielu świadków. Historycy uważają, że był to sam Erich von dem Bach-Zelewski, który jak wynika z dzienników, głęboko wierzył w Boga i w to, że Najwyższy specjalnie go posłał do Warszawy, aby ocalić kobiety i dzieci, aby tłumienie Powstania odbywało się humanitarnie. Bardzo go osobiście zabol, kiedy radio BBC wymieni go wśród 28 zbrodniarzy wojennych, których alianci obiecują pociągnąć do odpowiedzialności po wojnie. Co innego Dirlwanger, Reinefarth, których nie znosił osobiście, ale on sam? Około dwustu żołnierzy obsadzających Sadybę zdoła się ewakuować na Mokotów, wśród nich łączniczka Leokadia Pauzewicz¹⁰², lat 19:

„A moi chłopcy złapali mnie na nosze i ciągnęli tam, gdzie był nasz punkt noclegowy, blisko Cmentarza Czerniakowskiego. Przechodzili przez jakieś pole, kartoflisko. Ja byłam na tych noszach. Wtedy nadleciał sztukas. Oni, słysząc, że on strzela, ich chyba więcej [było], ale ten jeden mi utkwiał [w pamięci], chcieli się schować i tam był taki jeden kopczyk po kartoflach, że oni się świetnie wsunęli. A ja (czasami rzeczywiście Pan Bóg odbiera zupełnie rozum człowiekowi) uznałam, że nic mi się nie stanie i że sobie poleżę na tych noszach. On nad nami przeleciał. To jest nieprawdopodobnie trudne do uwierzenia. Nie mówiłam o tym do czasu, jak potwierdziło się, że inni też to widzieli. Ja, tak leżąc, widoczność była tak fantastyczna, że widziałam tę młodą twarz pilota, widziałam okulary i widziałam, że on mnie też widzi. Przeleciał i wrócił. Wrócił i zobaczyłam na tym piasku, na tej suchej ziemi takie małe fontanny. Piasek tak jakoś leciał. I w pewnym momencie sobie zdałam sprawę, że on strzela do mnie, bo tu nikogo nie było. Chłopców

¹⁰²Leokadia Pauzewicz ps. „Grażyna” (1925–2012) — w AK od 1943, w powstaniu pełniła funkcję zarówno łączniczki, jak i sanitariuszki batalionu „Oaza”, po wojnie w stolicy. [przypis edytorski]

nie widział, bo oni byli w tym kopcu i poleciał. Słyszę warkot — wraca! Po tej samej linii. Ale mi się wydało, że to jest niemożliwe. Ale pomyślałam sobie — udam, że mnie trafił. Zupełnie tak, na spokojnie. Opuściłam głowę. Jeszcze strzelał. Tak chyłkiem spojrzałam, kącikiem, broń Boże, nie ruszając się. Ręce opuściłam. Poleciał i nie wrócił. I wcale nie byłam jakaś zestresowana, wystraszona. Pomyślałam sobie — a jednak, szkopicie, przechytrzyłam cię! I to był chyba ostatni taki moment, gdzie byłam dzielna, odważna i nie bałam się”.

[za portalem www.sadyba24.pl/]

Spacyfikowanie Sadyby to pierwszy akt nowej strategii niemieckiej w Warszawie, która ma sprowadzać się do odcięcia Powstania od Wisły, zza której może przyjść odsiecz. Niemcy zdawali sobie sprawę, że lada moment ruszy sowieckie natarcie. Zapewne ich wywiad wiedział też, że w rejonie Warszawy walczy Armia WP¹⁰³, i nie było żadnej gwarancji, że dowodzona przez podległych komunistycznym władzom w Lublinie, ale jednak polska, nie zdecyduje się na jakąś desperacką akcję pomocy powstaniu.

Dlatego następnego dnia po upadku Starówki i Sadyby, 3 września, Niemcy bez paury operacyjnej przystępują do zmasowanego ostrzału i ataku na Powiśle oraz północne rejon Śródmieścia. Na mapie widać, jakby dwie strony gigantycznych cęgów zaczynały się zaciskać wokół powstańczego centrum: jedno z północy, drugie z południa. Dla oddziałów wycofanych ledwo ze Starówki — „Sosna” na Śródmieściu Północ, „Róg” na Powiśle i „Radosław” na Czerniakowie — to szczególnie ciężkie doświadczenie. Dla ludzi z dzielnic do tej pory w większej części ocalonych od zniszczenia, jakiego doznała Wola i Stare Miasto, nasilenie działań niszczycielskich jest wstrząsem. 4 września przestaje działać elektrownia¹⁰⁴, z której po zaciętych walkach wycofuje się oddział „Cubryny”¹⁰⁵, który pierwszego dnia walk zdobył, a następnie chronił ten niewralgiczny dla funkcjonowania miasta obiekt. Wyłączone zostają warsztaty zbrojeniowe, drukarnie, wiele urządzeń użyteczności publicznej w śródmieściu. Zaczyna brakować wody, nie tylko do picia, ale też — co pilniejsze — do gaszenia pożarów. Z braku wody pożary gasi się piaskiem, ziemią. Von dem Bach nie jest jednak zadowolony z tempa natarcia na Powiśle. Zapisuje w swoim dzienniku zdanie:

„Wczoraj rano zaczął się mój atak na południową część Śródmieścia. Niestety, nie posuwa się dobrze. Polacy walczą jak bohaterowie. Czas nagli ze względu na bolszewików, jednak nie daję się przyspieszyć”.

Być może to spowoduje, że po 4 września pojawiają się coraz częściej relacje o gnaniu przed atakującymi czołgami i działami pancernymi cywilów i rannych, wziętych do niewoli Powstańców. To metody znane i sprawdzone w praktyce przez Niemców na Woli i Starówce. Będą je stosować nadal, mimo że 3 września w oficjalnej audycji radiowej Niemcy uznają prawa kombatanckie żołnierzy AK.

Spychaniu żołnierzy ze zgrupowania „Krybar” na Powiśle, wzmocnionych ledwo co wycofanymi ze Starówki niedobitkami ze zgrupowania „Róg”, towarzyszy coraz słabiej kontrolowany exodus ludności cywilnej napędzany świadomością tego, jaki los spotkał ludność Woli, Ochoty i Starego Miasta. Cywile z Powiśla uciekają do Śródmieścia Północnego, a ci z Północnego przez zajęty przez Powstańców, ale ostrzeliwany na wyłot fragment Alej Jerozolimskich odpływają do Śródmieścia Południe, które uchodzi za spokojniejsze. Dalej już nie ma gdzie uciekać. Daje się słyszeć zdania „Zostawia nas jak tamtych na Starówce i na Woli”, ludzie pomstują na powstańców, obrzucają ich obelgami, plują im pod nogi. Często gniew dotyka nie tych z pierwszej linii, ale tych, których

¹⁰³Armia WP — Chodzi o dowodzoną przez gen. Zygmunta Berlinga tzw. I Armię Wojska Polskiego (do 29 lipca 1944 roku I. Armia Polska w ZSRR). [przypis edytorski]

¹⁰⁴elektrownia — Elektrownia Warszawska (zwana też Miejską) mieściła się przy ulicy Elektrycznej 2a. Powstańcy opanowali ją atakiem z zaskoczenia już 1 sierpnia. [przypis edytorski]

¹⁰⁵Stanisław Skibniewski ps. „Cubryna” (1901–1958) — oficer rezerwy WP, od 1937 zastępca dyrektora naczelnego Elektrowni Warszawskiej, od 1942 dyrektor, w powstaniu w stopniu kapitana dowodził Zgrupowaniem Użyteczności Publicznej WSOP „Elektrownia”. [przypis edytorski]

widać między cywilami — rannych, pozbawionych broni, wykonujących czynności pomocnicze.

6 września Powiśle i część północnego Śródmieścia, aż po Nowy Świat (a konkretnie jego parzystą stronę) znajduje się w rękach niemieckich. Obronę musi wesprzeć wycofane ze Starego Miasta Zgrupowanie „Sosna”. Niebawem, 9 września, zostanie ciężko ranny i umrze dwa dni później jego dowódca, Gustaw Billewicz „Sosna”¹⁰⁶, major artylerii. Zapasy żywności ocenia się na wystarczające do 7 września, amunicji przy średnim zużyciu na 1 dzień. 6 września artyleria niemiecka zapala szpital na Powiślu przy ulicy Pierackiego 3/5, w którym znajduje się około 200 rannych. Brak jest wody i innych środków gaśniczych. Kilkudziesięciu rannych na wyższych piętrach płonie żywcem. Trzeba siłą odpychać sanitariuszki, które chcą mimo wszystko biec na górne piętra ratować rannych. Ciężko ranni skaczą z okien na ulicę.

Bór nadaje 6 września 1944 meldunek do Londynu, w którym pisze m.in.:

„Sytuacja osiąga swój punkt kulminacyjny. Ludność cywilna przysyła kryzys, który może mieć zasadniczy wpływ na oddziały walczące. Przewidywany kryzys: coraz silniejsze i zupełnie bezkarne ostrzeżwanie i burzenie miasta, świadomość, że npl [nieprzyjaciel] dąży do zniszczenia całego obszaru na wzór Starówki, bezterminowe przedłużanie się walki, coraz mniejsze porty głodowe dla pogorzalców i szybkie wyczerpywanie się żywności dla pozostałych, wielka śmiertelność wśród niemowląt, agnacja czynników wrogich, brak wody i elektryczności we wszystkich dzielnicach. Amunicja jest na wyczerpaniu. [...] Czy oceniacie, że działania na Złotym Kręgu i Wesołej w ostatnich dniach przyniosą zakończenie wojny? Nie, ponieważ w Warszawie zwycięży przez Sowiety nie liczymy”.

Nie wiadomo, co konkretnie znaczy „wielka śmiertelność wśród niemowląt”. To jedno z tych lakonicznych zdań, które nie dają się rozjaśnić. Każda próba rozumnego zmierzenia się z nimi. Nie wiadomo, co w ogóle jest Komenda Główna AK, skoro wydaje się jej, że działania na Złotym Kręgu — toczy się aktualnie w Warszawie — miałyby przynieść zakończenie całej wojny ciągu kilku dni.

Po południu „Bór” nadaje jeszcze jeden radiogram do Londynu. Po raz pierwszy pojawia się w nim słowo „kapitulacja” i podane są zastają trzy opcje — usunąć ludność cywilną i walczyć do ostatka [należy dorożumieć — bez kapitulacji], kapitulować całością sił, kapitulować dzielnicami.

„Ewentualności te podajemy wam zawczasu, byście mogli przygotować na to anglosaskich mężów stanu. Sądzimy bowiem, że stłumienie powstania w Warszawie ma nie tyle aspekty wojskowe, co polityczne. Wczesne zaś ich uświadczenie sobie przez was i sprzymierzeńców może być pomocne przy rozgrywkach politycznych”.

Nazajutrz Antoni Chruściel „Monter” wyda płomienną odezwę do żołnierzy, wzywając ich do dalszej wyteżonej walki. Po latach jeden z żołnierzy Zgrupowania „Radosław”, z batalionu „Czata 49”, Mieczysław Kurzyna ps. „Miecz”¹⁰⁷ opowie Władysławowi Bartoszewskiemu:

„kiedy zgrupowanie „Radosława” szło kolejno do Woli, poprzez ruiny getta, Stare Miasto, Śródmieście, Czerniaków, Mokotów i potem z powrotem do Śródmieścia, aż wreszcie po kapitulacji wychodziło przez Wolę, to zawsze najpierw spotykaliśmy dzielnicę słoneczną, roześmianą, niezniszczoną, kiedyśmy ją opuszczali, pozostawał za nami gruz. Tak było również na

¹⁰⁶Gustaw Billewicz ps. „Sosna” (1907–1944) — oficer służby stałej artylerii WP, uczestnik kampanii 1939 roku, w konspiracji od 1939, w AK od 1942, w powstaniu w stopniu kapitana (od 13 sierpnia majora) dowodził batalionem „Chrobry 1”, a następnie Zgrupowaniem „Kuba — Sosna”, zmarł 11 września z ran. [przypis edytorski]

¹⁰⁷Mieczysław Kurzyna ps. „Miecz” (1919–1983) — w konspiracji od 1939, podchorąży AK (od 17 sierpnia 1944 podporucznik), w powstaniu w Zgrupowaniu „Radosław”, ranny 9 sierpnia, później dowódca plutonu w batalionie „Czata 49”, po wojnie mieszkał w Warszawie. [przypis edytorski]

Czerniakowie. [...] Teren do obrony barykady nie był wygodny, jedna strona odsłonięta na ostrzał, z drugiej strony bronił „Dom Włókna Polskiego”, ale miał duże okna i trzeba je było zabezpieczyć. I tam właśnie wyciągnęliśmy z piwnic wydawnictwa „Cuda Polski” i z nich układaliśmy w oknach barykady jak z worków z piaskiem. [...], uprzytomniło mi [to] specjalnie wyraźnie, że jest to bitwa jakoś ostatnia”.

Ale to się miało dopiero się zdarzyć.

W SKROMNEJ OPINII NARRATORA NIE MAMY DO CZYNIENIA JEDYNNIE Z PRZYPADKIEM

Świat trzeba sobie zadać, przeżyć. Jeżeli nie ma już tego świata, trzeba spróbować się do niego zbliżyć, na przykład przejść, poznać kraj poety, odnaleźć srebrną łyżkę z zastawy i ważyć ją w dłoni przez chwilę. Warto ufać rzeczom, przedmiotom, krajobrazom.

Atawistycznie wierzę przedmiotom, dotykowi, który potwierdza, że są naprawdę, a jeżeli nie ma przedmiotów, to szukam przedmiotów, które mówią o innych przedmiotach albo o ludziach. Na przykład książek. Sama czynność czytania jest równie ważna jak dotykalny kontakt z przedmiotem, jakim jest książka. Z tego pewnie rodzi się to złudne poczucie Obecności, któremu uległ dwuletni synek, widząc dwa razy Pana na schodach prowadzących na poddasze, Pana którego poza nim nie widział nikt inny. Tam jest masa książek i ja ich dotykam czytając, przerzucam nerwowo kartki, przekładam stosiki, czegoś szukam wieczorami, śledzę jak teksty nawzajem do siebie się odsyłają.

Czasami grzebię w sieci, ale sieć wskazuje znowu na książki, a książki na siebie nawzajem. Czasem uznaję, że jakąś książkę wypada kupić, trzeba mieć, dać jej miejsce u siebie.

Tak było i tym razem. Książka kosztowała kilka złotych, o ile się nie mylę była tak tania, że przesyłka kurierska byłaby droższa niż książka, dlatego wybrałem opcję listu poleconego. Polecałem z awizem na pocztę i rozpakowałem zawartość, wyrzucając tekturki, resztki taśmy, kopertę z adresem zwrotnym do kosza zaraz pod pocztą. Usiadłem w samochodzie i otworzyłem książkę na pierwszej stronie. To był egzemplarz nie tylko z dedykacją, ale także z wklejonymi na II stronie okładki rodzinnymi zdjęciami.

Książkę o użyciu kanałów w Powstaniu Warszawskim dedykowała swojemu, jak można się domyślić z tonu — byłemu mężowi, Andrzejowi Wyczańskiemu — Pani Krystyna Wyczańska, ps. „Zofia”, 2 dni po swoich 77 urodzinach w roku 1999 (stąd łatwo było policzyć, że urodziła się w roku 1922, w Powstaniu miała lat 22). Wieczorem krok po kroku odcyfrowałem bez większego kłopotu resztę.

Krystyna Wyczańska była koleżanką Jana Bytnara „Rudego” z podziemnego harcerstwa, zaprzysiężoną do służby w Armii Krajowej w 1942 roku przez niejakiego Tadeusza Wardejna-Zagórskiego „Gozdawę”¹⁰⁸ i przydzieloną jako łączniczka do Komendy Głównej AK. W 1943 roku wspierała pierwszą wyprawę Jana Nowaka-Jeziorańskiego z dokumentami Państwa Podziemnego do Sztokholmu. Zagrożona aresztowaniem ukrywa się, pracując dalej dla Biura Informacji Propagandy AK. W Powstaniu zgłosiła się 13 sierpnia ochotniczo do służby łącznikowej w kanałach, uczestniczyła między innymi w ewakuacji Komendy Głównej AK ze Starego Miasta do Śródmieścia 26 sierpnia. 27 sierpnia ruszyła kanałami z misją na Żoliborz, w trakcie której została ranna odłamkami granatu w nogi i resztę Powstania spędziła w szpitalu na Żoliborzu. Za służbę w kanałach odznaczona Krzyżem Walecznych.

Andrzej Wyczański służył w zgrupowaniu „Oaza” na Sadybie i Czerniakowie. Ranny tego samego dnia co Krystyna Wyczańska, wówczas jeszcze Sroczyńska, 27 sierpnia. Ktoś rzucił mu granat pod nogi, zaczepny, z blachy. Przeżył, chociaż jak wspominał — rany zaczęły się goić dopiero w grudniu. To było na rogu ulicy Czerniakowskiej i Podchorążych,

¹⁰⁸ Tadeusz Wardejn-Zagórski ps. „Gozdawa” (1892–1944) — w latach 1918–1934 oficer służby stałej WP, później urzędnik państwowy, w czasie okupacji w ZWZ/AK, w 1944 szef Wydziału Propagandy Bieżącej w Oddziale VI Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK, zamordowany przez Niemców w Częstochowie w grudniu 1944. [przypis edytorski]

w pobliżu którego to miejsca spędziłem kawał dzieciństwa — mieszkając na dzisiejszej ulicy Jurija Gagarina, róg Podchorążych. Przypadek. Po wojnie został profesorem, napisał jeden z tomów „Historii Powszechnej”, którą w komplecie, jako student pierwszego roku historii, kupiłem sobie w przewidywaniu, że ukończę kiedyś raz rozpoczęte studia, co nie okazało się takie proste. W zasadzie nie okazało się w ogóle, bo studiów nawet dobrze nie zacząłem, a już je przerwałem po pierwszym roku. Ale wydanie „Historii Powszechnej” zostało.

Książka „Kanały w Powstaniu Warszawskim” kosztowała kilka złotych, nie opłacało się zamawiać kuriera. Ale nie trzeba było drzeć koperty, być może byłoby od kogo dowiedzieć się czegoś więcej.

Historia książki i historia w książce przenikają się. Kiedy trzymam ją w ręku, wydaje mi się, że nawet czuję jakieś pulsowanie. I coraz trudniej uwierzyć mi w przypadki, i coraz bardziej wierzę synkowi, który widział Pana, jak idzie na górę, po schodach, na poddasze do Taty, mimo że nikt poza nim tego nie widział.

ZUPEŁNIE ŚWIEŻE CUKIERKI

— A Ty ciągle o Powstaniu — zapytała żona przed snem, kiedy wtykała budowlane zatyczki do uszu, żeby później w nocy nie słyszeć mojego chrapania. Mruknąłem coś, tak zza granicy stanu między snem a jawą, ściskając w ręce opracowanie Tadeusza Grigo ps. „Kur”¹⁰⁹ o walkach na Powiślu Czerniakowskim. Chciałem doczytać jeszcze u niego o pewnym epizodzie.

— Herbert z Franaszkiem odpoczywa? — dodała ni to pytając, ni potwierdzając spod przymkniętych powiek. Okno było uchylone, wchodził przez nie ten chłód, o którym myślałem, że już się nie cofnie. To czuć w zapachu powietrza. Pewnie ten zapach podpowiada drobniejszym ptakom, że pora już ruszyć za cieplejszym powietrzem na południe. Zapaliłem czółówkę na głowie, którą doświetlam sobie co wieczór strony książek, bo lampka nocna od dawna nie daje rady. Uśmiechnęła się, układając na boku — A teraz wyglądasz jak górnik dołowy...

„No tak, tylko ja grzebię w papierach, nie w ziemi” — pomyślałem chyba, chociaż nie mam pewności, czy między jawą a snem nie mruknąłem tego w sposób mniej lub bardziej artykułowany. Byłem już w podróży. Nie miałem już też tej pewności, że grzebię tylko w papierach.

11 września 1944 roku, po fiasku rozmów kapitulacyjnych, opanowaniu przez Niemców północnego Powiśla i niepowodzeniu natarcia na Śródmieście, znowu bez większego przeciwdziałania ze strony jakichkolwiek wojsk powstańczych, znowu bez pauzy grupa bojowa Reinefartha uderza na Powiśle Czerniakowskie. Łatwo powiedzieć: bez przeciwdziałania. Powstanie bez amunicji, bez zaopatrzenia może się tylko bronić. Broń często nie jest przypisana do żołnierza, ale do pozycji. Kto pełni dyżur bojowy, ten jej używa, a schodząc z barykady — musi ją zdać. W tych warunkach stworzenie jakiegokolwiek grupy manewrowej jest trudne, o ile w ogóle możliwe. Działania zaczepne na szerszą skalę kompletnie nierealne. Gdy od północy uderza Reinefarth — od południa tego dnia na Czerniaków uderzają siły podporządkowane grupie bojowej generała Rohra¹¹⁰.

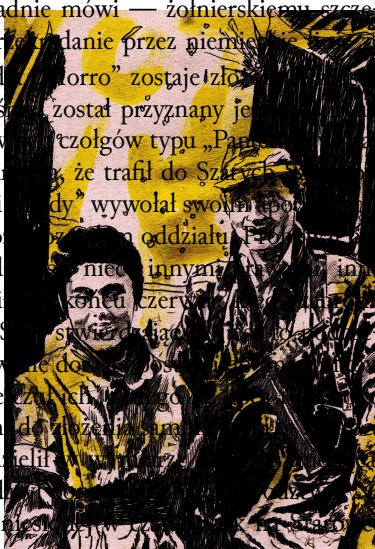
Tymczasem od 5 września na Powiślu odpoczywało po ciężkich walkach i przeprawie kanałami ze Starego Miasta zdziesiątkowane zgrupowanie „Radosława” — Jana Mazurkiewicza. Z niedobitków batalionu „Parasol” tworzy się zbiorczą kompanię, podobnie jest z „Czatą 49”, nad którą dowództwo przejmuje kapitan „Motyl” — Zbigniew Ścibor-Rylski, batalion „Miotła” praktycznie od walk na cmentarzach wolskich istnieje w formie szczątkowej, jako pluton. Z batalionu „Zośka” jako zwarty oddział występuje tylko kompania „Rudy” pod dowództwem Andrzeja „Morro” Romockiego, zwanego przez swoich

¹⁰⁹Tadeusz Grigo ps. „Kur” (1918–) — podchorąży AK, w powstaniu żołnierz w Zgrupowaniu „Kryśka”, ranny 14 września na ul. Górnośląskiej. [przypis edytorski]

¹¹⁰generał Gunther Rohr (1893–1966) — generał niemiecki, uczestnik kampanii na zachodzie w 1940 roku, w lipcu 1944 roku komendant obrony Lwowa, następnie od 16 sierpnia 1944 dowódca sił niemieckich tłumiących powstanie warszawskie w południowej części miasta, w latach 1945–1955 w niewoli sowieckiej, zmarł w RFN. [przypis edytorski]

żołnierzy „Amorkiem”, bowiem często rozkazy, jeszcze w czasach przed Powstaniem, podpisywał „A. Morro”. W tym czasie nie żyje już jego ojciec, Paweł — kawaler orderu *Virtuti Militari*, żołnierz wojny 1920 roku, potrącony w 1940 roku przez samochód prowadzony przez Niemca. Nie żyje też młodszy brat Andrzeja, Janek „Bonawentura”¹¹¹, który ginie 18 sierpnia w powstańczym szpitalu na Starówce przy ul. Miodowej 24, ani jego brat cioteczny, Stanisław Leopold ps. „Rafał”¹¹², który ginie 25 sierpnia w walkach wokół placu Krasińskich na Starym Mieście.

W ciągu sześciu tygodni nieustannych walk kompania „Rudy” zrosła się z dowódcą. Ufają zarówno jemu, jak i jego — jak to się ładnie mówi — żołnierskiemu szczerściu. Przebiecie się z całą kompanią, a w zasadzie przedanie przez Niemców Starówki do Śródmieścia, uchodzi za cud. Za to dowódca „Morro” zostaje złodziejem o odznaczenie drugim Krzyżem Walecznych, wcześniej został przyznany jeżemu *Virtuti Militari*. Dowodził kompanią m.in. przy zdobyciu dwóch czołgów typu „Pantera” na Gęsiówkę. Mało kto już na Czerniakowie pamięta, że trafił do Szeregowo, a nie do „Rudy”, wywołał swoich kompaniów, a nie oddziału „Rudy”. W tym czasie panował w niej duch. Apogeum konfliktu nastąpiło w końcu czerwca, kiedy to „Rudy” postanowił się pod cudze sukcesy, a nikt z tych oddziałów nie dostrzegł tego. Wyraźnie nie rozumiał swoich ludzi, nie został zmuszony, ówczesnym harcerskim zwyczajem poprosił „Radosława” o urlop, którego ten mu udzielił. Tuż przed Powstaniem został odwołany z urlopu, zdążył na Czerniakowie dowodzić dalej mimo rany twarzy odniesionej — kula weszła przez policzek i uszkodziła komorę nosa.



Od 11 września właśnie na resztkach zgrupowania „Radosław” opiera się północna część obrony Czerniakowa. 13 września Niemcom udaje się przerwać ostatecznie wąskę jak szyjka od butelki połączenie Czerniakowa ze Śródmieściem Południe. Przygotowany transport broni i amunicji ze Śródmieścia zostaje odwołany. Zgrupowania „Radosław” i „Kryśka” zostają odcięte na dobre, ale do końca nie dają odepchnąć się od Wisły. Żołnierze wierzą, że tutaj właśnie, na Czerniakowie, zadecydują się losy Powstania. Tego dnia z okien gmachu PKO, który czasowo stał się twierdzą resztek „Parasola”, „Jasia” Janina Trojanowska-Zborowska¹¹³, od 17 sierpnia 1944 roku żona dowódcy „Parasola” — „Jeremiego”, relacjonuje mężowi walki samolotów sowieckich nad Pragę. Mówi z trudem, sepleni, została ciężko ranna odłamkiem w twarz 8 sierpnia 1944, ma uszkodzony policzek i zgruchotaną, zdeformowaną szczękę. „Jeremi” w tym czasie leży już na noszach po czwartej ranie, jaką odniósł w Powstaniu, tym razem w brzuch, kula przeszła w okolicach wątroby.

Wieczorem tego dnia Niemcy wysadzają po kolei Most Poniatowskiego, potem Średnicowy i na końcu most Kierbedzia. W nocy pojawiają się nad miastem archaiczne sowieckie dwupłatowce Po-2, zwane „kukuruźnikami” albo „terkotkami”. Są powolne, nie nadają się do lotów za dnia, latają skrycie, wyłącznie nocą. Mają znakomite własności lotne, piloci notorycznie wyłączają silniki w przelotach na niskiej wysokości nad liniami nieprzyjaciela, przez co samoloty stają się niemal bezgłośnie. Zrzucają zaopatrzenie w workach, bez spadochronów — rusznice przeciwpancerne, granaty, pepesze, amunicję, suchary, konserwy. Zawartość rozsypuje się po gruzach, długie lufy rusznic gną się przy upadku, podobnie pepesze, ale część z tego jest zdatna do użytku. Trudno wybrzy-

¹¹¹Jan Romocki ps. „Bonawentura” (1925–1944) — harcerz, w konspiracji od 1941 roku, podchorąży AK, w powstaniu żołnierz Zgrupowania „Radosław”, 14 sierpnia awansowany do stopnia podporucznika, poległ 18 sierpnia. [przypis edytorski]

¹¹²Stanisław Leopold ps. „Rafał” (1918–1944) — absolwent SGH, działacz społeczny, harcerz, podchorąży AK, uczestnik akcji „Koppe”, w powstaniu dowódca kompanii w batalionie „Parasol”, poległ 25 sierpnia. [przypis edytorski]

¹¹³Janina Trojanowska-Zborowska ps. „Jasia” (1923–1944) — podchorąży AK, łączniczka w batalionie „Parasol”, w powstaniu walczyła na Woli, Starym Mieście i Czerniakowie, najprawdopodobniej zamordowana przez Niemców po wzięciu do niewoli 23 września 1944 r. [przypis edytorski]

dzać na tę pomoc, bo przychodzi dokładnie w dniu, w którym zostaje zerwana łączność ze śródmieściem.

Przez cały 14 września trwają zaciekle walki na całym Czerniakowie, ale z mniejszą intensywnością jeżeli chodzi o naloty. Zdarza się już, że niemieckie samoloty są przeganiane znad Warszawy przez sowieckie myśliwce („nasze jaki biją foki”). Powstańcy na różne sposoby próbują odzyskiwać broń zabitych Niemców. Nie jest jednak możliwe zbieranie jej za dnia, bowiem Powstańcy bronią się w budynkach, a teren należy do Niemców i ich broni ciężkiej. Wymyślają więc wszelkie rodzaju drągi, bosaki, wędziska, którymi próbują jak w maszynach gier losowych wyciągać zabitym żołnierzom broń z zeszywniałych pośmiertnie rąk. Popołudniu 14 września „Radosław” wzywa na naradę wszystkich dowódców zgrupowań. Rozdaje im cukierki jako wzmocnienie dla nich i dla ich podkomendnych. Nawiązana zostaje łączność radiowa z Armią Wojska Polskiego pod dowództwem Zygmunta Berlinga, która stoi po drugiej stronie Wisły, jak się wydaje jako forpoczta potęgi Armii Czerwonej. Tej nocy, względnie nad ranem, ma nastąpić desant na Czerniaków. Nikt po polskiej stronie nie wie, że żołnierzy Berlinga nikt realnie nie wesprze, że w tych dniach do rezerwy i Frontu Białoruskiego wycofana zostanie z Armia Pancerna Gwardii, że nikt nie traktuje poważnie próby pomocy Powstaniu. Nie wie być może tego nawet sam Berling i jego żołnierze.

„Radosław” daje kompanii „Rudy” jako swojej jedynej zwartej rezerwie (sześćdziesięciu wymęczonym, głodnym ludziom) zadanie wagi, jak się wydaje, kluczowej, strategicznej — mają odbić brzeg Wisły koło na wpół zatopionego statku „Bajka” w rejonie ulicy Solec i utrzymać do rana, do nadejścia desantu. Kiedy „Morro” przeprowadza odprawę oddziału, Jerzy Gawin ps. „Słoń”¹¹⁴ pyta, kto pójdzie z kompanią jako wsparcie. Odpowiedź pada, że kompania idzie do ataku sama, bez żadnego wsparcia.

Powstańcy zajmują nocnym atakiem z zaskoczenia niemieckie pozycje bez strat własnych, czujka z plutonu „Słonia” czatuje na wraku statku, reszta kompanii lokuje się wokół domu Wilanowska 1, róg ulicy Solec. Ten adres jeszcze powróci. Desant jednak nie następuje. Wreszcie o świcie, w porannej mgłę, widać trzy łodzie poruszające się od strony Saskiej Kępy (dlaczego tyle zwlekali?). Jednocześnie zrywa się silny ogień niemiecki i patrol „Słonia” cofa się do domu przy Wilanowskiej. Z samego domu od strony widocznej od strony rzeki, a niewidocznej od Niemców „Morro” każe wywiesić zszytą naprędce z byle czego biało-czerwoną flagę. Chodzi o to, że podobno berlingowcy z łodzi w równej mierze odstrzeliwali się Niemcom, co plutonowi „Słonia”.

Wszyscy żołnierze „Radosława” mają przecież jednakowe umundurowanie wyfasowane ze zdobytych na Stawkach niemieckich magazynów, świetnej jakości SS-mańskie „panterki”, hełmy i pokrowce na hełmy. Opasek na ramieniu można we mgle nie zobaczyć, na hełmach nikt ich nie nosi, żeby nie kusić snajperów. Berlingowcy lądują jednak na brzegu i nadal strzelają we wszystkich kierunkach, najwyraźniej nie mogąc się zorientować kto swój, kto wróg. „Morro” wpada na ryzykowny pomysł, każe zszyć sobie naprędce mniejszą flagę i wybiega z domu w kierunku brzegu Wisły, znika w krzakach i za wałem. Długo nie wraca. Po dłuższej chwili zostaje wysłana sanitariuszka, wraca z postrzelanym ubraniem, cała we krwi.

— Postrzał w serce, cały mundur we krwi — mówi i wiadomo, że tym razem tak zwane żołnierskie szczęście opuściło Andrzeja „Morro” Romockiego, zwanego „Amorkiem”, a Pani Jadwiga Romocka po stracie męża i młodszego syna, straciła też i jego.

Nie wiedział, ginąc, że te trzy łodzie to jedyny desant tego dnia, jaki wyląduje na Czerniakowie. A ściślej jedna łódź z siedmioma żołnierzami, bo pozostałe dwie zatoną na rzece, zanim osiągną brzeg. O śmierci „Morro” pisze się różnie do dzisiaj. Wiele relacji wskazuje, że „Morro” dostał przypadkowy postrzał od swoich, od Polaków, którzy go nie rozpoznali — nosił wprawdzie polski, przedwojenny hełm ojca wz. 31, który został w jego rękach po kampanii wrześniowej, ale nałożony miał na niego pokrowiec z typowym niemieckim kamuflażem. Z drugiej strony — typ postrzału, prosto w serce, wskazuje raczej na doświadczonego, dobrze wyszkolonego do zabijania snajpera, czyli raczej na kogoś z niemieckich żołnierzy.

¹¹⁴Jerzy Gawin ps. „Słoń” (1922–1944) — harcerz, w konspiracji od 1939, uczestnik m.in. akcji pod Arsenalem, podchorąży AK, w powstaniu dowódca drużyny, a następnie plutonu w Zgrupowaniu „Radosław”, poległ na Czerniakowie 23 września 1944. [przypis edytorski]

W krwawym chaosie walk na Czerniakowie nie udało się kolegom z oddziału pochować dowódcy.

Od stycznia 1945 roku pani Jadwiga każdego dnia wracała na Czerniaków w rejon ulicy Wilanowskiej i Solca, by szukać ciała syna wraz z jego kolegami, którym dane było przeżyć Powstanie. 18 lutego 1945 roku, po mszy za Andrzeja i Janka Romockich, w czasie kolejnego spaceru poszukiwawczego wśród gruzów Czerniakowa koledzy prosili, żeby jednak poszła do domu, że jest zimno. Wydało się to jej podejrzane. Kiedy Pani Jadwiga wróciła w to samo miejsce następnego dnia, spotkała kolegów syna z saperkami. Okazało się, że codziennie przychodziła w to samo miejsce i *stała* na miejscu, gdzie pochowany prowizorycznie był jej syn. Koledzy poznali go po bucie, który wystawał spod ziemi, a potem po charakterystycznym polskim hełmie wz. 31. Hełm był jedyną rzeczą z osobistego wyposażenia syna, jaką matka zachowała w swoich rękach. W latach 70-tych przekazała hełm do zbiorów Muzeum Miasta Warszawy.

W listopadzie 1945 roku z prowizorycznego cmentarza przy kościele Trójcy Św. Przy ulicy Solec 61 zwłoki Andrzeja „Morro” Romockiego zostały przeniesione na Powązki i pochowane uroczyście na tworzonej wspólnej kwaterze żołnierzy batalionu „Zośka”. W swoim pamiętniku Pani Jadwiga zapisała między innymi:

„Zaczęłam się rozglądać i szukać ludzi do ekshumacji — i usłyszałam — Proszę nie szukać nikogo. Jaśka i Jędrka nikt obcy nie dotknie... Wtedy zrozumiałam, kim był dla nich Andrzej i jak Jaśka kochali [...]"

„Chłopcy odkopali do połowy Andrzeja, wręczyli mi krzyż harcerski, odcięli koalicijkę z odznaką Agricoli — pokazali ryngraf z Matką Boską Ostrobramską, którego nie wzięłam — zostawiłam. Podali mi płócienną torbę, z której posypały się zupełnie świeże cukierki”.

[za www.mitologiauspolczesna oraz www.info-pc.home.pl/whatfor i in.]

Nie będzie nadużyciem wyrazić przypuszczenie, że były to te same cukierki, które „Morro” dostał od „Radosława” około godziny 16:00 14 września 1944 roku przed wyruszeniem na, jak szczerze wierzył, decydującą o losach Powstania i Warszawy akcję oczyszczenia brzegu Wisły przed desantem.



POLACY, GDZIEKOLWIEK SIĘ ZNAJ- DUJECIE, POLACY...

Początkiem mojego nadpisywania był wiele lat temu cykl notatek pod tytułem *nie o wszystkim śpiewa Lao Che*, ale im bliżej jestem końca, tym głośniejsz brzmią różne fragmenty tej płyty, jakby soundtrack do tych zapisków, nadpisków. Pewnie jeszcze w tle brzmi gdzieś L. U. C. ze swoim projektem 39/89 — *Zrozumieć Polskę*, szczególnie tym fragmentem, w którym włącza się fragment audycji radiowej Polskiego Radia *na gościnnych falach Radia France z Algieru*. Tytuł tych notatek nie wynikał z braku szacunku dla roboty zespołu z Płocka. Dokładnie odwrotnie. Album *Powstanie Warszawskie* to dzieło totalne, zamknięte. Pamiętam, jak dziennikarka pytała swego czasu w telewizji weterana, czy mu się podoba ten łomot. Lao Che grali w Muzeum Powstania Warszawskiego, a on odpowiedział jakoś tak — cytuję z pamięci, więc niedokładnie:

„ — Wie Pani, to nie jest nasza estetyka, myśmy na przykład nie używali z zasady tak ostrych słów, nie mówię już o muzyce, myśmy mieli inną, ale jak Pani pyta o siłę wyrazu tego, co chłopcy zrobili — to tak właśnie to było, to był ten poziom emocji, taki zgiełk, walka, radość, gniew i krzyk. To było właśnie tak”.

Jeżeli Lao Che poprzez swoje dzieło transmituje atmosferę, emocje, daje odczucia bycia atakowanym, atakującym, zrezygnowanym, to zarazem jest to punkt wyjścia do podróży szlakiem, który ma wiele odgałęzień, kluczy, nawraca, wyprowadza w pole. Powstanie jest takim totalnym wydarzeniem. Nie przypadkiem nikt nie był zdolny przez te ponad 70 lat napisać przekonującej summy. I chyba już nikt nie napisze o Powstaniu nic takiego jak Wańkowicz o Monte Cassino, ze wszystkimi kontekstami, pogłosami, echolaliami. Jesteśmy już za daleko.

I jest taki moment, zaraz na początku utworu *Stare Miasto*, kiedy gdzieś spomiędzy trzasków starej płyty wydobywa się rytm marsza granego przez zespół i temu towarzyszy zsamlowany głos premiera Stanisława Mikołajczyka¹¹⁵ z przemówienia z 6 czerwca 1944 roku, który powtarza kilka razy te samą frazę:

— „Polacy, gdziekolwiek, się znajdujecie... Polacy! Gdziekolwiek się znajdujecie...”

Wyrwanie tej frazy z kontekstu przemówienia daje niezwykle efekt wołania w pustkę, wołania wielowymiarowego, tutaj i tam, wtedy i teraz, nieomalże stawia znak zapytania czy gdziekolwiek jeszcze jacyś Polacy są — Polacy, czyli ludzie o pewnej szczególnej konstytucji duchowej i moralnej.

Polacy z bronią w rękę latem i wczesną jesienią 1944 roku byli w bardzo różnych, oddalonych od siebie setki, czasem tysiące kilometrów miejscach. Byli w dywizjonach myśliwskich nad Francją, bombowych nad Niemcami, morskich nad Morzem Północnym i Atlantykiem, byli w partyzantce na Bałkanach i we Francji, byli w Egipcie w części wojsk, które wyszły z Andersem z ZSRR, ale nie zostały skierowane do walki, byli we Włoszech w 2 Korpusie Polskim, który odpoczywał i odrabiał straty po Monte Cassino i Ankonie wchłaniając setki, tysiące Polaków dezertujących z Wehrmachtu, do którego zostali wcieleni siłą ze Śląska, Wielkopolski, Pomorza. To dzięki Ślązakom, Kaszubom, Pomorzanom mimo ciężkich strat przy końcu wojny liczący początkowo 44 tysiące korpus rozrośnie się do 92 tysięcy.

Polacy, gdziekolwiek się znajdujecie...

13 sierpnia 1944 roku ćwiczący zawzięcie i oczekujący na zrzut w Polsce żołnierze 1 Samodzielnej Polskiej Brygady Spadochronowej generała Stanisława Sosabowskiego odmawiają spontanicznie przyjęcia posiłku w geście protestu przeciwko trzymaniu ich pod brytyjskim dowództwem w chwili, gdy w Warszawie trwa Powstanie. Generał Sosabowski odmawia wszczęcia postępowania dyscyplinarnego wobec prowadzących, w duchu — jak przyznaje w swoich wspomnieniach — solidaryzując się z nimi. Ostatecznie po wizycie w Stanach Zjednoczonych wie, że są techniczne możliwości podjęcia próby przetrwania do Warszawy chociażby części swoich ludzi, owszem za cenę pewnych strat, ale jak pokaże wyprawa 8 Armii Amerykańskiej „Frantic 7” — wcale nie tak wielkich, jak się uważa. Sosabowski wie też, że plany aliantów są inne. Sosabowski opóźnia podanie daty gotowości bojowej brygady, chociaż wedle wszelkich reguł była gotowa w lipcu. No tak, ale wtedy była mowa o tym, że wracają do kraju z bronią w rękę wspomóc swoich. Teraz może jeszcze Sosabowski się ludzi, że jakiś nagły zwrot na jednym lub drugim froncie doprowadzi do zmiany decyzji i brygada poleci jednak do Polski. Nie wie o tym, że jego rodzony syn Stanisław Janusz Sosabowski ps. „Stasinek”¹¹⁶, który w dzieciństwie stracił wskutek nieszczęśliwego wypadku lewe oko, w czasie Powstania lekarz „kolegium A”,

¹¹⁵Stanisław Mikołajczyk (1901–1966) — polski polityk, przywódca PSL, w latach 1943–1944 premier Rządu Polskiego na Uchodźstwie, w sierpniu 1944 r. bezskutecznie zabiegał u Stalina o pomoc dla powstańców warszawskich, po wojnie wicepremier Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, zagrożony aresztowaniem wyemigrował w 1947. [przypis edytorski]

¹¹⁶Stanisław Janusz Sosabowski ps. „Stasinek” (1917–2000) — lekarz, uczestnik kampanii 1939, w konspiracji w SZP/ZWZ/AK, w powstaniu w stopniu porucznika dowódca oddziału dyspozycyjnego Zgrupowania „Radostaw”, ranny w nocy z 4 na 5 sierpnia, utracił wzrok, po wojnie na emigracji. [przypis edytorski]

został ranny w walkach 4 sierpnia 1944 roku w rejonie ulicy Leszno i stracił też prawe oko.

Między 14 a 21 sierpnia polska 1 Polska Dywizja Pancerna¹¹⁷ pod dowództwem generała Maczka bierze udział w morderczej bitwie wojsk pancernych pod Falaise w Normandii, odgrywając rolę przysłowiowego „korka od butelki”, próbując domknąć okrążenie wszystkich sił niemieckich w tym rejonie na wzgórzach wokół Chambois i Mont Ormel. Oni, podobnie jak spadochroniarze Sosabowskiego, wiedzą o walczącej Warszawie, wiedzą o zbrodniach na ludności cywilnej, przeczuwają, że sprawa jest przegrana i że nie oni będą wyzwalać Polskę. W zasadzie wiedzą i czują, że nikt Polski nie wyzwoli. Stephen Ambrose w swojej książce „Obywatele w mundurach” (wyd. polskie 2000) przedstawia epizod z bitwy pod Falaise, kiedy kapitan US Army Laughlin Waters został wysłany po 1500 jeńców wziętych do niewoli przez Polaków. Na miejscu spotkania okazało się jednak, że żołnierze generała Maczka przyprowadzili tylko 200 Niemców. „Gdzie jest reszta?” — zapytał Waters. „Rozstrzelaliśmy ich” — spokojnie odpowiedział polski oficer — „ci zostali, bo zabrakło nam amunicji”. To jedyna relacja o tym zdarzeniu, nie wiadomo czy miało ono rzeczywiście miejsce¹¹⁸.

Pewnym symbolem, gorzkim znakiem jest to, że 19 sierpnia, kiedy alianci są jeszcze daleko od Paryża, wybucha w nim powstanie. Jest ono gorzej przygotowane od polskiego, nie ma jednolitego dowodzenia. Alianci planują w tym czasie wyzwolenie Paryża na jesień. 21 sierpnia dowodzący francuską 2 dywizją pancerną gen. Leclerc¹¹⁹ w akcie niesubordynacji wysłał swoje czołówki rozpoznawcze w stronę Paryża, gen. Eisenhower¹²⁰ potępia te działania, ale gen. Charles de Gaulle¹²¹ oświadcza, że jeżeli alianci nie zaaprobują rozkazu ataku na Paryż dla 2 francuskiej Dywizji Pancernej, to on sam wyda taki rozkaz. 22 sierpnia Eisenhower akceptuje niesubordynację Francuzów, zmienia swoje plany strategiczne i 24 sierpnia 2 Dywizja Pancerna Leclerca wkracza do Paryża.

Nadchodzi wrzesień.

Między 17 a 23 września Samodzielna Polska Brygada Spadochronowa zostaje zrzucona częściami w rejonie Arnhem w ramach operacji „Market Garden”, której plan Sosabowski krytykował jako niewykonalny. 9 września zażądał od gen. Uruqharta¹²², dowódcy 1 Dywizji Powietrznodesantowej brytyjskiej, której był operacyjnie podporządkowany — rozkazu na piśmie precyzującego zadania brygady. Nie dlatego, żeby odmówić jego wykonania, jak sam wspomina, ale dlatego, by w razie gdyby nie było mu dane wrócić — jego przełożeni i rodacy dowiedzieli się, dlaczego i w jakich warunkach przyszło mu oddać życie. Po jego rozmowie z gen. Browningiem, dowódcą 1 Armii Powietrznodesantowej, plan zostaje nieznacznie zmieniony, ale sama operacja nie zostaje odwołana. I jest nazwana po fakcie „Ostatnią kłęską aliantów”, operacją wymierzoną „o jeden most za daleko”.

Polacy, gdziekolwiek się znajdują...

¹¹⁷ 1 Polska Dywizja Pancerna — formacja pancerna Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie utworzona 25 lutego 1942 roku, od sierpnia 1944 do maja 1945 brała udział w kampanii zachodnioeuropejskiej, szczególnie uznanie zyskując swoimi działaniami w bitwie pod Falaise w dniach 14–21 sierpnia 1944. [przypis edytorski]

¹¹⁸ nie wiadomo czy miało ono rzeczywiście miejsce — W Polsce jako pierwszy kwestię tę poruszał od 2004 roku w swoich artykułach Grzegorz Czwartosz, spotykając się z ostrą reakcją historyków działań PSZ, którzy podważali wiarygodność relacji Watersa. W istocie nie jest ona potwierdzona żadnym innym źródłem ani relacją naocznego świadka rzekomych egzekucji. [przypis edytorski]

¹¹⁹ gen. Philippe Leclerc de Hauteclocque (1902–1947) — generał francuski, w 1940 r. poparł gen. Charlesa de Gaulle’a, zasłynął jako dowódca 2 Dywizji Pancernej, która wyzwoliła 25 sierpnia 1944 r. Paryż. Po wojnie dowodził wojskami francuskimi w Indochinach, zginął w wypadku lotniczym. [przypis edytorski]

¹²⁰ gen. Dwight David Eisenhower (1890–1969) — amerykański polityk i wojskowy, w latach 1943–1945 Naczelnym Dowódcą Alianckich Ekspedycyjnych Sił Zbrojnych. Na stanowisku tym dowodził m.in. desantem w Normandii, w latach 1953–1961 prezydent Stanów Zjednoczonych. [przypis edytorski]

¹²¹ gen. Charles de Gaulle (1890–1970) — francuski polityk i wojskowy, od 1940 roku przywódca tzw. Wolnych Francuzów, w latach 1944–46 stał na czele Tymczasowego Rządu Republiki Francuskiej, ponownie premier w latach 1958–1959, od 1959 do 1969 prezydent Francji. [przypis edytorski]

¹²² gen. Robert Elliott Uruqhart (1901–1988) — brytyjski wojskowy, w 1944 roku w stopniu generała majora dowódca 1 Dywizji Powietrznodesantowej, która w bitwie pod Arnhem poniosła ogromne straty i praktycznie przestała istnieć. [przypis edytorski]

14 sierpnia 1944 roku ORP „Piorun”¹²³ u zachodnich wybrzeży Francji topi niemiecki zaopatrzeniowiec „Sauerland”. Ten sam „Piorun” wślawił się trzy lata wcześniej udziałem w pościgu za niemieckim pancernikiem „Bismarck”¹²⁴. „O Boże, jaka szafa” miał powiedzieć oficer artylerii, kiedy w końcu dogonili niemiecki pancernik i mieli przed sobą godzinny samotny bój, zanim nadciągnie reszta sił aliantów. „Trzy salwy na cześć Polski!” miał zakomenderować dowódca, komandor Pławski¹²⁵. W nocy z 18 na 19 września 1944 roku ORP „Garland”¹²⁶, tropi i topi wraz z innymi jednostkami aliantów na Morzu Egejskim niemiecki U-407. Ten sam „Garland” dwa lata wcześniej w obronie konwoju PQ-16 z Islandii do Murmańska traci w niemieckich nalotach 68 zabitych i rannych ludzi z przewidzianej etatem 145 osobowej załogi. Miał wtedy ponad 500 przestrzelin i dziur po odłamkach w kadłubie i nadbudówkach, do obsługi dział i działek p-lot trzeba było wysłać kucharzy, mechaników, wszystkich którzy trzymają się na nogach. Brytyjczycy z towarzyszącego konwojowi trawlera gratulują polskiemu dowódcy „Bloody good show” w obronie konwoju. Jeden z rannych, starszy marynarz Bomba, pisze własną krwią na ścianie mesy zamienionej na szpital „Polsko, jak słodko dla Ciebie umierać”. Przeżyje.

Polacy, gdziekolwiek się znajdziecie...

15 września 1944 roku patrol berlingowców, w czasie lądowania którego ginie Andrzej „Morro” Romocki, zostaje odesłany na prawy brzeg Wisły wraz z majorem Witoldem Sztompke ps. „Kmita”¹²⁷ ze zgrupowania „Radosława” w celu uzgodnienia szczegółów właściwego desantu, który ma nastąpić bez zbędnej zwłoki tej nocy. W nocy z 15 na 16 września „Radosław” przesyła meldunek do Śródmieścia przez łączniczkę, która podejmuje się drogi przez kanały. Z jego formy można wnioskować, że nerwowo „Radosław” jest na skraju załamania. Pisze między innymi:

„oddziały czerniakowskie w 75% prysnęły jak bańka mydlana — banda nie wojsko. U mnie wybici prawie wszyscy oficerowie — straty za ostatnie trzy dni wynoszą około 100 zabitych i 300 rannych. [...] Wszyscy wielcy pomocnicy od tzw. produkcji puciekali, ludność wywiesza białe flagi. [...] Prawdopodobnie zdecyduję się o godz. 2 opuścić Okrąg 2, gdzie jest moje m. p. i wyjdę ruinami między Wilanowską a Zagórną i w dziurach będę czekał zmiłowania Bożego lub kolejnego wybijania przez czołgi resztek ludzi. Zostać tutaj nie mogę, gdyż jest to ostatni szpital i [fragment nieczytelny] ludności cywilnej, która już histeryzuje, więc musiałbym do niej strzelać”.

Mało wojskowy język i rodzaj lamentacji pojawia się też w dalszej części tego dokumentu. Historyk działań na Powiślu Czerniakowskim, Tadeusz Grigo ps. „Kur”, sam żołnierz zgrupowania „Kryski”, dyskretnie, w przypisie swojego opracowania, podejmuje polemikę z meldunkiem „Radosława” — wskazując, że silnie związany ze swoimi ludźmi niezbyt się interesował zgrupowaniem „Kryski”, które ponosiło w równym stopniu ciężar walk. Straty w korpusie oficerskim „Kryski” były podobne jak w zgrupowaniu „Radosława” — z tym, że od 11 do 16 września trzech kolejnych dowódców zgrupowania zostało ciężko rannych, a kolejnych trzech w ciągu następujących 3 dni zginie, walcząc ze swoimi ludźmi na pierwszej linii. Później i tak system dowodzenia się rozpadnie, a dowodzić żołnierzami w zasięgu wzroku i słuchu będzie ten, kto akurat będzie najwyższym stopniem

¹²³ORP „Piorun” — polski niszczyciel typu N, wydzierżawiony od Brytyjczyków w 1940 roku, uczestniczył w działaniach na Atlantyku i Morzu Śródziemnym w latach 1941–1945, m.in. w pościgu za niemieckim pancernikiem „Bismarck”, po wojnie zwrócony Wielkiej Brytanii. [przypis edytorski]

¹²⁴Pancernik „Bismarck” — niemiecki okręt liniowy, zatopiony 27 maja 1941 r. w swoim pierwszym rejsie na Atlantyku przez Royal Navy po uporczywym pościgu. [przypis edytorski]

¹²⁵komandor Eugeniusz Pławski (1895–1972) — oficer Marynarki Wojennej, przed wojną dowodził m.in. Dywizjonem Okrętów Podwodnych, w latach późniejszych pełnił także funkcję dowódcy ORP „Piorun” i ORP „Dragon”, od 1944 do 1945 szef sztabu Kierownictwa Marynarki Wojennej. Służbę zakończył w stopniu komandora. Po wojnie na emigracji w Kanadzie. [przypis edytorski]

¹²⁶ORP „Garland” — polski niszczyciel typu G, wydzierżawiony od Brytyjczyków w 1940 roku, służył m.in. w konwojach arktycznych i na Morzu Śródziemnym, gdzie przyczynił się do zatopienia niemieckiego okrętu podwodnego U-407, po wojnie zwrócony Wielkiej Brytanii. [przypis edytorski]

¹²⁷major Witold Sztompke ps. „Kmita” (1893–1961) — oficer służby stałej WP, w konspiracji działał w organizacji „Miecz i Pług”, w powstaniu walczył w Zgrupowaniu „Sienkiewicz”, batalionie „Gozdawa” i Zgrupowaniu „Radosław”, po wojnie pozostał w kraju. [przypis edytorski]

i będzie umiał swoją charyzmą opanować panikę, strach i ogólne załamanie. Według Tadeusza Grigo dezercja w południowym zgrupowaniu broniącym Czerniakowa objęła — jak skrupulatnie wyliczył kronikarz „Kryski” — 2% ogólnego stanu. Czyli ani więcej, ani mniej, niż to zdarzało się we wszystkich zgrupowaniach.

Z drugiej strony barykady — dzięki wysadzeniu mostów i wycofaniu większości wojsk z prawego brzegu Wisły von dem Bach nie tylko odzyskał jednostki szturmowe saperskie szkolone do walk w mieście, ale czasowo zyskał też dla swojego korpusu wydzielone oddziały dywizji pancernych — 25 i 19. Do tej pory miał do dyspozycji mieszanię jednostek policyjnych, Luftwaffe, legionów wschodnich, kompanii karnych czy uformowaną z przestępców Brygadę Dirlewangera. Zbliżał się szturm dywizji pancernych.

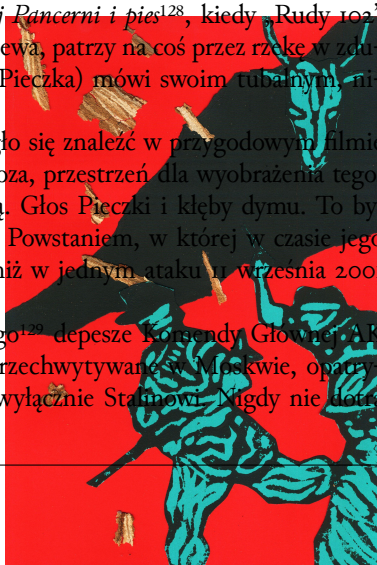
Powstańcy na Czerniakowie zajmowali 16 września już tylko niewielki obszar, czekając na pomoc zza Wisły.

To tam znajdowali się Polacy, których nie wymieniłem powyżej, a którzy jako jedyni mieli szansę realnie pomóc Powstaniu. Armia Wojska Polskiego, „spóźnieni do Andersa” łagiernicy i zesłańcy („Witaj dzisiejszy żołnierzu, wczorajszy tułacz”), dowodzeni w sporej mierze przez oficerów radzieckich o polskim pochodzeniu. Polskich oficerów w większej ilości było brak — większą część wymordowało NKWD w Katyniu, Charkowie, Bykowni, Miednoje, pozostałą część zabrał Anders. Została garść uzupełniania naborem na oswobodzonych od Niemców terytoriach, czasem przymusowym poborem z szeregów internowanych członków AK, którym dawano wybór — albo służba w AWP u boku Armii Czerwonej, albo łagier. To ci Polacy szykowali się do pomocy, bo ze wszystkich — byli najbliżej. Nie wiedzieli, że także oni, razem z dowodzącymi nimi i dzielącymi trudy wojenne oficerami rosyjskimi, zostaną sami. Wierzyli, podobnie jak „Morro”, że biorą udział w operacji, która odwróci od Warszawy zły los. Być może wierzył w to nawet sam gen. Zygmunt Berling.

Jest taka scena w kłamiwym historycznie, ale przecież oglądanym przeze mnie i kolegów z podwórka jako przygodowy serialu *Cztery Pancerni i pies*¹²⁸, kiedy „Rudy 102” wyjeżdża na praski brzeg i załoga, opierając się o drzewa, patrzy na coś przez rzekę w zamyśleniu i przerażeniu. I wtedy Gustlik (Franciszek Pieczka) mówi swoim tubalnym, niskim głosem tylko jedno słowo: — *Warszawa...*

Potem wpada kadr z kłębi dymu. I tyle mogło się znaleźć w przygodowym filmie dla dzieci ery PRL. Zarazem jest w tym kadrze groza, przestrzeń dla wyobrażenia tego, czego nie da się wyobrazić, objąć jedną opowieścią. Głos Pieczki i kłęby dymu. To był Czerniaków. To była Warszawa w walce, ogarnięta Powstaniem, w której w czasie jego trwania dziennie ginęło ponad 3500 osób, więcej niż w jednym ataku 11 września 2001 roku.

Adresowane do dowódcy 1 Frontu Białoruskiego¹²⁹ depeche Komendy Głównej AK wysyłane via Londyn i Moskwa są w tym czasie przechwytywane w Moskwie, opisywane klauzulą „tajne” i podawane do wiadomości wyłącznie Stalinowi. Nigdy nie dotarły do adresata.



17 WRZEŚNIA

Radio Moskwa w nadanej 17 września 1944 roku anglojęzycznej audycji mówi m.in. (za *Kroniką Powstania Warszawskiego*A. Kunerta):

„Polscy reakcjoniści z zaciekłością szkalują Czerwoną Armię. Nie potrzeba powtarzać, co ci awanturnicy i nieprzyjaciele polskiego narodu mówią. Fakty zadały im kłam. Kiedy Armia Czerwona wkroczyła na Pragę, nie

¹²⁸*Cztery Pancerni i pies* — polski serial wojenny zrealizowany w latach 1966–1970 na podstawie książki Janusza Przymanowskiego. Prezentował wyidealizowany obraz działań żołnierzy Armii Polskiej w ZSRR na froncie wschodnim, omijając lub maskując tematy niewygodne politycznie w okresie PRL (m.in. deportacje Polaków w latach 1939–1941, powstanie warszawskie). [przypis edytorski]

¹²⁹*do dowódcy 1 Frontu Białoruskiego* — Konstanty Rokossowski (1896–1968) — sowiecki dowódca wojskowy pochodzenia polskiego, w czasie powstania warszawskiego dowódca 1 Frontu Białoruskiego, który operował na bezpośrednich przedpolach miasta. Przyjął bierną postawę wobec wydarzeń na zachodnim brzegu Wisły, niewątpliwie realizując dyrektywy płynące z Kremla. [przypis edytorski]

znalazła ani jednego żołnierza „podziemnej” armii gen. Bora [...] Historycy nie zapomną usiłowań wrogów Zjednoczonych Narodów aby poróżnić wielkich aliantów w bitwie o Warszawę”.

Trzeba przyznać, że treść komunikatu została świetnie dobrana do daty 5 rocznicy wkroczenia sowieckiej armii na tyły zmagającej się z niemiecką nawałą armii polskiej, co jak wiadomo przekreśliło wszelkie plany przedłużonego stawiania oporu na tzw. „Przedmościu Rumuńskim”¹³⁰, a w dalszej perspektywie, czego zapewne nikt jeszcze nie mógł wtedy przewidzieć, czystki etniczne, rzezie, wędrówki ludów. Zatem Radio Moskwa pokazuje światu dowody na to, że towarzysz Stalin miał rację, nazywając całe Powstanie „awanturą”. Na Pradze po sześciu tygodniach od wybuchu Powstania nie ma żołnierzy Armii Krajowej. Korespondent radia Moskwa nie umiał spojrzeć jak czterej pancerni i pies przez rzekę Wisłę. Może by wówczas coś zobaczył, kto wie.

Przez rzekę 17 września patrzyli na pewno obserwatorzy Armii Wojska Polskiego, wielu polskich żołnierzy w czapkach z orłem bez korony, zwanym pogardliwie przez Powstańców „gapa” (bo zgubił w locie koronę). Ze szczególnymi emocjami, zapewne ze śmiertelnym strachem, będą za rzekę patrzyli polscy żołnierze z 3 Dywizji Piechoty imienia Romualda Traugutta¹³¹. Od dwóch nocy kolejni z nich, szczególnie ci z 9 Pułku piechoty, przeprawiali się na drugi brzeg do Powstańców i znikali w kurzawie, kłębach dymu, huk u dział, terkocie broni maszynowej. Przeprawiali się na łodziach, pontonach, łódkach rybackich. Pierwszej nocy udało się z zaskoczenia przerzucić około 420 ludzi z astronomicznymi jak na warunki powstańcze ilościami uzbrojenia, drugiej nocy z 16 na 17 września było to już tylko 390 ludzi, ale za to udało się przerzucić 5 armat przeciwpancernych i cztery moździerze, przerzucono też radiostacje i wyszkolonych operatorów, obserwatorów artyleryjskich, którzy ściągają ogień armat z prawego brzegu we właściwe miejsce. W drugą stronę ocalałe łodzie, pontony, piaskarki kursują z rannymi. Straty w parku przeprowowym wynoszą średnio 2 łodzie na każde 3 użyte jednostki.

W składach 1 Frontu Białoruskiego dowodzonego przez Konstantego Rokossowskiego jest dużo sprzętu przeprowowego, ale nie zostanie on uruchomiony. Armia Wojska Polskiego, niesłusznie po wojnie nazywana przymiotnikiem Ludowa, dowodzona przez gen. Zygmunta Berlinga, do końca będzie dysponowała tylko własnymi środkami przeprowowymi. Nie wesprze też jej żaden inny związek operacyjny 1 Frontu Białoruskiego. Mimo to Zygmunt Berling nawet 21 września, kiedy akcja na przyczółkach w zasadzie się załamała i będzie już prowadzona tylko ewakuacja, będzie słał do sztabu frontu entuzjastyczne raporty, jakby chciał sam siebie przekonać, że zaraz wyzwoli Warszawę. Po wojnie powstanie legenda o „samowoli” Berlinga, która została ukarana przez Stalina odwołaniem go z dowództwa AWP 30 września 1944 roku.

Rosyjski historyk Nikołaj Iwanow w książce „Powstanie Warszawskie widziane z Moskwy” nie pozostawia jednak wiele wątpliwości. Ani Rokossowski, ani Berling nie mieli szans na żadną samowolę, każdy krok był sankcjonowany przez Stalina. Obu przedstawia jako dobrych, stalinowskich janczarów. Obaj urodzeni Polacy, obaj źle mówiący po rosyjsku, obaj na pewnym etapie aresztowani przez NKWD i wypuszczeni — stali się bardziej wiernopoddańczy niż rodowici Rosjanie. Przy czym Rokossowski od najmłodszych lat związany był z ruchem robotniczym, lewicowym, w zasadzie od 1914 nie mieszkał w Polsce, a swoje imię nadane mu na chrzcie — Kazimierz — przekreślił na Konstanty, zakładając też otczestwo. Nie należy sądzić, żeby NKWD i Stalin nie wiedzieli o tym, kim jest rzekomy Konstanty Konstantynowicz (powinno być Kazimierz Ksawerowicz) i że w Warszawie mieszka jego rodzona siostra, Polka Helena Rokossowska, że pradiadek marszałka ZSRR, uczestnika bitew pod Kurskiem, Moskwą, Stalingradem, był oficerem jazdy Księstwa Warszawskiego za księcia Poniatowskiego, a dziadek, zubożały ziemianin

¹³⁰ „Przedmoście Rumuńskie” — koncepcja „Przedmościa Rumuńskiego” zakładała, w przypadku konieczności odwrotu z linii Wisły pod naciskiem niemieckim, obronę Małopolski południowo-wschodniej w oparciu o granicę z Węgrami i Rumunią. Rubież ta musiała być bezwzględnie utrzymana, aby możliwe było ustanowienie szlaków komunikacji i dostaw zaopatrzenia od zachodnich sojuszników. Plany obrony „Przedmościa Rumuńskiego” stały się nieaktualne po 17 września 1939 r., gdy na obszar ten wkroczyła Armia Czerwona. [przypis edytorski]

¹³¹ 3 Dywizji Piechoty imienia Romualda Traugutta — 3 Dywizja Piechoty im. Romualda Traugutta wchodziła w owym czasie w skład 1 Armii Wojska Polskiego. [przypis edytorski]

z Wielkopolski, brał udział w Powstaniu Styczniowym. Kierownictwo ZSRR musiało wiedzieć i nie powinno dziwić, że w czasie Wielkiej Czystki nie ominęło Rokossowskiego aresztowanie. Trzy lata był pod śledztwem, wybito mu oko, dziewięć zębów, złamano trzy żebra, miażdżono palce u stóp młotkiem, symulowano kilkukrotnie rozstrzelanie. Nie załamał się, nie podpisał przyznania się do winy, nikogo nie wymienił jako współnika. Po wyjściu z aresztu stał się najwierniejszym z wiernych oficerów Stalina. I jednym z lepszych dowódców. Miał opinię dowódcy, który miał sporą lotność operacyjną, nie znosił rzeźnika Żukowa¹³² i brał pod uwagę życie podkomendnych, którego to czynnika większość sowieckich generałów i marszałków nie przeceniała. Był taki dowcip frontowy, że Żukow wynalazł nową strategię walki z Niemcami — czterowarstwową. Pierwsze trzy warstwy trupów wyrównują nierówności terenu, a czwarta idzie do ataku. Podobno Rokossowski był inny.

Zygmunt Berling był żołnierzem Legionów Piłsudskiego, w 1926 roku w czasie Zamachu Majowego stanął po jego stronie, awansowany na kolejne stopnie w II R. P., zdymisjonowany 31 lipca 1939 roku ze stanowiska dowódcy 4 Pułku piechoty Legionów. Po wojnie twierdził, że odszedł na własną prośbę, ale zapiski jego ówczesnego przełożonego — Stefana Grota-Roweckiego¹³³ — wskazują jednak, że dopuścił się sporych zaniedbań. Istnieją też relacje, że koledzy zostawili mu na biurku naładowany pistolet, żeby jako honorowy oficer z niego skorzystał. Wojnę 1939 roku przeżył jako rozbitek bez przydziału, 4 października aresztowany przez NKWD i zatrzymany w Starobielsku, gdzie zgodził się na współpracę ze śledczymi, co go ocaliło od losu większości polskich oficerów ze Starobielska. Po wyjściu z obozu w Griazowcu dążył cały czas do powstania polskiej jednostki wojskowej przy boku Armii Czerwonej, pisząc przy okazji wiernopoddańcze listy do Stalina. Dziwne, ale generał Anders, wyznaczony na dowódcę Polskiej Armii w ZSRR, powierzył mu odpowiedzialną funkcję szefa sztabu 5 Dywizji Piechoty. Po podjęciu decyzji o wyprowadzeniu polskiej armii do Persji, Berling opuścił szeregi polskiego wojska i został w ZSRR. Polski sąd wojskowy uznał to za dezercję i skazał go na śmierć. W nagrodę Stalin powierza mu w 1943 roku dowództwo na nowo tworzonego Wojska Polskiego, które ma być posłuszne nowemu, komunistycznemu rządowi. Rekruci ci sami, co u Andersa: zekowie, łagiernicy, zesłańcy. Oficerów brak, ale dość jest takich jak Rokossowski, Rosjan o polskich korzeniach — i takich się kieruje do 1 Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki.

Dywizja Piechoty dowodzona przez Berlinga bierze udział w bezsensownej z operacyjnego punktu widzenia i pozbawionej znaczenia Bitwie pod Lenino w październiku 1943 roku. Bitwa była źle przygotowana, nie najlepiej dowodzona tak na poziomie pułków, jak i dywizji czy armii. Straty w zabitych, rannych, zaginionych i wziętych do niewoli wyniosły ponad 3000 ludzi przy ogólnym stanie dywizji razem ze służbami i jednostkami niebojowymi około 12000 ludzi, 1 pułk piechoty stracił 1600 ludzi, a jego dowódca utracił łączność ze swoimi oddziałami. Dywizja została po tej bitwie wycofana z linii, a teren przez nią zdobyty został utracony i trzeba go było zdobywać od nowa, kiedy ruszyła właściwa ofensywa. Drogą kolejnych poborów i naborów, mniej lub bardziej przymusowych, dywizja rozwinęła się w korpus, a następnie w armię. Jej debiutem jako całości po Lenino była próba forsowania Wisły pod Puławami i Dęblinem między końcem lipca a 6 sierpnia 1944 roku. Jak widać — forsowanie Wisły zdecydowanie było w planach dowództwa radzieckiego przed wybuchem Powstania. Niemniej jednak był to nieudany desant, poparty niezdecydowanym, kiepskim dowodzeniem. Teraz, pod Warszawą, jak się wydaje, powtarza się historia spod Lenino, Puław, Dębłina — słaby desant, słabe dowodzenie, brak wsparcia ze strony radzieckich towarzyszy broni, ciężka danina krwi zwykłych żołnierzy i młodszych oficerów.

¹³² *Georgij Żukow (1896–1974)* — sowiecki dowódca wojskowy, w czasie II wojny światowej pełnił szereg wysokich funkcji w Armii Czerwonej, prowadził m.in. ofensywę na Berlin w kwietniu 1945 r., znany z lekceważenia strat i traktowania żołnierzy jak przysłowiowego „mięsa armatniego”. [przypis edytorski]

¹³³ *Stefan Rowecki ps. „Grot” (1895–1944)* — oficer służby stałej WP, teoretyk wojskowości, w 1939 roku dowódca Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej, od 30 czerwca 1940 do 30 czerwca 1943 Komendant Główny ZWZ/AK, aresztowany przez Niemców na skutek działania grupy zdrajców w szeregach AK, zamordowany w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen po wybuchu powstania warszawskiego. [przypis edytorski]

Nie wiadomo, czy Rokossowski był nad brzegiem Wisły, czy patrzył na miasto, którego nie widział od trzydziestu lat, czy myślał o niewidzianej od trzydziestu lat siostrze Helenie, która przeżyje Powstanie i dopiero po wojnie z gazet dowie się, że jej brat został marszałkiem ZSRR. Wiadomo, że jeszcze we wrześniu 1944 roku opracował autorski plan zdobycia Warszawy przez 1 Front Białoruski i przedstawił go Stalinowi. Tymczasem Stalin osobistym rozkazem 30 września 1944 roku odwołał Berlinga ze stanowiska dowódcy Armii Wojska Polskiego. Być może chodziło o błędy w dowodzeniu, chociaż bywali dowódcy, którzy popełniali większe błędy. A może chodziło o to, że Berling personalnie nie znosił się z Rokossowskim, podejrzewając go, że ten chce zamienić Polskę w siedemnastą Republikę ZSRR, a nie w państwo satelickie. Rokossowski z kolei był jak najgorszego zdania o talentach wojskowych i organizacyjnych Berlinga. Stalin tymczasem 12 listopada usunął też Rokossowskiego z eksponowanego stanowiska dowódcy 1 Frontu Białoruskiego, który oddał Żukowowi. Swojego polskiego janczara przeniósł na mniej eksponowane stanowisko dowódcy 2 Frontu Białoruskiego (kierunek Pomorze, Prusy Wschodnie). I wreszcie kiedy Józef Wissarionowicz kadrowo wszystko uporządkował — 28 listopada 1944 roku zaaprobował przygotowany przez Rokossowskiego plan strategicznego forsowania Wisły i „wyzwolenia” Warszawy. To był dobry plan i przydał się. W styczniu 1945 roku.

Przypomina się tutaj puenta wiersza Jacka Kaczmarskiego¹³⁴ *Czołg*, w którym jedyną istotą, która chce iść na pomoc Powstaniu po drugiej stronie rzeki jest maszyna, czołg, tank, który nie rozumie, dlaczego stoi, kiedy za rzeką toczy się śmiertelna walka.

Dajcie mi wgryźć się gąsienicą w fale śliskie
I ogniem swoim dajcie wesprzeć barykady!
By miasto w walce, które tak jest bliskie,
Bezruchu mego nie nazwało mianem — zdrady!

Lecz milczy sztab i milczą pędy tataraku,
Którymi mnie przed tymi, co czekają — skryto.
Bo ruskij tank — nie będzie walczył za Polaków!
Bo ruskij tank — zaczekać ma, by ich wybito!

Gdy się wypali już powstanie ciemnym błyskiem
Włączą mi silnik i ożywią krew maszyny,
Bym mógł obejrzeć miasto — co tak bliskie —
Bez walki zdobywając gruzy i ruiny!

Wiersz ten, jak wiele innych w twórczości Kaczmarskiego, jest przetworzeniem innego wiersza, napisanego przez Rosjanina, Włodzimierza Wysockiego, który w swoim poetyckim dzienniku podróży przez Polskę na tzw. Zachód zawarł taki fragment:

I nagle mózg rozsadzać zaczął czaszkę,
wróciło to, co wraca nie od dziś:
Powstanie przypomniało mi się Warszawskie
i polski ból w rosyjską wtargnął myśl.

Wzywali pomocy,
błagali o broń,
a nasi sztabowcy
zatrzymali front.
Chcieliśmy przez Wisłę
z marszu, jak się da...
i płakali wszyscy

¹³⁴Jack Kaczmarski (1957–2004) — polski poeta, kompozytor, piosenkarz, najszerzej znany jako nieformalny bard „Solidarności”, w swoich utworach opowiadał się zdecydowanie przeciwko ograniczaniu wolności. [przypis edytorski]

słyszac wciąż:

„Nielzia!”

Było — minęło, lecz do dzisiaj w sercu
niczym odłamek tamte sprawy tkwią:
bezsilny szloch naszych krasnoarmiejców
i ten haniebnie zatrzymany front...

Czemu stały armie
sześćdziesiąt trzy dni,
patrzac jak Powstanie
nurza się we krwi?
Ponoć był to akt,
taka nasza gra,
żeby wiedział Zachód,
kto tu rację ma.

A może sztab miał wtedy inne sprawy?
Może za późno zameldował zwiad?
Dociskam gaz — zbliżam się do Warszawy.
Nadrobić chcę spóźnienie z tamtych lat.
Koniec lasu, zmiana widoków,
coraz więcej domów i bloków,
cień za cieniem z boku,
przeskakuje miękko w samochód.
Autostrada i miasto w tle: —
Pany, zdrowstwujić! Pani, zdrowstwujić!
I ci co życzą nam źle —
wszyscy zdrowstwujić, wszyscy zdrowstwujić?

Chyląc głowę w pokłonie, jadę
przez Warszawę, polską Warszawę.
Czuje, wierzę i śnię na jawie,
że w Warszawie jestem, w Warszawie. ..
Oto ona — odbudowana,
i ta sama, i nie ta sama,
przez szaleńców z ziemią zrównana,
niezrównana, nieporównana!

Inne kraje i obyczaje —
strzałki, ronda, światła, tramwaje —
przed staruszką pokornie staję,
chcę zapytać jak jechać dalej.
Dukam polskie zdanie — pytanie,
a staruszka: „Prosto, kochani!”.
Potem drecząc przez skrzyżowanie
powtórzyła: „Prosto, kochani!”.

1973 (*tłum. B. Jagiełło*)

Wątpliwe, by na brzegu rzeki we wrześniu 1944 roku szlochali jacykolwiek czerwonoarmiejcy. Wątpliwe, by zaroślach nad brzegiem rzeki ktokolwiek postawił zamaskowany czołg. Brzegiem nikt nie łąził, był pod niemieckim ostrzałem. Ale słowa Wysockiego zdają się sugerować, że zwyczajni Rosjanie mogli jednak mieć nieco inne zdanie o Powstaniu niż to, jakie głosiło Radio Moskwa w komunikacie z 17 września 1944 roku. Tęgo

dnia temperatura w Warszawie w nocy spada przy gruncie do zera, woda w Wiśle jest lodowata.



KRWAWY ZEN. SCHWERPUNKT

Kiedy kończyłem czytać monografię Tadeusza Grigo, dom już spał, było cicho, nie chciałem patrzeć na zegarek, bo wiedziałem, że jaka by pora nie była, było już mocno za późno i powinienem dostać naganę. Towarzyszył mi poszum w głowie, tak jakby oni wszyscy tam byli. Jakiś niepokój, że kiedy siądę do pisania, gdzieś między poranną paletą z zamówionym towarem a klientami hurtowymi i detalicznymi, i potem wreszcie wieczorem, kiedy dzieci śpią, a żona czeka z paluszkami na dole, żeby chwilę spędzić razem — o czymś zapomnę. Nie że o kimś, bo tych głosów jest zbyt wiele i one wiedzą o tym. Uwagę zwraca pojedynczy los, mimo że okazuje się on zabójczo powtarzalny. Ale wyluskanie tej pojedynczości zarazem ma moc ocalenia wielogłosu, jakby go wzmacnia, nie wycisza. Pojedyncze imiona, pseudonimy, a za nimi następne. Imiona krótkie niby salwa — jak napisze Poeta. Piszę. Cmentarze rosną, maleje liczba czytelników. To zrozumiałe. Coraz więcej codziennych spraw się nakłada na to czuwanie. Niektóre wyglądają, jakby naprawdę były ważne. Poza tym Ty już wiesz, że to zmierza ku końcowi. To dosyć nieludzki punkt widzenia. Może na jakiś sposób uzurpujący sobie boskie prerogatywy do przekraczania linearności czasu. Patrzysz na ich zdjęcie — uśmiechnięci, mimo czerni i bieli, zmęczenia, lęku, który zawsze pewnie gdzieś chwyta podstępnie za żołądek, ale młodość, siła, ciepło emanuje. Są ciepłi, żywi. A Ty wiesz coś, czego oni jeszcze nie wiedzą. Wiesz gdzie i kiedy — kula snajpera, granat, odłamek, miotacz płomieni, podmuch eksplozji pocisku ciężkiego moździerza, kostka białego fosforu.

Otwierając kolejny plik, działasz jak umysł Zen: pozwalasz myślom, obrazom, słowom przepływać, patrzysz na ręce, która same wiedzą co pisać i nie znasz wcale zakończenia, penty, wiesz co utrzymywać w umyśle. Kiedyś dawno Mistrz mówił jakoś tak:

„ — Nie skupiajcie się na szczegółach wizualizacji, bo zmusicie umysł do ciężkiej pracy i osiągnięcie tylko zmęczenie; zaufajcie obrazowi, słuchajcie jak podają wam opis, ale nie podążajcie za nim; to, co ma się pojawić w umyśle, pojawia się spontanicznie”.

Kiedy zasypiasz, budzisz się, pozwalasz krążyć obrazom, szukasz zdjęć miejsc, budynków, portretów ludzi, a potem piszesz tak jak teraz, nie podejrzewając nawet, że to, co ma się wypowiedzieć, przyjmie taką lub inną formę, nie zastanawiając się nad tym, czy to ma sens. Bo odpowiedź brzmiałaby, że nie, że to już zostało opowiedziane. Ale być może chodzi o to, żeby jednak zapamiętało powtarzać, dla pamięci, za pamięć, teraz, dla tych ludzi, którzy czytają te słowa, a nie przeczytają wielu innych słów, które Ty, chłopcze, wyłuskasz, które podpowie ci Twój krwawy zen. Cmentarze rosną, maleje liczba czytelników, ale Ty idź dalej w tę noc. Chłodno już. Idź. Już pora.

Te kilka dni, które nastąpiły po śmierci Andrzeja „Morro” Romockiego, będącej zaledwie epizodem, incydentem, pojedynczym postrzałem wśród wielu innych — były dla Powstania decydujące. W nocy z 15 na 16 września z Saskiej Kępy na Solec i Czerniaków przedostało się 420 żołnierzy i sprzęt, jeszcze bez większych strat, weszli od razu do walki, bez odpoczynku. W nocy z 16 na 17 września już przy sporym przeciwdziałaniu Niemców i nawałach ogniowych kierowanych na rzekę przedostało się kolejnych 390 żołnierzy — wszyscy z 9 Pułku piechoty 3 Dywizji im. Romualda Traugutta. Z 17 na 18 września na drugi brzeg wobec zapory ogniowej na Wiśle przedostało się zaledwie 63 żołnierzy. Berlingowcy to ludzie bez doświadczenia walk w mieście, często gubiący się w miejskiej zabudowie, niepotrafiący korzystać z jej zasłon, maskować się. Powstańcy zdobyli tę wiedzę i umiejętności, płacąc wysoką cenę w czasie kilkudziesięciu dni walk. Na przykład — strzelając z nieumocnionych budynków żołnierze z armii Berlinga wychylają się z okien, zamiast strzelać z ocienionych wnętrza, załomów w głębi budynku. Trudno się dziwić, że wchodząc do walki prosto z marszu ponoszą bardzo duże straty.

Łodzie i pontony w drugą stronę miały zabierać rannych, jednak Niemcy są wstrzelani w pas wybrzeża Wisły oczyszczonego nocnym wypadem z 14 na 15 września przez kompanię „Rudy” i przez to wszelki ruch jest tutaj utrudniony. Nocą ewakuacja odbywa się w niejakim porządku, ale kto ranny w nogi i nie ma kogo poprosić o pomoc, jest bez szans na dostanie się do łodzi. Pierwszy dowódca czerniakowskiego zgrupowania, Zygmunt Netzer ps. „Kryśka”, dwa razy jest wynoszony na brzeg Wisły przez kolegów ze zgrupowania, ale nie udaje się go przenieść na żadną łódź.

Armia Wojska Polskiego przed forsowaniem Wisły miała na stanie m.in. 49 pontonów NLP; na zakończenie działań bojowych stany wykazywały 10 sztuk na stanie i straty 37 zatopionych, 41 uszkodzonych ciężko — razem 88, czyli 179% strat, czyli mówiąc po ludzku każdy ponton NLP był co najmniej dwukrotnie uszkodzony, załatany i użyty ponownie, a pomimo tego i tak 37 już nie wyłowiono z rzeki — co oznacza, że niektórych użyto po ciężkich uszkodzeniach trzy razy. Rezerwy sprzętu były w gestii dowództwa frontu, ale nie zostały użyte.

W tych decydujących dniach ani Komenda Główna AK, ani dowództwo Okręgu AK nie mają żadnej łączności z Czerniakowem. Nie udało się odtworzyć lądowego korytarza natarciem z południowego Śródmieścia, nie ma łączności przez kanały — ta jest jedynie z Mokotowem, nie ma łączności radiowej. Nie ma amunicji, żywności. W tej sytuacji trudno uznać, że ktokolwiek koordynuje walkę na przyczółku i wokół niego.

18 września 1944 roku Nikolaus von Vormann, dowódca 9 Armii niemieckiej, raportuje do dowódcy Grupy Armii „Środek”, że:

„Siła bojowa użytych w Warszawie oddziałów po stracie 9000 zabitych i rannych od 1 sierpnia jest obecnie na wyczerpaniu. Jednostki zdolne do walk ulicznych są wykrwawione”.

Nie wiadomo, czy do tego bilansu wlicza się straty jednostek czasowo podporządkowanych grupie korpusnej von dem Bacha oraz straty sprzed 5 sierpnia, kiedy grupa nie istniała. W okresie raportowanym niektóre pododdziały w czasie walk w Warszawie po doliczeniu uzupełnień ponosiły straty krwawe na poziomie 145–150%. Gdyby nie fakt, że po wycofaniu z prawego brzegu Wisły von dem Bachowi podporządkowano czasowo elementy 19 i 25 Dywizji Pancerniej oraz Dywizji „Hermann Goering” — tłumienie Powstania mogłoby trwać jeszcze dłużej. W dziennikach i raportach von dem Bach skarży się, że żołnierze nie chcą schodzić do kanałów, że czołgi nie działają dosyć agresywnie, że boją się podjeżdżać blisko barykad i umocnionych domów, ostrzeliwując z daleka cele, wystawiając piechotę na ostrzał Powstańców.

Tego samego dnia 18 września 1944 roku około godziny 14:45 basowy pomruk setek lotniczych silników. Nad Warszawę nadlatuje wyprawa 104 „Latających Fortec”¹³⁵ z amerykańskiej 8 Armii lotniczej. To wyprawa z zaopatrzenia, która wstępnie anonsował 10 września w depezy premier RP Stanisław Mikołajczyk. Ok setek otwierających się na niebie spadochronów wielu mieszkańców zaczyna wpatować, tańczy na ulicach, nie liczni martwią się, że teraz Niemcy zmasakrują spadochroniarzy Sosabowkiego. Dopiero po dłuższej chwili do ludzi dociera, że to nie jest zrzut amunicji, ale masowy zrzut zaopatrzenia. Spadochroniarze w tym czasie na lotniskach południowej Anglii w oczekiwaniu na wyprawę do Niemiec. Ze 107 B-17 „Flying Fortress”, które rano wystartowały z baz w Wielkiej Brytanii, nad Warszawę dociera 104, co zadaje nieco kłam teorii, że straty w takiej wyprawie musiałyby być wysokie. Amerykanie zrzucają 1284 zasobniki z wysokości około 4000 metrów, z czego do rąk Powstańców trafia około 20% zrzutu, KG AK kwituje 16 ton zaopatrzenia. Resztę przejmują Niemcy.

„Bór”-Komorowski w depezy do Londynu dziękując za pomoc, kładzie nacisk na to, że akcja musi być kontynuowana. Nikt nie wie, że to były dwie wyprawy w jednej — pierwsza i ostatnia. 22 września 1944 ostatni raz nad Warszawę przylecą samoloty z baz we Włoszech, wystartuje ich dwanaście, zrzutu dokona pięć.

Tymczasem żaden zasobnik z amerykańskiej wyprawy nie trafia na będący punktem ciężkości walk Czerniaków. Czerniaków walczy sam.

19 września z zaskoczenia Armii Wojska Polskiego udaje się wysadzić desant między mostami Poniatowskiego i Średnicowym, ląduje 1062 żołnierzy z 8 pułku piechoty i sowieckiej 20 kompanii miotaczy ognia, z zadaniem wykonania natarcia na skrzydło Niemców atakujących od północy Czerniaków. Cały desant składający się z 1 i 2 batalionu 8 Pułku piechoty na drugim brzegu ma tylko jedną radiostację, pozostałe toną w postrzelanych pontonach. Berlingowcy zajmują trochę terenu, trochę domów wokół ślimaka zjazdowego z Mostu Poniatowskiego. Z Czerniakowa rusza też powstańcy wypad, mający nawiązać łączność z desantem rzuconym między mostami. Powstańcy zajmują Przysiań Wioślarską, widzą się z ludźmi po drugiej stronie wiaduktu Poniatowskiego. Jednak nie mają szans na połączenie. Rozdziela ich lawina ognia. Brak jest jakiegokolwiek współdziałania ze Śródmieście. Być może nawet nie wiedzą tam o desancie. Z desantu, który wylądował między mostami, wróci na praski brzeg tylko 163 żołnierzy. Reszta — czyli około 800 — zginie lub dostanie się do niewoli. Niemcy raportują 283 zabitych i 300 jeńców. Ale nie raportują ludzi, którzy giną na rzece.

19 września w nocy zapada w sztabie AWP decyzja o wstrzymaniu akcji desantowej, od tej pory ma być prowadzona jedynie ewakuacja.

Mści się na Powstaniu brak ogólnej koncepcji, który gorzko wyrzuca dowódcom w swoim opracowaniu Jerzy Kirchmayer. Skoro Powstanie miało liczyć na pomoc zza Wisły, argumentuje, to trzeba było od początku siły swoje skupiać przy rzece tak, żeby mieć do niej dostęp, a nie skupiać się w centrach dzielnic odległych od brzegu. Tymczasem próbowano zdobyć mnóstwo kluczowych punktów w mieście, większości nie zdobywając. Bo jak poucza stara napoleońska maksyma — kto chce obronić wszystko, wszystko straci. Trzeba mieć przewagę, owszem, ale przez chwilę w decydującym momencie i na ograniczonym obszarze — czyli decydującym miejscu, w Schwerpunkt, jak mawiali niemieccy sztabowcy sprzed stu lat. Schwerpunkt był na ginącym Czerniakowie, z którym dowództwo Powstania nie miało łączności.

19 września „Radosław”, ranny jeszcze w sierpniu w obie nogi, leżący na noszach w piwnicach budynku Wilanowska 18/20, pisze meldunek. Informuje dowodzącego obroną Mokotowa Józefa Rokickiego ps. „Karol”¹³⁶, że zamierza do niego udać się kanałami

¹³⁵ „Latająca Forteca” — Boeing B-17 „Flying Fortress” — amerykański czterosilnikowy samolot bombowy, szeroko wykorzystywany przez amerykańskie lotnictwo do bombardowań strategicznych w latach 1941–1945. [przypis edytorski]

¹³⁶ Józef Rokicki ps. „Karol” (1894–1976) — oficer służby stałej WP, w 1939 r. w sztabie Dowództwa Okręgu Korpusu Nr 2 w Lublinie, w konspiracji początkowo w NOW, od 1942 r. w AK, w powstaniu w stopniu podpułkownika, od 20 sierpnia dowódca oddziałów polskich na Mokotowie. 26 września podjął na własną rękę decyzję o ewakuacji Mokotowa, co wywołało kontrowersje wśród innych wyższych oficerów AK. Po wojnie w latach 1945–1957 na emigracji, następnie powrócił do Polski, zmarł w Warszawie. [przypis edytorski]

z resztkami swojego zgrupowania. Patrol kanałowy przynosi ten meldunek na Mokotów, w odpowiedzi „Karol” pisze:

„Melduję o Waszym położeniu i chęci Waszej wycofania się albo na północ albo na mnie — do K-dy Okręgu. Jednocześnie według mojej oceny nie możecie opuścić absolutnie przyczółka, który obecnie zajmujecie, tym bardziej, że posiadanie tego skrawka daje Wam możliwość uzyskania stopniowego wzmocnienia ze strony praskiej [...] gdyby Śródmieście było w możności, już dawno przysłoby Panu z pomocą. Co do mnie droga specjalna absolutnie nie nadaje się do przemieszczenia wojska, które swoją siłą mogłoby zaważyć na Pańskiej sytuacji. Przesyłam obecnie 800 sztuk amunicji do pm [pistoletów maszynowych] — amunicji do kb [karabinowej] niestety nie posiadam”.

800 sztuk amunicji to jest około 40 magazynków. W nocy „Radosław” podejmuje decyzję o odwróceniu kanałami. Do wjazdu na ul. Zagórnej wchodzi około 200–260 (źródła, relacje, opracowania nie są zgodne co do takich szczegółów) żołnierzy. Ze względu na to, że walka mimo niewielkiego obszaru rozpada się już na poszczególne punkty oporu — rozkaz odwrotu nie dociera do wszystkich. Niektórzy liczą na ewakuację na Pragę, niektórzy nie chcą zostawiać rannych. Ludzie w coraz większej ilości zbierają się na skrawku brzegu Wisły, głównie nocą, rankiem chowają się w ruinach, krzakach, lejach. Berling zapowiada wielką ewakuację, 100 pontonów, nie wiadomo skąd, skoro Armia posiada ich 49, a jak wynika z powojennych dokumentów, większość była łamana. Niemcy są wstrzelani w wąski odcinek rzeki i mimo zadymiania — panują nad nią niepodzielnie ogniem. Szczególnie morderczy jest ogień broni maszynowej z wieżyczek wiaduktu Mostu Poniatowskiego, których do końca nie trafi ani jeden pocisk artyleryjski czy bomba.

Tej nocy z 19 na 20 września na brzegu rzeki leży ponownie kapitan Zygmunt Netzer ps. „Kryśka”¹³⁷, pierwszy dowódca Czerniakowa. Ktoś wnosi „Kryśkę” na ponton. Uzbrojeni żołnierze pilnują porządku ewakuacji. Razem z „Kryśką” w pontonie znajduje się 40 osób. Odbijają. Kilka metrów od brzegu Niemcy oświetlają rękietami rzekę, otwierają ogień, są świetnie wstrzelani, kilka łodzi od razu tonie. Ponton wiozący „Kryśkę” też dostaje się pod ogień, ginie 27 z 40 osób. Ponton dryfuje na resztki wysadzonego Mostu Poniatowskiego, łeż ranni wynoszą ciężej rannych na resztki przęsła wystające z wody i czekają na pomoc cały dzień 20 września. Leżący na noszach, owinięty kocami „Kryśka” zostaje ponownie ranny, odłamki pocisku artyleryjskiego gruchoczą mu nogę. W nocy jeden z łeż rannych płynie na Pragę po pomoc. Potem kolejny. Wreszcie, po dwóch dniach i trzech nocach na przęsle, z praskiego brzegu przypląwa łódź i zabiera wszystkich rannych. Jedną z łączniczek, Halina Kłosińska ps. „Halina”¹³⁸, umiera w szpitalu. „Kryśka” przeżyje wojnę, chociaż w Warszawie zostanie uznany za zaginionego w akcji. z października 1944 roku zostanie awansowany — jak wszyscy uważają, pośmiertnie — na majora.

Po wojnie będzie zgłaszało się do niego wielu ludzi, podających się za tych, którzy wynieśli go nieprzytomnego ze szpitala na brzeg Wisły i potem na ponton. Będzie zapisywał ich nazwiska. Nie będzie wśród nich ani jednej osoby, którą zapamiętał „Kryśka”, bo tak się składa, że w czasie przenoszenia na ponton odzyskał przytomność i widział, że niósł go m.in. Tadeusz Kornaszewski ps. „Tadek Wilk” z plutonu „Łokietka” i jego ludzie. Na miesiąc przed śmiercią „Kryśki” lista będzie zawierała 48 nazwisk.

¹³⁷kapitan Zygmunt Netzer ps. „Kryśka” (1898–1977) — w latach 1918–1928 oficer służby stałej artylerii WP, od 1930 do 1939 urzędnik państwowy, w konspiracji działał w Wojskowej Służbie Ochrony Powstania, w powstaniu pełnił różne funkcje, w tym zastępcy dowódcy obrony Czerniakowa, ciężko ranny, w 1945 powrócił do stolicy jako inwalida, działał w ZBoWiD. [przypis edytorski]

¹³⁸Halina Kłosińska ps. „Halina”, „Prypec” (1919–1944) — łączniczka II Batalionu Wojskowej Służby Ochrony Powstania (WSOP) „Narew”, w powstaniu w Zgrupowaniu „Krybar”, ranna 18/19 września, zmarła 25 września w Otwocku. [przypis edytorski]

NIEPRZYJACIEL NIE WYTRZY- MUJE NASZYCH ZWROTÓW ZA- CZEPNYCH

Pięćdziesiąty pierwszy dzień czuwania. Po odejściu kanałami resztek zgrupowania „Radosław” nocą z 19 na 20 września, dzień zastaje Powstańców, którzy nie odeszli, na skrawku Czerniakowa wyznaczonym ulicami Wilanowska, Solec, Zagórna, Idzkowskiego. W ręku Powstańców pozostaje też skrawek wybrzeża nad Wisłą szerokości około 250 metrów z zatopionym statkiem wycieczkowym „Bajka”, na który znosi się rannych do ewakuacji. Za dnia ten rejon jest przestrzeliwany ze wszystkich stron i w praktyce nie ma szans tam się utrzymać. Ma to znaczenie, bo zaczyna brakować nie tylko żywności, ale i wody, a tę trzeba czerpać z rzeki, ale jest to możliwe tylko nocą. Walka toczy się nawet nie o poszczególne domy, ale o piętra i pokoje.

Na Czerniakowie zostaje około 90 żołnierzy „Parasola” i „Zośki” pod dowództwem Ryszarda Białousa ps. „Jerzy”¹³⁹, resztki 1 i 2 batalionu 9 Pułku piechoty pod dowództwem majora Łatyszonka¹⁴⁰, resztki zgrupowania „Kryśka” — razem kilkaset osób, w większości kontuzjowani, ranni, ogłuszeni. Dowodzi ten, kto krzyknie i zbierze wokół siebie ludzi. Walka trwa, bo ciągle jest nadzieja już nie na kolejny desant, ale na ewakuację na drugi brzeg Wisły, na opiekę szpitalną dla rannych, na jedzenie. Tak zostaje ocalony, poprzez ewakuację na Pragę, Jan Rodowicz ps. „Anoda”¹⁴¹, żołnierz kompanii „Rudy” z batalionu „Zośka” — 9 sierpnia ranny w lewe płuco na Woli, odznaczony Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari, ranny znowu w lewe ramię i bark, z potrząskaniem kości, 15 września i ranny po raz trzeci 16 września w tę samą lewą rękę. Ewakuowany — przeżyje wojnę. Zostanie aresztowany 24 grudnia 1948 roku przez UB, 7 stycznia 1949 roku zginie — według oficjalnej wersji wyskakując z IV piętra budynku Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

Zginie za to tego dnia „Czarny Jaś”, Jan Wuttke¹⁴², zastępca kompanii w batalionie „Zośka”, od 5 września 1944 roku mąż Ireny Kowalskiej, ps. „Irka”¹⁴³. Żona przeżyje męża o kilka dni, nie wiadomo dokładnie ile, widziana ostatnio na Wilanowskiej 1 w dniu poddawania budynku 23 września rano. Miejsce mordu i pochówku — nieznane. Miejsce pochówku Jana Wuttke — także nieznane.

Rankiem 20 września do budynku szpitala powstańczego przy Wilanowskiej 18/20, gdzie jeszcze kilka godzin temu leżał na noszach „Radosław”, wchodzi Niemcy. Szpitalem zajmuje się Irena Konopacka-Semandeni ps. „dr Konstancja”¹⁴⁴. Przed powstaniem należała do grupy tzw. ciotek, które przyjmowały cichociemnych i pomagały im się asymilować w warunkach okupowanej Warszawy. Przez jej mieszkanie przewinęło się łącznie trzynastu z nich. W sierpniu w walkach o Politechnikę straciła męża i syna, żołnierzy batalionu AK „Golski”¹⁴⁵. Młodsze go syna zabrała do siebie do szpitala na Czerniaków,

¹³⁹Ryszard Białous ps. „Jerzy” (1914–1992) — harcerz, uczestnik obrony Warszawy w 1939 r., w konspiracji od listopada tegoż roku, uczestnik akcji pod Arsenalem, w powstaniu w stopniu porucznika/kapitana dowódca batalionu „Zośka”, później również dowódca brygady dywersji „Broda 53”, po wojnie na emigracji w Argentynie. [przypis edytorski]

¹⁴⁰major Stanisław Łatyszonek — szef sztabu 9 pułku piechoty 3 Dywizji Piechoty im. Romualda Traugutta w stopniu majora, faktyczny dowódca oddziałów polskich desantowanych na Czerniakowie, dostał się do niewoli niemieckiej, po wojnie pozostał na emigracji. [przypis edytorski]

¹⁴¹Jan Rodowicz ps. „Anoda” (1923–1949) — harcerz, żołnierz ZWZ/AK, uczestnik akcji pod Arsenalem, w powstaniu warszawskim w Zgrupowaniu „Radosław”, kilkakrotnie ranny, po wojnie żołnierz Delegatury Sił Zbrojnych, po aresztowaniu zamordowany w niejasnych okolicznościach przez UB w styczniu 1949 r. [przypis edytorski]

¹⁴²Jan Wuttke ps. „Czarny Jaś” (1921–1944) — harcerz, żołnierz AK, w powstaniu w stopniu podporucznika zastępca dowódcy kompanii w Zgrupowaniu „Radosław”, poległ 19 września. [przypis edytorski]

¹⁴³Irena Kowalska ps. „Irka” (1920–1944) — harcerka, uczestniczka kampanii 1939 r., w konspiracji służyła w Grupach Szturmowych, w powstaniu łączniczka w batalionie Zośka, zamordowana 24 września przez Niemców. [przypis edytorski]

¹⁴⁴Irena Konopacka-Semandeni ps. „dr Konstancja” (1901–1984) — lekarka-stomatolożka, żołnierz ZWZ/AK, m.in. organizowała aklimatyzację dla cichociemnych w Warszawie, w powstaniu (w którym poległ jej mąż i syn) w Sanitariacie Okręgu Warszawskiego AK, po wojnie mieszkała w Gdańsku, Szczecinie i Warszawie. [przypis edytorski]

¹⁴⁵Batalion AK „Golski” — właściwie 3 Batalion Pancerny AK „Golski”, powstał na przełomie 1939–1940 roku, grupował żołnierzy ZWZ/AK, którzy przeszli przed wojną szkolenie w broni pancernej, dowódcą był kpt.

wydawało się, że to spokojniejsze miejsce. Przed zajęciem szpitala przez Niemców usunięto z niego wszelkie rzeczy świadczące o tym, że mógłby być to szpital wojskowy. Mimo uznania praw kombatanckich przez państwa alianckie Niemcy za znalezioną jedną opaskę powstańczą potrafili wymordować wszystkich rannych w szpitalu. Wszyscy o tym wiedzą. Podobnie ryzykowne są czapki, elementy niemieckich „panterek”, zdjęcia zrobione w czasie Powstania. Na pytanie, czy wśród rannych są Powstańcy, dr. Konopacka odpowiedziała, że nie i wówczas jeden z rannych, prawdopodobnie volksdeutsch, odezwał się po niemiecku, że owszem, że wszyscy ranni to Powstańcy. Został rozstrzelany przez niemieckiego oficera w pierwszej kolejności. Następnie niemiecki oficer, od posłania do posłania, szedł i strzelał do wszystkich pozostałych, kładąc dr. Konopackiej potwierdzać zgon. I tak 110 razy. Po wyjściu Niemców okazało się, że siedemnastu rannych mimo postrzałów, ciężkich ran głowy — jednak żyje. Kolejny oficer zgodził się na ewakuację rannych. Dziesięciu z nich zabrano w nieznanym kierunku, z siedmioma z nich do końca powstania dr. Konopacka wegetowała w podziemiach zrujnowanego budynku Okrąg 2, dawnej reducie „Parasola”, następnie na gestapo wywalczyła prawo do ich ewakuacji. Niemcy mówili na nią „Die Hexe” — Wiedźma, ale tych siedmiu ze 110 przeżyło. Przeżyje też jej młodszy syn — Zbigniew. Po wojnie zostanie wybitnym matematykiem.

Po południu 20 września Niemcy otaczają budynek przy ulicy Zagórnej 6, podpalają go i odcinają drogi wyjścia, szykują się do szturmów. W ostatniej chwili radiotelegrafista 3 pułku artylerii lekkiej chorąży Borys Kunysz nadaje ostatni meldunek, pali książki kodowe i podaje koordynaty dla ostatniej nawały ogniowej. Współrzędne, które podaje, to budynek Zagórna 6, kieruje ogień kolegów z pułku na siebie i swoich dwóch podkomendnych — kaprała Rentza i kanoniera Sekureckiego. Wszyscy giną wraz z Niemcami atakującymi budynek.

Szukałem Jego zdjęcia, biogramu w sieci. Nie wiem, jakie były jego drogi do Armii Berlinga. Nie ma jego zdjęć, nie ma biogramu. Pojawia się w wielu relacjach innych ludzi. Żołnierz wyklęty.

Tego dnia przy wyprowadzaniu cywilów i jeńców z magazynów Społem na Czerniakowie wyprowadzono łączniczkę Marię Cetys, ps. „Szympan”¹⁴⁶, ciężko ranną 10 września, w wyniku czego amputowano jej rękę. Była ubrana jak inni cywile.

—*Bist du Banditin?* — zapytał jakiś Niemiec.

— Jestem żołnierzem Armii Krajowej — odpowiedziała dumnie i została natychmiast zastrzelona.

Ta wymiana dwóch zdań jako motto trafi na przedtytułową stronę pierwszego wydania książki Adama Borkiewicza *Powstanie warszawskie. Zarys działań natury wojskowej* — pierwszego tego typu opracowania, jeszcze w wielu miejscach niedokładnego, nieprecyzyjnego, ale pod wieloma względami — pionierskiego. „A mogła przecież zaprzeczyc i prawdopodobnie ocaliłaby życie” — napisze Tadeusz Grigo.

Chorąży Kunysz mógł się poddać i zdać na łaskę wroga, Maria Cetys mogła nic nie mówić, „Morro” mógł nie biec nad rzekę, kolejni, ginący dowódcy „Kryski” (przypomnijmy: trzech rannych, trzech zabitych w ciągu tygodnia) — mogli nie dawać głosu. A jednak — jakby napisał Żeromski, jak powtórzył za nim Wańkiewicz w *Monte Cassino* — postępowali inaczej, „bo taki nasz obyczaj”.

Wydaje się, że stężenie odwagi przekraczało w tych dniach wszelkie normy. Było poza zasięgiem wyobraźni.

Tymczasem nazajutrz 21 września 1944 roku w meldunku dowódcy Okręgu-AK „Montera” można przeczytać zdanie:

„Naszych zwrotów zaczepnych npl [nieprzyjacieli] nie wytrzymuje. Toteż jest to nasza najwłaściwsza forma walki”.

Stefan Gołdźzinowski ps. „Golski”, od którego batalion przejął swój kryptonim. W powstaniu batalion walczył w Śródmieściu Południowym, walcząc m.in. o Politechnikę, następnie bronił rejonu Placu Zbawiciela. [przypis edytorski]

¹⁴⁶Maria Cetys ps. „Szympan” (1914–1944) — przed wojną urzędniczka, instruktorka Przynależności Wojskowego Kobiet, w czasie okupacji łączniczka w Obwodzie Śródmieście Okręgu Warszawa AK, łączniczka Zgrupowania „Kryski”, zamordowana przez Niemców 10 września. [przypis edytorski]

Nie wiadomo jakim cudem — skoro tak uważa dowódca Okręgu AK — nie udało się żadne zaczepne działanie na większą skalę? Dlaczego skończyły się masakrą zwroty zaczepne na Stawki 11 sierpnia, na Dworzec Gdański 20 i 21 sierpnia, próba przebiecia korytarza ze Starego Miasta do Śródmieścia? Nie wiadomo, co w ogóle ma na myśli dowódca okręgu, niemający od wielu dni łączności z Czerniakowem, niewidzący wiele poza linią barykady w Śródmieściu, który nigdy nie zszedł do kanału, nie zwizytował pozostałych dzielnic. A przede wszystkim — dlaczego w decydującym momencie Powstania, kiedy żołnierze „Kryski”, „Radosława” i Armii Wojska Polskiego krwawili się na przyczołkach — nie przyszedł wielki zwrot zaczepny pod wodzą „Montera” ze Śródmieścia?

KAŻDA MINUTA CHCE BYĆ OSTATNIA

Wracaliśmy z Elbląga w deszczu, który zaczął się około godziny szóstej i nie odpuścił nam już do końca, temperatura spadła, wkradło się zmęczenie, każda minuta chciała być ostatnią. W tle majaczyła rozmowa z Marcinem, urywkowa, że nie wziął tych książek dla mnie, ale że dojdą, na pewno. Czekam, chociaż wiem, że całość i tak się wymknie. Jedna historia zasłoni drugą i pozostanie nieznośne poczucie, że się nie daje rady — nie tylko, że nie umie opisać, napisać, ale że się nie widzi tyle, ile powinno się widzieć. A jednak — kiedy wyprzedzasz w taką pogodę ciężarówkę, jest ten moment, kiedy nic nie widzisz, jedziesz na wyczucie. Wyprzedzasz je jedna po drugiej — a inaczej się nie da, i co chwila nic nie widzisz, ale jednak na wyczucie ufasz, że tam gdzieś jest droga i udaje się jakoś, skokami do przodu.

21 września pod wieczór w ręku Powstańców na Czerniakowie pozostaje w zasadzie 250 metrów wybrzeża Wisły z uszkodzonym, osiadłym na dnie statkiem spacerowym „Bajka”¹⁴⁷ i pozycje zogniskowane wokół dwóch domów — ul. Wilanowska 1 oraz Solec 53. Walka toczy się teraz o to, żeby albo ewakuować się na drugi brzeg Wisły, albo zginąć z bronią w ręku. W obu budynkach i na okalającym je terenie o powierzchni około trzech tysięcy metrów kwadratowych broni się jeszcze około kilkuset żołnierzy z armii Berlinga i powstańców, w piwnicach stoi ostatnia, pozbawiona baterii radiostacja 9 Pułku piechoty i leżą ranni. Tego dnia Niemcy zajmują budynek Wilanowska 5 i mordują 122 jeńców, przy czym części z nich nie rozstrzelują, ale wieszają.

W nocy z 21 na 22 września na wiślańskim brzegu ląduje kilka łodzi z prawej strony Wisły. Na wąskim skrawku nikt w zasadzie nie panuje już nad ewakuacją. Trwa walka o miejsce w łodziach, kto silniejszy, kto bardziej sprytny. Ranni czolgają się w stronę wody, żeby nie dostać się w ręce Niemców. Niektórzy próbują przepłynąć rzekę w pław. Większość tonie. Do prawego brzegu udaje się dopłynąć w pław w zimnej wodzie kilkunastu osobom. Z kolei pontony są uszkodzane zarówno w drodze na lewy brzeg, jak i w drodze z powrotem; bywa, że na 10 łodzi w jednym rzucie tonie 9. Z lewej strony cały czas najlepszy punkt ostrzału mają karabiny maszynowe na wieżyczkach wiaduktu mostu Poniatowskiego. Nikt ich nie ucisza. Nie wiadomo dlaczego, przecież to relatywnie łatwy cel dla armaty strzelającej na wprost. Ci, którzy przeżyli, porównują te sceny z piekłem ostatnich godzin Starówki. W niektórych relacjach pojawia się zdanie, że Czerniaków był jeszcze gorszym piekłem. Na wszystko nakłada się zmęczenie, głód i pragnienie. Udaje się przerzucić pontonami tej nocy na praski brzeg 94 osoby, w tym podobno 15 kobiet z dziećmi.

W domu przy Wilanowskiej i tej strasznej nocy udało się przy pomocy baterii wyjętych z latarek uruchomić ostatnią radiostację i nawiązać łączność z wojskami polskimi na Pradze. Ewakuacja ma się zacząć o ósmej rano. Jednak łodzie nie pojawiają się, natomiast o ósmej rano Niemcy przysyłają parlamentariusza. Dowodzący obroną Ryszard Białous ps. „Jerzy” zgadza się na godzinny rozejm i pozwala wyjść cywilom i rannym, jeżeli są gotowi podjąć to ryzyko. Wtedy, udając cywilów, wychodzi z piwnic „Jasia” Janina Zbo-

¹⁴⁷statek spacerowy „Bajka” — Osiał na dnie 12 sierpnia 1944 r. w wyniku uszkodzeń od ostrzału niemieckiego. Powstańcy urządzili na jego wystającym ponad wodę pokładzie punkt opatrunkowy. [przypis edytorski]

rowska z ludźmi, którzy pomagają jej nieść ciężko rannego męża, Jerzego Zborowskiego „Jeremiego”, dowódcę „Parasola”. Sama jest osłabiona, ranna w twarz, ma zgruchotane kości szczęki, mówi z trudem. Obok na noszach niesiony jest ranny w kręgosłup Wacław Dunin-Karwicki ps. „Luty”¹⁴⁸ a obok niego idzie żona Halina z d. Strachalska Dunin-Karwicka ps. „Lutowa”¹⁴⁹. „Luty” umrze z ran dopiero w listopadzie 1944 roku, „Lutowa” przeżyje wojnę. „Jeremiego” i „Jasię” Niemcy wywiozą do siedziby gestapo w Al. Szucha i tam będą widziani po raz ostatni żywi. Miejsce śmierci i pochówku — do dzisiaj nieznane. Rozejm przerywa próba podpalenia garaży łączących Wilanowską 1 z Solcem 53. Na tę próbę Powstańcy odpowiadają ogniem.

Równocześnie zza Wisły przychodzi informacja, po raz kolejny nie wiadomo skąd wzięta, o przysłaniu 100 łodzi i pontonów, ale godzina ewakuacji zostaje przesunięta z przedpołudnia na wieczór. Czołgi strzelają do dwóch budynków z bliskiego dystansu, tynk sypie się do jedzenia, które sanitariuszki gotują rannym w piwnicach. Pod wieczór Powstańcy ciągle trwają. O zmierzchu na statek „Bajka” zostaje wysłany patrol pod dowództwem Jerzego Gawina ps. „Słoń”, który czeka z latarką na obiecaną ewakuację. Ewakuacja zostaje przesunięta na 21:00. Wreszcie przy pływa kilka łodzi. Powtarzają się makabryczne sceny z poprzedniej nocy. Nikt nie jest w stanie zapanować nad ludźmi, nikt nie pomaga ciężiej rannym. Ci giną na brzegu albo w rzece, próbując wydostać się z piekła na własną rękę albo po prostu skończyć męczarnie. O 2:30 w nocy z 22 na 23 września do dowódcy resztek żołnierzy „Parasola” Ryszarda Białousa i szefa sztabu 9 pułku piechoty dochodzi wiadomość ze sztabu AWP, że zamiast 100 łodzi tej nocy, przez kilka kolejnych nocy ma być przysyłanych po 15 łodzi, a ewakuacja ma być rozłożona na etapy. To chyba już czysty bluff. 22 września 1944 roku Konstanty Rokossowski wydaje przeciw wszystkim jednostkom 1 Frontu Białoruskiego rozkaz o przejściu do obrony, o czym nikt na Czerniakowie oczywiście nie wie. Straty w parku saperskim 1 Armii Wojska Polskiego wynoszą, przypomnę, 179%. Każdy postrzelany ponton jest łatany i wysyłany ponownie na rzekę minimum dwa razy. Niektóre toną i te zalicza się do strat bezpowrotnych.

„Jerzy” podejmuje decyzję, by na czele niewielkiej już grupy, którą jest w stanie zgromadzić wokół siebie, przebijając się do Śródmieścia z bronią w rękę, razem z nim postanawia iść grupa kilkudziesięciu berlingowców z majorem Łatyszonkiem, szefem sztabu 9 Pułku piechoty. Natarcie ma prowadzić Jerzy Gawin „Słoń” ze swoim plutonem. A w zasadzie z tym, co z niego pozostało. Jednak ta próba przebicia się utknie już na ulicy Solec w bezładnej strzelaninie, jaka wynika przypadkowo ze starcia z niemiecką czujką w jednym z rowów łącznikowych. Łączność poszczególnych grup rozsypuje się, rwie się koordynacja. Część zawróci w stronę Wilanowskiej, część ruszy na brzeg rzeki próbować przepłynąć ją w pław albo posiłkując się czymkolwiek, co może udawać tratwę, pływak. Berlingowcy widząc, że Niemcy jednak nie rozstrzelują umundurowanych żołnierzy, będą skłonni się poddać, jak zrobi grupa około dwudziestu żołnierzy z majorem Łatyszonkiem. Garstce ludzi pod dowództwem „Jerzego” — łącznie pięciu osobom — uda się przebić do Śródmieścia w rajdzie, który ma porównanie w swoim dramatyzmie tylko z historią przebicia kompanii „Rudy”. Reszta dostanie się do niewoli lub zaginie, tak jak Jerzy Gawin ps. „Słoń” z resztkami swoich ludzi. Szli w awangardzie i nikt ich nigdy więcej nie widział. Miejsce pochówku nieznane.

Około szóstej rano Niemcy wchodzą na teren Wilanowskiej 1. Powstańcy nie mają już amunicji, większość nie ma też cywilnych ubrań, aby się w nie przebrać. Próbuje tego podporucznik Stanisław Jordan Warzycki ps. „Szumski”¹⁵⁰, jednak w czasie rewizji w jego kieszeni Niemcy znajdują zdjęcie z powstania i zabijają go na miejscu. Kapelana zgrupo-

¹⁴⁸ Wacław Dunin-Karwicki ps. „Luty” (1918–1944) — harcerz, podchorąży AK, w powstaniu dowódca kompanii w batalionie „Parasol”. [przypis edytorski]

¹⁴⁹ Halina Dunin-Karwicka ps. „Janina”, „Lutowa” — (1917–1999) harcerka, służyła w Kedywie w słynnej kompanii „Agat” — „Pegaz”, uczestniczka akcji na Kutscherę 1 lutego 1944, w powstaniu łączniczka w batalionie „Parasol”, po wojnie pracowała jako lekarka. [przypis edytorski]

¹⁵⁰ podporucznik Stanisław Jordan Warzycki ps. „Jerzy Szumski” (1905–1944) — ziemianin, absolwent Wyższej Szkoły Handlowej, w powstaniu w stopniu podporucznika walczył jako dowódca plutonu i kompanii w batalionie „Miłosz”, następnie w Zgrupowaniu „Kryska”, zamordowany przez Niemców 23 września. [przypis edytorski]

wania „Kryśka”, ks. Józefa Stanka ps. „Rudy”¹⁵¹, Niemcy wieszają na ścianie budynku na stule (inne relacje mówią o szaliku). Tego dnia ostatni raz jest widziana żona „Czarnego Jasia” — Irena Wuttke z d. Kowalska. Nie jest znane miejsce kaźni i pochówku.

Meldunek niemiecki o zajęciu ostatnich budynków na Czerniakowie mówi:

„W kotle na pld. od Nowego Mostu po zaciętej walce został złamany ostatni opór nieprzyjaciela, kocioł oczyszczony, łącznie z zamknięciem luki nad brzegiem Wisły. Nieprzyjaciel poniósł ciężkie straty. Wzięto do niewoli: 82 polskich legionistów, 57 bandytów, 30 uzbrojonych kobiet. Zdobyto: 3 działa ppanc. kal. 4, 5, 2 ckm, 1 nkm, 12 rkm, 15 pm, 1 rusznica ppanc., 16 automatycznych kb, 37 kb, 3 lekkie granatniki, 2 plecakowe radiostacje oraz dalszych 6 plecakowych radiostacji i wielką liczbę mpi i karabinów niezdatnych do użytku”.

Szczątkowa ewakuacja rannych i rozbitków będzie trwała jeszcze kilka nocy. W nocy z 23 na 24 września ewakuowanych zostanie około 50 osób. 26 września do „Bajki” przybije patrol berlingowców z rozkazem przywiezienia żywego lub martwego na drugi brzeg majora Łatyszonka, znajdą tylko kilkudziesięciu kontuzjowanych i rannych ludzi na statku. Kolejne dwie lub trzy noce pojedyncze łodzie będą wywozić rannych ze statku. Inni, lżej ranni, będą próbowali przedostać się po resztkach Mostu Poniatowskiego na Pragę. Ostatni ludzie z „Bajki” zostaną wzięci do niewoli w dniu kapitulacji Powstania.

Przed budynkiem Wilanowska 1 Niemcy gromadzą trupy rannych, pomordowanych, tych którzy zginęli w walce. Jest ich ponad 400.

Straty Armii Wojska Polskiego w akcji na przyczółkach warszawskich — tym czerniakowskim, tym koło Mostu Poniatowskiego i tym koło Żoliborza — wyniosły nie mniej niż 3764 zabitych, rannych, jeńców i zaginionych. 2 Korpus Polski w Bitwie Pod Monte Cassino stracił 4099 żołnierzy zabitych, rannych i zaginionych.

W Śródmieściu w tym czasie ludzie zjadają z głodu psy i koty. „Monter” jeszcze tydzień później będzie twierdził, że duch wojska jest świetny i żołnierz chce się bić.

POWSTANIEC Z KOTKIEM

Dzisiaj zginie w zbombardowanej kamienicy przy ulicy Marszałkowskiej 129 powstaniec znany ze zdjęcia z kotkiem na rękę, Eugeniusz Lokajski ps. „Brok”¹⁵², mistrz Polski w rzucie oszczepem, olimpijczyk z Berlina, jeden z kilku dokumentalistów Powstania, dzięki którym wiadomo, jak wyglądało. Wpadł do kamienicy po filmy, klisze. Zrobił już 1000 zdjęć i ciągle było za mało. Już z tej kamienicy nie wyjdzie.

Jest ze mną od lat na tym zdjęciu, przenoszony z miejsca na miejsce, ze ściany na ścianę. Przez jakiś czas nawet nie wiedziałem, że ten młody uśmiechający się chłopak w polskim hełmie wz. 31 to on, autor książki, która podobnie jak zdjęcie w ramce — z półki na półkę wędruje ze mną przez sporą część życia. Są ludzie, którzy mają na ścianie reprodukcję damy z lasiczką, ja miałem od lat Powstańca z kotkiem. Domy, kwatery, miejsca wygnania się zmieniały, życie toczyło się ze zwrotnicy na zwrotnicę, a on ciągle ze mną był. „Nieubłaganie patrzy w oczy”, jakby napisał Poeta. On i jego mały kotek, na oko dwumiesięczny. Ikona młodości, czułości, kruchości i odwagi przeciwstawionej nagej przemocy. Odwagi, czyli tego, co każe przekraczać swój strach i iść gdzieś tam, gdzie można doznać krzywdy. W imię czegoś, co jest ważne.

Pamiętam wakacje z ojcem w Lubniewicach, nad jeziorem. Mogłem mieć osiem, może dziewięć lat, chyba nie więcej. Mieszkaliśmy w pałacu, w okolicy za bardzo nie było co robić, trwały październikowe lata osiemdziesiąte, więc wypożyczyliśmy rower wodny

¹⁵¹ks. Józef Stanek ps. „Rudy” (1916–1944) — ksiądz, błogosławiony Kościoła Katolickiego, święcenia przyjął w 1941 r., kapelan Armii Krajowej, w powstaniu w Zgrupowaniu „Kryśka”, zamordowany przez Niemców 23 września. [przypis edytorski]

¹⁵²Eugeniusz Lokajski ps. „Brok” (1908–1944) — przed wojną lekkoatleta i fotograf-amator, uczestnik kampanii 1939 r., w czasie okupacji prowadził zakład fotograficzny w Warszawie, od 1944 roku w AK w stopniu porucznika, w powstaniu w kompanii sztabowej „Kosztka”, na własną rękę dokumentował przebieg walk aparatem marki „Leica”, poległ 25 września. [przypis edytorski]

na metalowych pływakach o urodzie przedwojennego hydroplanu albo kajaki ze sklejki i pływaliśmy po okolicy. Pewnego razu w jakimś zakątku jeziora między wielkimi liśćmi lilii trafiłszy na rodzinę łabędzi. Młode były szare, brzydkie i niezdarne. Łabędź-ojciec, kiedy nas zauważył, natychmiast zajął pozycję między młodymi i samicą a kajakiem, zasłaniając sobą rodzinę.

— Patrz jaki odważny — powiedział ojciec — nie obchodzi go to, że jest dziesięć razy mniejszy od naszego kajaka, będzie walczył.

I rzeczywiście, samiec nastawił bojowo pióra, żeby się wydać większym i z syczeniem, powoli ruszył w naszą stronę wachlując skrzydłami. To on był panem sytuacji przez tych kilka sekund. Byłem lżejszy, dlatego siedziałem z przodu kajaka. Widziałem jak wielki ptak zbliża się i zaniemówiłem, trochę ze strachu, a trochę z podziwu. Ptak niespiesznie podpłynął do kajaka, jakby dawał nam czas na przemyślenie nierozsądnej decyzji. I nagle z syczeniem rzucił się naprzód. Próbował złapać dziobem, ukąsić burzę, machnął skrzydłem, uderzając z głuchym dudnieniem o górną część kadłuba. Wyglądało to dosyć groźnie. Bałem się, że może nas wyrzucić albo ukąsić mnie w rękę. Dorośli mówili, że łabędź potrafi uderzeniem skrzydła złamać kość piszczelową człowieka.

— Wycofamy się — szepnął ojciec i zaczął wiosłować wstecz — nie będziemy go niepokoić, prawdziwą odwagę trzeba uszanować.

Kiedy myślę słowo „odwaga”, przychodzi mi zawsze wspomnienie łabędzia, który bez paniki, dając swojej gromadce zbitej w kącie zatoki czas na ucieczkę, idzie z dumnie wypiętą, białą piersią na spotkanie z kajakiem. I to on przez chwilę rządzi, narzuca swój styl temu spotkaniu. Nieujarzmiony strachem. Kruchy i przez tę jedną chwilę olśniewająco piękny. Jak powstaniec z kotkiem na ręku.

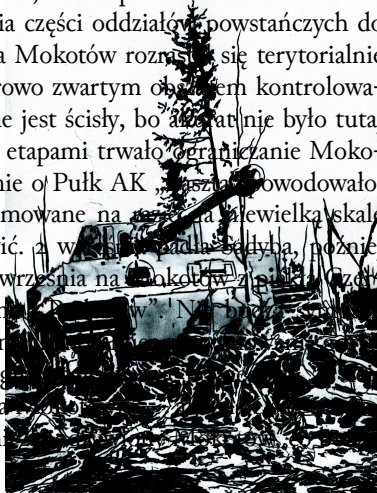
KIEDY ZOSTAJE TYLKO CHORAŁ

Dzisiaj rano szron na szybie. Zimno. Dzień pięćdziesiąty siódmy. Rośnie poczucie pustki. „Nie ma i nie ma”, jakby powiedział synek. W Śródmieściu panuje głód, od trzech tygodni nie ma prądu, nie ma też wody, więc niegaszone domy płoną, póki się nie wypalą. Oprócz śmierci z głodu wśród dzieci pojawiają się pierwsze przypadki śmierci głodowej wśród dorosłych. Komenda Główna AK i Delegat Rządu na Kraj domaga się zrzutów, tym razem nie amunicji i broni, ale żywności i odzieży dla cywilów. Wszyscy oczekują, że lada moment zza Wisły ruszy ponowne uderzenie Sowietów. Dowództwo 9 Armii niemieckiej także czeka w każdej chwili na wznowienie ataku. Jeżeli nie w rejonie Warszawy, po zdławieniu oporu na Czerniakowie, to spodziewane jest uderzenie z Pułtuska, Warki. Duży niepokój budzi zgrupowanie partyzanckie w Kampinosie, szacowane przesadnie przez Niemców na 10–15 tysięcy ludzi. Z tym większą gorączkowością chce się zdławić ostatecznie polski opór. Straty są wysokie, ale chwila spokoju na całym froncie od Sandomierza po Narew każe z tym większą intensywnością wykorzystać to, co chwilowo jest w ręku.

W Warszawie Niemcy wreszcie mają do dyspozycji większą ilość czołgów. Pomiedzy pierwszymi dniami sierpnia, kiedy czołgi pojawiały się w związku z próbą przebicia linii komunikacyjnych z Pragą, przez większość czasu na stałe w akcji był tylko 302 batalion czołgów radiowych, z którego pochodził zdobyty przez żołnierzy z batalionu „Gustaw” Borgward IV, okrzyknięty na wiele lat „czołgiem-pułapką”. W batalionie obok czołgów saperskich, nieuzbrojonych w nic poza wielką miną na przedniej płycie pancerza, było kilkadziesiąt dział szturmowych i to głównie z nimi walczyli Powstańcy od połowy sierpnia do połowy września. W trzeciej dekadzie września udaje się skompletować zgrupowanie uderzeniowe z elementów dywizji „Hermann Goering”, 19 i 25 Dywizji Pancerniej. Razem około 130 czołgów różnych typów i dział pancernych, nie licząc dział szturmowych

„Brumbar”¹⁵³ oraz eksperymentalnych Sturm-Tiger¹⁵⁴ — osadzonych na podwoziach czołgu „Tiger” wielkokalibrowych moździerz raketowych 380mm strzelających pociskami o wadze 1000 kilogramów. Od pierwszych dni sierpnia do 22 września używano także moździerza samobieżnego typu „Karl” o nazwie własnej „Ziu”, który strzelał pociskami kalibru 600mm i wadze 2170 kilogramów, albo kalibru 540mm o wadze 1250 kilogramów. Moździerz miał bardzo mały zasięg — przy strzale ciężkim pociskiem jedynie 2800 metrów. Jedno najbardziej znanych zdjęć z Powstania pokazuje trafiony pociskiem z „Ziu” budynek „Prudentiału”¹⁵⁵ w dniu 28 sierpnia i mało kto wie, że to zdjęcie jest świadectwem sabotażu. Na zdjęciu widać, że pocisk eksplodował bez zwłoki, przy pierwszym zetknięciu z ostrzeliwanym obiektem. Prawdopodobnie powinien wbić się w strukturę budynku i eksplodować w piwnicy. Kiedy tak się działo — każdy budynek składał się jak domek z kart. A „Prudentiał” przetrwał.

Kiedy dogorywał Czerniaków, wokół Mokotowa słychać było ożywiony ruch kolumn zmotoryzowanych, chrzęst gaśienic. Podobnie wokół Żoliborza. Wojsko czuje, że coś się kroi większego. Mimo niepowodzeń Godziny „W”, która spowodowała wielkie straty, szczególnie w pułku AK „Baszta”, mimo wyjścia części oddziałów powstańczych do Lasów Kabackich i Chojnowskich w ciągu sierpnia Mokotów rozrósł się terytorialnie i kiedy ginęła Starówka — był największym obszarem zwartym kontrolowanym przez Powstańców. Przymiotnik „zwarty” nie jest ścisły, bo aż do połowy sierpnia było tutaj zwartej miejskiej zabudowy. Od początku września etapami trwało ograniczanie Mokotowa, a nadmierne rozciągnięcie sił opartych głównie o Pułk AK „Baszta” spowodowało, że Powstańcy mogli te niemieckie działania podejmowane na terenach Wielka skala opóźnić, ale nie byli w stanie się im przeciwstawić. W wyniku działań, ostatecznie utracono Sielce i 15 września Dolny Mokotów. 20 września na Mokotowie z Czerniakowa przybywają żołnierze z resztek zgrupowania mieszkańców ani żołnierzy Mokotowa. Są wstrząśnięci, nie wiedzą o tym, co przeszli od 1 sierpnia, ktoś mógłby powiedzieć o defetyzm. Tak też się o nich mówi w tych dniach na „Baszcie” po prostu wiedzą lepiej niż stosunkowo na „W” dalej.



Począwszy od 24 września cała siła niemieckiej artylerii, lotnictwa, które znowu mogło bezkarnie działać nad Warszawą, oraz broni pancernej skierowała się na Mokotów. Straty po obu stronach idą w setki zabitych i rannych. Niemcy zajmują Królikarnię (24 września), punkty oporu „Alkazar” i „Westerplatte” (25 września). Ześrodkowania artylerii i nawały ogniowe rujnują całą dzielnicę. W kompanii B-3 batalionu „Bałtyk” pułku „Baszta” walczy wówczas Jerzy Ficowski ps. „Wrak”¹⁵⁶. Jak sam powie w wywiadach, jakich udzielił w 1992 i 1994 roku — bez wielkiego przekonania (cyt. za artykułem Jerzego Kandziory):

„Do swego uczestnictwa i tamtych wydarzeń mam stosunek ambiwalentny. Wiedziałem, że uczestniczę w tragedii, na moich oczach ginęło mia-

¹⁵³„Brumbar” — Właśc. SdKfz 166 Sturmpanzer, w literaturze znany także jako „Brummbär”. Niemcy produkowali w latach 1943–1945 około 300 egzemplarzy tego działa pancernego. Miało ono służyć do wspierania piechoty w walkach miejskich. W Warszawie w 1944 roku walczyła 218. kompania dział szturmowych wyposażona w *Sturmpanzer*, w styczniu 1945 r. rozbita przez Armię Czerwoną. [przypis edytorski]

¹⁵⁴*Sturm-Tiger* — Właśc. *Tiger-Mörser, 38cm RW61 auf Sturm (panzer) mörser Tiger*, znany także jako *Sturmtiger* i *Sturmpanzer VI*. Powstało zaledwie 18 egzemplarzy tego pojazdu. Dwie wyposażone w nie kompanie walczyły w Ardenach zimą 1944 roku, a jedna w powstaniu warszawskim. Warto zauważyć, że mimo potężnego opancerzenia i uzbrojenia był to pojazd zupełnie nie odpowiadający ówczesnym potrzebom niemieckiej taktyki — służył do niszczenia silnie ufortyfikowanych gniazd obronnych w mieście, podczas gdy w latach 1943–1945 Niemcy znajdowali się głównie w defensywie. Zabierał ponadto skromny zapas amunicji (14 pocisków), a jego ciężar i rozmiary powodowały ogromne zużycie paliwa, którego III Rzeszy pod koniec wojny coraz bardziej brakowało. [przypis edytorski]

¹⁵⁵„Prudentiał” — „Prudentiał” — warszawski wieżowiec wzniesiony w latach 1931–1933, nazwę swą zawdzięcza brytyjskiemu Towarzystwu Ubezpieczeń „Prudentiał”, które ulokowało w nim swoje biura. W czasie powstania warszawskiego wielokrotnie ostrzeliwany i poważnie uszkodzony przez Niemców, po wojnie odbudowany w latach 1950–1953. [przypis edytorski]

¹⁵⁶Jerzy Ficowski ps. „Wrak” (1924–2006) — poeta, pisarz, autor piosenek, tłumacz, żołnierz AK, w powstaniu szeregowy żołnierz pułku „Baszta”, po wojnie działacz opozycji demokratycznej w latach 70. i 80., sygnatariusz tzw. listu 59. [przypis edytorski]

sto i ludzie. Nie było we mnie entuzjazmu, tylko poczucie obowiązku. Zda-
wałem sobie przecież sprawę, jak trudne będzie zwycięstwo, orientowałem
się w sytuacji politycznej, obawiałem się, że kiedy wkroczy Armia Czerwo-
na, będziemy ścigani jako wrogowie i przestępcy. Skończyło się wszystko
większymi ofiarami, niż wtedy przypuszczałem”.

(1992)

„Dawni towarzysze broni z powstania powiedzieli, że z okazji pięćdzie-
sięciolecia każdy z nas może awansować. Ale ja przywiązałem się do strzelca
«Wraka», którym wtedy byłem, i nie chcę mu gwiazdek przypinać”.

(1994)

25 września von dem Bach wysłał po raz pierwszy parlamentarzysty do dowódcy
zgrupowania mokotowskiego, nazywanego od 21 września 10 dywizją piechoty AK —
plk. Józefa Rokickiego „Karola”. Zapisuje w swoim dzienniku (za A. K. Kunertem): „Je-
śli wszystko się uda, to znowu uratowałem życie tysiącom kobiet i dzieci. Teraz wiem,
dlaczego Pan Bóg mnie dotąd zachował. W tych straszliwych czasach krwi i łez mam
zachować humanitaryzm. Móc robić tyle dobrego napawa mnie głębokim szczęściem”.

Głęboka wiara von dem Bacha nie spotyka się z żadną odpowiedzią ze strony do-
wodzącego obroną Mokotowa „Karola”. Polski dowódca po wizycie parlamentarzysty
w meldunku sytuacyjnym pisze m.in.

„Zamiar. Bronić się do ostatka, choćby i w gruzach i na najmniejszym
skrawku Mokotowa”.

Monter odpowiada:

„Zgadzam się i popieram Pana myśl bronięcia się do skutku”.

Już następnego dnia, 26 września, w meldunku sytuacyjnym około godziny 6:00
„Karol” będzie pisał:

„Nastroje wśród wojska paniczne. Chęć wywieszania białej flagi, jeden
dowódca oddziału nie wykonał rozkazu”.

Około 12:30 napisze:

„Straty własne 70%. Katastrofalny stan moralny oddziałów. Melduję, że
dziś wieczorem oddziały zamierzam wyewakuować do Śródmieścia”.

„Monter” odpowie:

„Nie godzę się z waszym zamiarem ewakuacji”, a w kolejnym radiogramie
nadanym na Mokotów via Londyn dodaje: „W dalszym ciągu pod-
trzymuję mój rozkaz obrony na miejscu. Wycofać się wam nie wolno”. Ale
rozkazy te nie docierają już do „Karola”. O 20:15 podpisuje przekazanie ob-
wodu dowódcy pułku „Baszta” mjr Kazimierzowi Szternalowi ps. „Zryw”¹⁵⁷,
a sam udaje się kanałami do Śródmieścia.

Tego samego dnia ambasador USA w Londynie informuje premiera R. P. Stanisława
Mikołajczyka, że kolejna wielka wyprawa zaopatrzeniowa do Warszawy jest niemożliwa.
Po pierwsze dnie robią się krótsze, co ogranicza możliwość skutecznego zrzutu, po drugie
Amerykanie likwidują bazy zaopatrzeniowe po sowieckiej linii frontu, po trzecie w ocenie
sztabu 8 Armii ostatnia wyprawa okazała się mało skuteczna. Nikt nie wie też, że zrzuty

¹⁵⁷ mjr Kazimierz Szternal ps. „Zryw” (1907–1981) — cichociemny, oficer służby stałej WP, uczestnik kampanii
1939 r., przedostał się do PSZ, zrzucony do kraju 1 maja 1944 r., w powstaniu szef sztabu pułku „Baszta”, po
wojnie na emigracji. [przypis edytorski]

z nocy z 22 na 23 września z baz we Włoszech, kiedy to z 12 samolotów zrzutu dokonało pięć, są ostatnimi zrzutami z zachodu w ogóle. Od tej chwili Polskie Radio BBC nie nada już ani razu melodii „Jeszcze jeden mazur dzisiaj”. Do końca zostanie tylko chorał Ujejskiego „Z kurzem krwi bratniej”.

Jerzy Ficowski przeżyje Powstanie, niewolę, po wojnie będzie włączył się z Cyganami, badał tropy Schulza, pisał wiersze, eseje, odyskiwał, ocalał wszystko to, co wojna zniszczyła, odebrała, wchłonęła w siebie. Jak powie:

„Wojna to nicość, która miała wessać wszystko z ogniem i hukiem.
A moim niewypowiedzianym przykazaniem było, żeby jej nie dać postawić
na swoim. Jeśli udaje mi się wskrzesić cokolwiek z rzeczy, które są mi drogie,
jestem szczęśliwy. Zaprzeczam wszystkożerności żywiołu zniszczenia”.

Zaproszony do udziału w Radzie Muzeum Powstania Warszawskiego — odmówi.

KANAŁY. KONIEC JEST BLISKI

Mokotów upadł w ciągu trzech dni. Nikt tego się nie spodziewał. Spodziewano się zapewne podobnego przebiegu walk jak na Czerniakowie czy Starym Mieście. Uporczywej, wielodniowej obrony. Oceniając szybki upadek Mokotowa, nikt nie wziął pod uwagę tego, że Starówka miała zwartą zabudowę, ułatwiającą improwizowaną obronę, że bronili się tam najlepsi z najlepszych, jeszcze wypoczęci, pełni sił. Zgrupowanie „Radosława” na Mokotowie liczyło niespełna 200 ludzi, w większości rannych, kontuzjowanych. 200 ludzi z 2300, ilu liczyło 1 sierpnia. Niemcy w sierpniu dysponowali głównie formacjami policyjnymi, kolaboranckimi o niskim morale i słabym wyszkoleniu. Von Dem Bach praktycznie nie dysponował też w sierpniu większymi siłami pancernymi ani — co też istotne — piechotą potrafiącą współdziałać z czołgami w warunkach walk miejskich. Powstańcy Mokotów, pozbawiony zwartej zabudowy, o szerokich, trudnych do zabarykadowania czy trwałego zablokowania arteriach komunikacyjnych, stał się z jednostkami frontowymi, razem około 9000 doświadczonych żołnierzy wspartych czołgami, lotnictwem i artylerią. Dowódca obrony Mokotowa, płk. Józef Rokicki, miał około 2000 uzbrojonych ludzi, o wiele za mało, żeby móc się skutecznie bronić dłuższy czas. Brak wycucia sytuacji i odebrane od realiów rozkazodawstwo głównego dowództwa oraz braki w łączności wzmogły tylko chaos. I do tego ten rozgardiasz przed kapitulacją. Ruch zawsze spóźnionych depesz między dowództwem obrony dzielnicy a Dowództwem Okręgu via Londyn albo poprzez łączników w kanałach. Droga kanałami na Mokotów była jedną z dłuższych tras, w obie strony wyszkolonemu łącznikowi zabierała około 8–12 godzin. Kiedy dowódca obrony Mokotowa płk. „Karol” depeszował 26 września 1944 roku, że zamierza się wycofać kanałami, „Monter” odpisywał, że kategorycznie odmawia i żąda wstrzymania ewakuacji ludzi do Śródmieścia, jednak jego depesze dotarły na miejsce, w linii prostej odległe o zaledwie kilka kilometrów, po kilku godzinach, kiedy ewakuacja kanałami już trwała. Zresztą już wcześniej w sposób na poły samowolny „Radosław” odesłał do Śródmieścia dwie grupy po kilkadziesiąt osób, głównie lekko rannych, i nie było jasności, czy osoby te odeszły z rozkazu, czy też wbrew niemu albo wobec braku tego rozkazu. Formalnie rzecz biorąc, do kanałów w normalnych warunkach mogły wejść tylko pojedyncze osoby wyposażone w specjalne przepustki. W szczególnych przypadkach mogły wejść zwarte oddziały — tak jak w czasie próby przebicia ze Starówki weszli żołnierze „Czaty 49”.

Początkowo akcja wycofania kanałami z Mokotowa wydawała się przebiegać normalnie. Został ustalony porządek wejścia do kanałów, włązy wejściowe i wyjściowe. Jednak już rano 26 września 1944 roku, kiedy pierwsza kolumna Powstańców zaczęła zejście do włązu przy ul. Wiktorskiej, nadleciał samolot i zrzucił bomby tak, że trafiły one w okolicę włązu i zasypały go. Udostępniono więc inny włąz, prowadzący do trasy głównej na ulicy Szustra. Wokół włązu kłębił się tłum ludzi, wielu stawiało się ze sfalszowanymi przepustkami, panował chaos, żołnierze „Radosława” i „Baszty” musieli z bronią w ręku torować sobie wejście do włązów. Bardzo szybko okazało się, że otwarte zostały także inne włązy, prowadzące do bocznych kanałów, którymi ludzie ruszyli na własną rękę, bez przygoto-

wania, pozbawieni wiedzy o tym, jak poruszać się w kanałach, bez przewodników. Pod ziemią tworzyły się coraz częściej zatory.

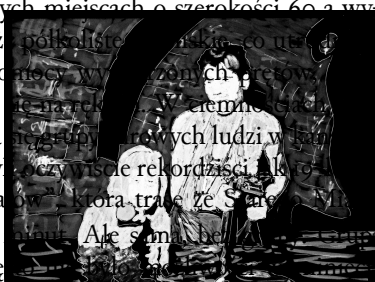
Tymczasem Niemcy już dokładnie rozpoznali znaczenie sieci kanałowej, co szczególnie im uświadomiło zniknięcie kilku tysięcy obrońców Starówki. Po zdobyciu Starego Miasta Niemcy odkryli też kabel telefoniczny, jakim porozumiewano się między Starym Miastem a Śródmieściem. Wzdłuż przewidywanych tras kanałowych Niemcy mieli otwarte włazy, wpuszczone w dół mikrofony i inne urządzenia nasłuchowe. Po powzięciu najdrobniejszych podejrzeń co do ruchu w kanałach wrzucali granaty, wsypywali karbid tworzący w reakcji z cieczą w kanałach trującą, duszącą, drażniącą oczy mieszaninę, bywało że wlewali benzynę i podpalali.

Poziom ścieków w kanałach po pierwszych dniach sierpnia znacząco się obniżał w związku z tym, że wyłączone zostały z normalnego funkcjonowania całe dzielnice, żeby zatem utrudnić poruszanie się w kanałach, Niemcy próbowali tworzyć w kanałach zapory, tamy, często ubezpieczane uzbrojonymi patrolami, minami, potykaczami. Zapory składały się najczęściej z metalowych szyn obwiązanych drutem kolczastym zrzucanych jedna na drugą, okładanych workami z piaskiem, czasem workami z cementem, który twardniał od wilgoci. Jednak do końca powstania poza jednostkowymi przypadkami, bliżej zresztą nieznanymi i pozostającymi w bardziej sferze domysłów — ani Niemcy, ani podlegli im żołnierze formacji kolaboracyjnych nie zeszli do kanałów. Bali się.

W jednej z relacji niemieckich z Powstania była mowa o tym, że przed szturmem Mokotowa „zatajfunowano większość kanałów”, chociaż nie do końca wiadomo, co to mogło oznaczać. Taifun-gerät był ładunkiem wybuchowym na bazie pyłu węglowego, który miał dużo dłuższy czas spalania od trotylu i przeznaczony był do burzenia budynków. Prawdopodobnie w budynku wysadzonym przy pomocy środka Taifun 16 sierpnia 1944 roku zginął Tadeusz Gajcy. Podobno słychać było wcześniej odgłosy kucia pod ziemią i niezbyt głośną eksplozję, po czym niemal bezgłośnie dom zapadł się od strychu po piwnice. Co jednak miałyby oznaczać „zatajfunowanie” kanałów? Być może chodziło o to, że ponownie spodziewając się ożywionego ruchu w kanałach, Niemcy wsypali do niego dużą ilość karbidu, który w reakcji ze ściekami wytwarzał drażniące, duszące opary, a być może rzeczywiście wpuszczono do kanałów taifun-gerät, zamierzając je w całości wysadzić razem z Powstańcami. Istnieją także relacje wskazujące, że „zatajfunowanie” kanałów miało ograniczyć w nich ilość tlenu. Podobno w pobliżu „zatajfunowanych” odcinków nie chciała się zapalić żadna świeczka.

Poruszanie się w kanałach było utrudnione już z racji samej ich budowy. Miały one w przekroju kształt odwróconego jajka, w najwęższych miejscach o szerokości 60 a wysokości 90 cm. Dno nie było płaskie, ale nie dość, żeby było wygodne do postawienia stopy. Pomagano sobie przy poruszaniu się w kanałach, blokowano poprzecznie o boki kanału i podciągano się. W ciasnym przestrzeni łatwo było stracić orientację. Tempo poruszania się w kanałach było to — przypomnijmy — 500 metrów na godzinę. Była to praca niezwykle niebezpieczna. Natalia Sendys ps. „Zyta”¹⁵⁸, zwana „Królową kanałów”, która trafiała ze Starówki do Śródmieścia w jedną stronę pokonywała w 90 minut. Musiała się poruszać gęsiego, jeden za drugim, często w ciemności, nie było żadnej łączności z nikim wokół poza tym, że każda osoba w absolutnych ciemnościach trzymała się fizycznie poprzednika. Jeżeli ktoś opadał z sił, nie chciał iść — blokował całą kolumnę. Wiele zależało wówczas od osób prowadzących kolumnę, a były to często młode dziewczyny, o drobnej budowie ciała, tak jak Natalia Sendys „Zyta” czy Alina Mazurkiewicz z d. Dudzińska ps. „Myszka”¹⁵⁹, która tak opisze jeden ze swoich kursów z rannymi na trasie ze Starówki do Śródmieścia:

„Szli wolno, coraz wolniej. Domyślałam się, że pewnie przed godziną leżeli jeszcze w szpitalu. Niektórzy z nich nie próbowali nawet chodzić. O kanałach i sposobie poru-



¹⁵⁸Natalia Sendys ps. „Zyta” (1925–1990) — harcerka, w czasie okupacji w Biurze Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK, w powstaniu łączniczka, w latach powojennych pracowała jako lekarka. [przypis edytorski]

¹⁵⁹Alina Mazurkiewicz ps. „Myszka” (1925–) — w konspiracji od 1940 roku, w powstaniu łączniczka składnicy meldunkowej K-1 Komendy Okręgu Warszawskiego AK, po wojnie służyła w 1. Dywizji Panczernej gen. Stanisława Maczka, powróciła do kraju. [przypis edytorski]

szania się w nich też nie mieli pojęcia. [...] Zaczęły się jęki, wrzaski, wreszcie klątwy. Wolniutko posuwająca się kolumna wreszcie stanęła. Byłam zrozpaczona, ale przede wszystkim wściekła. Nawymyślałam im od cywilbandy i rozhisteryzowanych bab. — Przecież my już zdychamy — powiedział jeden z najprzytomniejszych — Jaka różnica czy się zdycha na górze czy na dole? Nam już wszystko jedno. Byłam tego świadoma. Z ich punktu widzenia miał rację. Zebrałam wszystkie fizyczne i psychiczne siły. Jak im dowieść, że chociaż jest ich 25, często oficerów, a ja jedna, drobna smarkuła [Alina Mazurkiewicz miała wtedy 19 lat] i to szeregowy, to tu, w kanale nie oni, ale ja dowodzę? Oczywiście zatrzymywali się pod studzienką, bo tam było wyżej i mieli choć odrobinę świeżego powietrza.

Odciągałam od tych studzienek, przeciągałam za klapy i włosy, by w wąskim kanale nawymyślać im ich własnym słownictwem. Czasem próbowali słuchać i tłumili jęki. Nigdy jednak nie trwało to długo. Za chwilę rozpoczynało się od nowa. Byli tak wyczerpani, że nie myśleli. Tak, ale ja odpowiadałam za drożność tego przejścia. Tą samą drogą miało przejść jeszcze dziesiątki takich grup. Jak im to wytłumaczyć? Ciągnęłam, pchałam i wbijałam w półprzytomne głowy, że żywych czy umarłych przeciągnę ich do wyjścia na ul. Wareckiej. Nikt nie może tu pozostać — żywy czy martwy. Widzieli zresztą wiele zwłok popychanych w wąskie boczne kanały”.

Alina Mazurkiewicz doprowadziła do wjazdu na Wareckiej tyłu rannych, ilu przejeżdżała wtedy na Starówce. Dwudziestu pięciu.

Ewakuacja Mokotowa jednak wyglądała inaczej niż na Starówce. W związku z ogromnym tłokiem i otwarciem bocznych kanałów szybko uformował się jeden, niekończący się pochód, rozrywany eksplozjami granatów, spychany na boki, blokowany przez tych, którzy już nie chcieli iść, tamy budowane ad hoc przez Niemców i wreszcie — przez spreczne plotki, rozkazy, wieści. Płk. „Karol” w kanale pod ulicą Górnośląską spotkał idący mu naprzeciw niewielki, około trzydziestoosobowy oddział Tadeusza Perdzińskiego „Tomira”¹⁶⁰ wysłany jako odsiecz dla Mokotowa wraz z rozkazem od „Montera”, żądającym kategorycznego przerwania ewakuacji kanałami i powrotu na Mokotów w celu obrony na miejscu. To wprowadziło dodatkowy chaos, ponieważ część Powstańców zawróciła kanałami na Mokotów, część zaczęła szukać innych dróg dojścia do Śródmieścia. „Karol” podjął decyzję o kontynuacji odwrotu i wyszedł z kanału wjazdem u zbiegu ul. Wilczej i Al. Ujazdowskich. Generał Antoni Chruściel „Monter” nie przyjął żadnych ustnych wyjaśnień od dowódcy Mokotowa i zażądał natychmiastowego wejścia z powrotem do kanału wraz z wysłaną na pomoc grupą „Tomira”. Do dowódcy reszty sił mjr „Zrywa” na Mokotowie jeszcze o 13:00 27 września dochodzi depeza via Londyn ze Śródmieścia:

„Wstrzymać ruch do Śródmieścia. Dowódca Wasz i Komendant stąd wraca. Będziecie się bronić na Mokotowie w pozycjach dotąd trzymany. Wachnowski”.

Płk. „Karol” wszedł z powrotem do kanału. W kanale doszło do spotkania ze skrajnie wyczerpaną grupą pod dowództwem ppłk Pawła Zagórowskiego „Góry”¹⁶¹, który przekazał informację — był to już 27 września — że Mokotów kapituluje. Faktycznie od 8:00 trwały uzgodnienia kapitulacyjne, mimo tego, że walki trwały do 13:30. Grupa płk „Góry” była ostatnią zorganizowaną grupą, jaka dotarła do Śródmieścia po blisko dwudziestogodzinnym błędzeniu w kanałach. Razem z nią zawrócił płk. „Karol”. „Monter” będzie próbował oddać go pod sąd wojskowy, do czego ostatecznie nie dojdzie, ale zła opinia o obronie Mokotowa zostanie. Nikt z obrońców Mokotowa nie dostanie w czasie wojny awansu ani odznaczenia.

Kanałami z Mokotowa do Śródmieścia dotrze około 950 osób. Nie wiadomo, ile osób rozpoczęło tę drogę i pozostało w kanałach na zawsze jako zaginionieni w czasie walki. W kanałach błąkały się grupy oszalałych ludzi, którzy mieli halucynacje, strzelali do siebie nawzajem, obrzucali się granatami, nawoływali, śmiali, płakali, a konstrukcja kanałów

¹⁶⁰Tadeusz Perdziński ps. „Tomir” (1910–1989) — oficer służby stałej artylerii WP, od 1939 roku w konspiracji, w powstaniu oficer operacyjny Wydziału III sztabu Grupy AK Północ, po wojnie w kraju. [przypis edytorski]

¹⁶¹ppłk Paweł Zagórowski ps. „Góra” (1896–1946) — oficer służby stałej WP w latach 1918–1936, w konspiracji od 1939 roku, w latach 1942–1943 komendant Okręgu Śląsk AK. W powstaniu pełnił funkcję szefa sztabu — zastępcy komendanta Obwodu V AK Mokotów. [przypis edytorski]

wzmacniała te odgłosy. Dochodziło do przypadków indywidualnych i zbiorowych samobójstw. Dwie grupy Powstańców błędnie w kanałach około godziny 10:00 27 września znalazły się pod terenem zajęty przez Niemców w okolicach ulicy Dworkowej. Początkowo Niemcy zaczęli wrzucać do kanału granaty, ale potem nad wjazdem kanału pojawiła się dłoń z białą chustką. Pierwszego Powstańca, który wyszedł z kanałów, Niemcy zastrzelili na miejscu, kolejnych pobili, następnie oddzielili kobiety i cywilów od żołnierzy, którym kazali klęknąć na skarpie przy ul. Dworkowej. Podobno jeden z żołnierzy miał się rzucić na niemieckiego konwojenta z okrzykiem „Nie dajmy się zarżnąć jak barany!”, na co Niemcy otworzyli ogień i zamordowali wszystkich, około 140 jeńców, w tym co najmniej 4 kobiety. 40 ocalałych osób, głównie łączniczki i sanitariuszki, trafiło do KL Stutthof¹⁶². W tym samym czasie przy ul. Dworkowej 5 wyszła z wjazdu inna grupa, około 40 Powstańców, która także została rozstrzelana. Wszyscy zabici pochodzili prawdopodobnie z kompanii łączności oraz kompanii B-1 i B-3 Pułku AK „Baszta”. Wielu nazwisk zabitych wówczas nie ustalono. Powszechnie ze zbrodnią na ul. Dworkowej łączy się kilka najbardziej emblematicznych zdjęć Powstańców, wyciąganych z kanałów przez Niemców, jednak krytycy zwracają uwagę, że w 1944 roku po ulicy Dworkowej nie jeździł tramwaj, zaś na zdjęciach wyraźnie widać, że Powstańcy wychodzą z wjazdu umieszczonego między szynami tramwaju. Łączna liczba ofiar egzekucji przy ul. Dworkowej jest szacowana na nie mniej niż 140 osób, ale nie więcej niż 200.

Na Mokotowie, jak we wszystkich innych wypadkach upadających dzielnic, pozostały szpitale pełne rannych. Niemcy deklaratorywnie zobowiązywali się do przestrzegania międzynarodowych konwencji prawa wojennego, von dem Bach drżał zapewne w swoim religijnym uniesieniu, gdy podpisywał akt kapitulacji. Bo von dem Bach wierzył, że jest narzędziem samego Boga w Warszawie. Zbrodnie jednak miały miejsce, chociaż na Mokotowie nie miały charakteru tak masowego jak na Starówce czy na Czerniakowie, ale jak pokazuje przykład zbrodni na ulicy Dworkowej — zdarzały się, a ich ofiarom było zapewne wszystko jedno, czy giną w ramach ogólnej rzezi, czy jednostkowego przypadku. W szpitalu przy Al. Niepodległości 117 wraz z kilkunastoma ciężko rannymi została sanitariuszka Ewa Matuszewska ps. „Mewa”¹⁶³. Mimo zaledwie 25 lat miała charyzmę i powagę, kierując w najtrudniejszych momentach całym personelem szpitala, załatwiając, często z narażeniem życia, środki opatrunkowe, lekarstwa, ba, czasem nawet mydło do umycia rannych. 26 września 1944 roku została wezwana do ewakuacji. Odpowiedziała tylko:

„Jestem sanitariuszką — moim obowiązkiem jest pozostać tutaj — z rannymi”.

Gdy w styczniu 1945 r. matka dotarła w Aleje Niepodległości, zwłoki córki leżały jeszcze na schodach piwnicznych, trzymała w dłoniach bandaż, którego nie zdążyła użyć. Tego samego dnia, kiedy upadł Mokotów, 27 września 1944 roku, dowódca Żoliborza żądanie kapitulacji złożył dowódca 19 Dywizji Pancerniej. Żądanie zostało, tak jak wszystkie inne — odrzucone. Po wojnie Von Dem Bach miał mówić o płk Mieczysławie Niedzielskim „Żywicielu”:

„Chciałbym zwrócić uwagę na dowódcę odcinka z Żoliborza. Z nim w ogóle nie mogłem rozpocząć negocjacji. Każda jego odpowiedź była dla mnie obraźliwa. [...] Ten człowiek był fanatykiem”.

28 września 1944 roku na naradzie Komendy Głównej AK i Delegatury Rządu na Kraj pada znowu słowo „kapitulacja”. „Bór” depekuje do Rokossowskiego via Londyn i Moskwa, że bez znaczącej pomocy Armii Czerwonej Powstanie za dwa-trzy dni upadnie. O tym samym informuje Rząd w Londynie. Delegat Rządu RP Stanisław Jankowski¹⁶⁴

¹⁶²KL Stutthof, Konzentrationslager Stutthof — niemiecki obóz koncentracyjny, powstał we wrześniu 1939 roku w miejscowości Sztutowo niedaleko Gdańska, z czasem przybrał częściowo charakter obozu zagłady, działały w nim komora gazowa i krematorium. Przez obóz do 9 maja 1945 roku przewinęło się ok. 110 tysięcy więźniów, z których życie straciło 65 tysięcy. [przypis edytorski]

¹⁶³Ewa Matuszewska ps. „Mewa” (1919–1944) — harcerka, uczestniczka obrony Warszawy w 1939 r., w powstaniu sanitariuszka w pułku „Baszta”, zamordowana przez Niemców 26 września. [przypis edytorski]

¹⁶⁴Jan Stanisław Jankowski (1882–1945) — polityk Narodowej Partii Robotniczej i Stronnictwa Pracy, w latach 1943–1945 Delegat Rządu na Kraj, wyraził zgodę na rozpoczęcie powstania warszawskiego, w 1945 aresztowany przez NKWD i sądzony w tzw. procesie szesnastu, zamordowany w więzieniu. [przypis edytorski]

nazywa zamiar dalszej walki szaleństwem, wskazuje na wielkie korzyści polityczne, jakie zostały osiągnięte i wzywa do ocalenia tego, co jeszcze można ocalić — „biologicznej substancji narodu”. W czasie tej samej narady „Monter” wyraża swoją opinię:

„Duch żołnierzy jest doskonały. Żołnierz ma olbrzymią wolę walki, chce się bić i to bić do ostatka. Na morale żołnierza nie ma żadnych szczerb. Możecie być go pewni”.

OSTATNIA SZARŻA

Tak, to sześćdziesiąty dzień i widzisz: jest tak, jak mówisz. Dopiero czuwanie dzień po dniu pokazuje, ile to trwało: zdążyłeś pojechać na urlop, wrócić, posłać dzieci do szkoły, kupić zeszyty, piórniki, przeżyć ponowny szok adaptacyjny młodszego dziecka w żłobku, dni zrobiły się krótsze, noce zimne, rower jeszcze stoi w garażu, ale wiesz dobrze, że szans na jego użycie będzie coraz mniej.

Jest 29 września rano, we mgle, szronie osadzającym się na trawach, grudach, ugorach zgrupowanie partyzanckie rządzące niemal niepodzielnie Puszcą Kampinoską pod dowództwem majora „Okonia” dociera do wsi Budy Zosine na południe od puszczy, zaledwie kilkaset metrów od nasypu linii kolejowej Warszawa-Skierniewice. Zgrupowanie jest rozciągnięte na wiele kilometrów wśród leśnych i polnych duktów. Celem marszu postawionym przez dowódcę są Góry Świętokrzyskie. Czas Niepodległej Rzeczypospolitej Kampinoskiej skończył się trzy dni temu, 27 września, kiedy niemieckie Stukasy zbombardowały rozpoznane miejsca postoju dowództwa zgrupowania, m.in. we wsi Wiersze. Oddziały osłonowe zgrupowania na wschodnich podejściach puszczy uwikłały się w ciężkie walki z niemieckimi oddziałami, które nacierały od Warszawy w głąb lasów. Wszyscy przeczuli, że to nie przypadkowe starcie, ale początek szerszej, planowej akcji.

Fakt, że Warszawa stała się miastem frontowym, zaś na froncie od tygodnia panował spokój, zaowocował znacznym zagęszczeniem jednostek wojskowych, w pełnym tego słowa znaczeniu, wokół terenów objętych Powstaniem. Do akcji o kryptonimie „Sternschuppe” — czyli nomen omen „spadająca gwiazda” — Niemcy skierowali dwie grupy operacyjne w sile po około 3000 żołnierzy każda, wsparte lotnictwem rozpoznawczym, bombowym, czołgami, artylerią i co najmniej jednym pociągiem pancernym. Wiele wskazuje na to, że Niemcy od samego początku mocno przeceniali liczebność, siłę i wagę zgrupowania kampinoskiego. W raportach niemieckiego wywiadu podaje się liczebność od 5 do 15 tysięcy, czyli liczby, do jakiej w zasadzie się nie zbliżyło. Ale to zgrupowanie różnymi akcjami, zazwyczaj wysyłając oddziały w sile od kilkunastu do stu ludzi, niepokoiło niemieckie garnizony w promieniu wielu kilometrów. Niemcy wiedzieli też, że część zrzutów dla Warszawy lądowała w Kampinosie, gdzie dosyć łatwo była przejmowana przez partyzantów, którzy panowali nad dużymi obszarami terenu, gdzie dużo było ziemi niczyjej, zupełnie inaczej niż w opasanej coraz ściślej kordonem Warszawie.

Przez długi czas dostępu do Warszawy od północy broniła 12 dywizja węgierska, ale jak w wielu innych przypadkach tutaj i w całej Polsce, tam gdzie spotykali się polscy partyzanci, walczący po stronie alianckiej, i węgierskich żołnierze, formalnie wspierający Niemców, nie dochodziło do żadnych starć, a Honwedzi przepuszczali polskie oddziały bez jednego strzału, na różne sposoby udając potem głupków przed niemieckimi przełożonymi. Tak było w sierpniu, tak było we wrześniu koło Warszawy, tak było później na Kielecczyźnie, gdzie Honwedów próbowano używać do blokowania oddziałów okręgu „Jodła”, które po odwróceniu znad Pilicy kontynuowały „Burzę” na swoim terenie. Ale we wrześniu zachodzą zmiany. Niemcy widać zorientowali się, że blokada od strony Kampinosu jest podejrzenie dziurawa.

Tymczasem dowodzenie zgrupowaniem w Kampinosie nie jest do końca jednolite. Duży mir w zgrupowaniu ma Adolf Pilch „Dolina”¹⁶⁵, który po stracie łączności ze struk-

¹⁶⁵Adolf Pilch ps. „Dolina” (1914–2000) — cichociemny, uczestnik kampanii francuskiej 1940 r., zrzucony w kraju w lutym 1943, dowódca partyzantki AK w Górach Świętokrzyskich i na Nowogródzczyźnie, po wojnie na emigracji w Wielkiej Brytanii. [przypis edytorski]

turami AK na Nowogródczyźnie przebił się ze swoimi ludźmi pod Warszawę. Jednak mimo że ma opinię znakomitego dowódcy i przyprowadza liczące 900 ludzi, pełni uzbrojone zgrupowanie — ciągnie się za nim cień rozejmu z Niemcami, w czasie którego zwalczał też partyzantkę sowiecką. Dodać wypada dla porządku — najpierw, zimą 1943, sowiecka partyzancka zaczęła dosyć skutecznie zwalczać jego. Zapewne powstaje też pytanie, jakim cudem 900-osobowe zgrupowanie ze 150 furmankami przeszło nietknięte ponad 400 kilometrów w linii prostej między jednostkami tyłowymi niemieckich wojsk, także po strzeżonych mostach i przeprawach. Pytanie bez odpowiedzi. KG AK obawia się, że zbytne afiszowanie się współpracą z tym dowódcą może przynieść złe skutki w kontaktach z Sowietami, na których pomoc przecież się liczy. Jednak w Kampinosie jego rozjem czy układ z niemieckim okupantem przestaje obowiązywać, to „Dolina” okazuje się być jednym z bardziej bojowych dowódców. Ale w oddziale jest jeszcze świeże wspomnienie po rannym w nieudanym ataku na lotnisko bielańskie kapitanie Józefie Krzyczkowskim „Szymonie”, z którym z kolei związani czują się żołnierze pochodzący z okolicznych miejscowości. Z kolei major „Okon” formalnie był dowódcą batalionu „Pięść” ze zgrupowania „Radosław”, z którego w Godzinie „W” wystąpiła tylko jedna kompania, w związku z tym, że dla reszty nie było broni. Został przysłany tutaj przez KG AK dopiero po licznych przygodach w sierpniu, ale tylko po to, by wybrać z istniejącego zgrupowania najlepiej uzbrojonych ludzi i poprowadzić ich na Żoliborz. Dowodzi dwoma nieudanymi atakami z Żoliborza na Dworzec Gdański, po czym część ludzi wypowiada mu posłuszeństwo i zostaje w mieście wcielona do zgrupowań pod dowództwem „Żywiciela”, a część z tych, którzy postanawiają wrócić do Kampinosu, zostaje rozbrojona przez cierpiących na brak amunicji i broni powstańców z Żoliborza. Można sobie wyobrazić animozje pomiędzy tymi dowódcami, można sobie wyobrazić, że kiedy jest względny spokój, jest żywność, zrzuty, amunicja, broń, a w niewielkich akcjach poszczególne oddziały odnoszą partyzanckie sukcesy — wszystko jest w porządku. Ale sytuacja się zmienia, kiedy na tę partyzantką republikę zaczyna naciskać zgrupowanie frontowego wojska, SS-mani z dywizji „Totenkopf”, „Hermann Goering”¹⁶⁶, „Wiking”, czołgiści z 19 i 25 Dywizji Pancerniej.

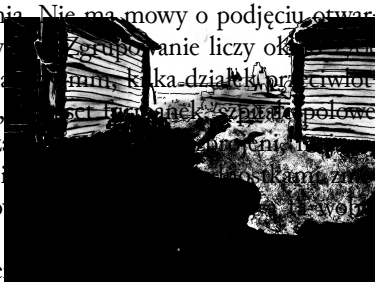
Wygląda też na to, że nie mając specjalnie operacyjnego pomysłu, jak wykorzystać Zgrupowanie „Kampinos”, podobnie jak w przypadku innych zgrupowań partyzanckich — we wrześniu Komenda Główna AK traci nim zainteresowanie. Partyzanci mają odbierać zrzuty, organizować transport żywności, amunicji i broni dla Warszawy, korzystając z nie do końca szczelnego kordonu wokół Żoliborza. 2 września „Bór”-Komorowski w depeszy do Londynu wnosi o rezygnację ze zrzutów dla partyzantów w Kampinosie. Zapewne zdaje sobie sprawę, że wobec upadku Starego Miasta przerzut czegokolwiek z Żoliborza do innych dzielnic będzie bardziej niż problematyczny. Myślenie KG AK w zasadzie było tutaj — na co zwraca uwagę Kirchmayer, ale też inni historycy — zadziwiająco jednokierunkowe. Oddziały partyzanckie miały wartość, o ile „szły z odsieczą” dla Warszawy. Nie było zupełnie innego pomysłu ich wykorzystania, ani nawet prób podobnego myślenia. W czasie pierwszych rozmów kapitulacyjnych (na razie pod pozorem konieczności zawarcia porozumienia o ewakuacji ludności cywilnej) wysłanników KG AK z von dem Bachem, ten ostatni w luźnej atmosferze będzie głośno dziwił się, dlaczego dowództwo Powstania nie wykorzystало rozbudowanych sił partyzanckich wokół Warszawy dla zakłócenia przerzutu wojsk do tłumienia Powstania w pierwszych dniach sierpnia, dlaczego później także w bezpośredniej bliskości Warszawy w zasadzie wszystkie niemieckie wojska miały całkowitą swobodę manewru. Dziwił się, dlaczego nikt nawet nie próbował wysadzić torów linii Warszawa-Skierniewice.

Kiedy w połowie września major „Okon” zadepeszerował do KG AK, informując, że wedle jego wiedzy i w wyczucia Niemcy zaciągają coraz ściślejszą blokadę wokół Kampinosu i szykują się do operacji ostatecznego zniszczenia jego zgrupowania, jedyną sugestią, jaką uzyskał, był rozkaz, by w razie niemożności walki w Kampinosie — przebił się oczywiście do zrujnowanej Warszawy i tam kontynuował walkę do końca. Major „Okon” powęźmie decyzję, że w razie ataku ze strony Niemców zgrupowanie ruszy w stronę Gór

¹⁶⁶„Hermann Goering” — Dywizja Pancerno-Spadochronowa „Hermann Göring” była jednostką Luftwaffe, a nie Waffen-SS. [przypis edytorski]

Świętokrzyskich, co będzie zgodne ze zdrowym rozsądkiem, chociaż sprzeczne z sugestiami KG AK. W jednej ze swoich depeš do Londynu prosi w razie zrzutów na jego teren o dostarczenie dokładnych map Kielecczyny, Jury Krakowsko-Częstochowskiej i Śląska.

27 września, kiedy Niemcy bombardują wieś Wiersze, miejsce pobytu sztabu zgrupowania, „Okon” zarządza wymarsz całości zgrupowania. Nie ma mowy o podjęciu otwartej walki z Niemcami, bowiem nie ma szans jej wygraną. Zgrupowanie liczy około 1200 żołnierzy, 700 koni, ma na wyposażeniu jedną armatę, kilkadziesiąt działek przeciwlotniczych, sto kilkadziesiąt pojazdów mechanicznych, kilkadziesiąt działek przeciwlotniczych. Żołnierze w porównaniu do Powstańców w Warszawie, a także w porównaniu z niemieckimi SS mogliby co najwyżej zorganizować przewagę manewru ze strony przeciwnika oznaczając odwrot. 27 i 28 września zgrupowanie idzie w kierunku Kampinos, dopiero w nocy 28 na 29 września zawraca na wschód, a potem na południe przez Marysinek, aż do Bud Zosinych w pobliżu Jaktorowa.



Można sobie sprawdzić dzisiaj poprzez nawigację czy jeden z internetowych atlasów samochodowych, ile w przybliżeniu wynoszą te przemarsze, kiedy czoło Zgrupowania dociera w pobliże torów linii Warszawa-Skierniewice. Wychodzi około 90 do 100 kilometrów. Jak na dwa dni — duże wyzwanie dla pojedynczego piechura, a co dopiero dla zgrupowania kilku tysięcy ludzi z taborami, rannymi na podwodach, zaopatrzeniem, które musi przecież starczyć na drogę w Góry Świętokrzyskie i na zimowanie w obcej dla większości partyzantów okolicy. Trudno oprzeć się wrażeniu, że „Kampinos” chce dokonać sztuki, z której zrezygnowało zgrupowanie Kieleckiego Korpusu AK „Jodła”. Zgrupowanie, klucząc po lasach, gubi poszczególne grupy, niektóre z grup zresztą samowolnie lub w porozumieniu z „Okoniem” odłączają się, rozpuszczają ludzi co cywila, rozpraszają się w walkach z niemieckimi grupami pościgowymi — tak jak szwadron „Jerzyków” w walkach nad Utratą.

W mniejszej skali powtarza się w Kampinosie dramat oddziałów Armii „Poznań” i „Pomorze” przebijających się znad Bzury do Warszawy, które pięć lat wcześniej w podobnej atmosferze szły, ale w przeciwnym kierunku.

Tymczasem w przedświecie 29 września patrol ułanów stwierdza, że tor linii kolejowej Warszawa — Skierniewice przed frontem zgrupowania nie jest obsadzony, tylko w budce dróżnika znajduje się kilkusobowy patrol niemiecki. „Okon” ku zdumieniu większości zarządza postój. „Dolina” i wielu innych komendantów naciska na jak najszybszy marsz i przekroczenie nasypu, ale „Okon” jest nieugięty. Jego zdaniem wojsko po dwóch dniach kluczenia po lesie i polach musi chwilę odpocząć, trzeba podciągnąć tabor, zaopatrzenie, rannych, zebrać rozbitków. Do nasypu jest kilkaset metrów, nad zgrupowaniami od wielu dni skoro tylko nastaje świt — krążą niemieckie samoloty rozpoznawcze. Jest jasne, że o ile fortel z nagłą zmianą marszu o 180 stopni i późniejszym skrętem na południe chwilowo się udał, o tyle jest kwestią godzin, kiedy Niemcy się zorientują w lokalizacji zgrupowania, które teraz liczy około 1200 ludzi. Postój jednak trwa. Jeden z oficerów prosi księdza kapelana ks. Jerzego Baszkiewicza ps. „Radwan II”¹⁶⁷ o spowiedź. Jak pisze Stanisław Podlewski na podstawie relacji księdza:

„jak mówi — księżo kapelanie, tu już musimy zostać. Oslupiały pytam o sytuację. Otrzymuję odpowiedź, że nad ranem toru kolejowego pilnowało zaledwie pięciu kałmuków, teraz nadjechał już pociąg pancerny. Niemcy obstawiają mocno nasyp kolejowy. Nie zapomnę słów kpt. Wojtka, który na propozycję, aby mjra Okonia zmusić do natychmiastowego forsowania torów kolejowych i ukryć się w lasach bolimowskich, odległych o jakieś 2 kilometry, odpowiedział:

„ — Księżo kapelanie, czy my jesteśmy bandą, czy wojskiem regularnym. Dowództwo dało rozkaz stać, to musimy stać. Każą ruszać — ruszamy. [...] To, że tu zginiemy, to fakt.

¹⁶⁷ksiądz kapelan Jerzy Baszkiewicz ps. „Radwan II” — Jerzy Baszkiewicz ps. „Radwan II” (1914-1984) — ksiądz katolicki, święcenia kapłańskie otrzymał w 1940 r., od 1942 r. wikariusz parafii w Wawrzyszewie, w 1944 roku kapelan Grupy „Kampinos” AK w stopniu kapitana, po wojnie pełnił posługę w Warszawie. [przypis edytorski]

[...] Właśnie przechodził mjr Okoń. Podeszedłem do niego i referuję opinie oficerów, a równocześnie akcentuję konieczność natychmiastowego wymarszu z kotła, w który sami się wpakowaliśmy. W odpowiedzi usłyszałem stek ordynarnych słów, a równocześnie major ręką sięgnął do kabury:

— Zabiję cię, klecho!

Oficerowie chwycili jak jeden za pistolety i skierowali w stronę majora”.

Rozkaz wymarszu „Okoń” wydaje dopiero około 11:00, ale nasyp trzeba już zdobywać w krwawym natarciu. Pierwszym oddziałom udało się przekroczyć linię kolejową i kiedy zapanowała radość, że to jednak możliwe, od Skierniewic nadjechał pociąg pancerny, masakrując żołnierzy ogniem po obu stronach toru, przy okazji niszcząc też jedyne działo polowe, jakie mieli partyzanci (według innych relacji utracili je wcześniej w czasie przemarszu, tak czy inaczej nie odegrało większej roli w bitwie). Po porażce w natarciu na tor „Okoń” zdecydował się na obronę w miejscu i przetrwanie zgrupowania do nocy. O ile od południa Niemcy blokowali tor i następowali od strony północnej, od strony Baranowa, o tyle od wschodu i zachodu teren był jeszcze otwarty. Ale rozkaz był — wytrwać do nocy. Czas działał na niekorzyść Polaków. Około 16 „Okoń” zmienił decyzję, nakazując atak w kierunku północno-zachodnim, przy czym sam major „Okoń” już po wydaniu tego rozkazu rozpoczęła przebiecie z kompanią „Zemsta” w kierunku południowym. To natarcie rozpadło się, partyzanci rowami melioracyjnymi pod naszymi cofają się w głąb kurczącego się terenu, jaki jest pod ich kontrolą. W tym czasie raz jest widziany major „Okoń”. Stanisław Podlewski, wytrwale zbierający relacje, kilkanaście lat rozliczne relacje, wyraźnie pisze, że nikt do końca nie wie, jak zginął. Miał zdjąć mundur, opaskę i próbować się przedostać jako cywil z powrotem do obojczyka, rzekomo miał być wtedy zastrzelony przez jednego ze swoich podkomendnych w akcie rozpaczki, miał też — uznając swoją odpowiedzialność za zagładę zgrupowania — popełnić samobójstwo. Ciała jego nie znaleziono. Znalazł się w liczbie blisko 200 żołnierzy zgrupowania, którzy zginęli tego dnia pod Jaktorowem. Około 120–180 żołnierzy zostało rannych, około 200 dostało się do niewoli bądź zostało uznanych za zaginionych. Dokładna liczba strat była trudna do określenia. Wielu żołnierzy wzięli do niewoli Węgrzy, puszczając później Polaków wolno. W samych Budach Zosinych doszło do sytuacji, kiedy grożąc bronią Honwedzi stworzyli kordon oddzielający wziętych do niewoli „swoich” Polaków od oddziału SS, których chciał ich przejąć. Trudno się dziwić, że dowództwo niemieckie niechętnie używało ich w walkach z polską partyzantką.

Z kotła z bronią w ręku wyrwał się m.in. „Dolina” na czele kilkudziesięciu ludzi. Wyrwał się także dywizjon 27 pułku ułanów pod dowództwem Zdzisława Nurkiewicza ps. „Nieczej”¹⁶⁸, idąc do jednej z ostatnich szarż w dziejach polskiej kawalerii, nie tyle z szabłami, ile z granatami w rękach. Jak opisywał kpr. Franciszek Kosowicz ps. „Maciejka”¹⁶⁹ we wspomnieniu pomieszczonym w książce Adolfa Pilcha „Doliny” — „Partyzanci trzech puszczy”:

„Nieprzyjaciel ulokowany przed nami na koloniach, ostrzeliwuje nas zawięciem, został chyba zaskoczony, ponieważ jego ogień stał się chaotyczny. Odpowiadaliśmy mu w pełnym biegu. Przejeżdżając galopem koło nieprzyjacielskich stanowisk, rzucaliśmy nie zatrzymując się granaty, nie zważając na to, że sami możemy dostać odłamkami. Dopadliśmy wreszcie słabo uszkodzonego terenu, ale nareszcie mieliśmy jaką taką osłonę. Nieprzyjaciel nie mógł nas teraz razić ogniem bezpośrednim”.

O zmierzchu przeliczają się po szarzy. Górą niesie się być może huk artylerii od Warszawy. Gdzieś tam umiera powstańcy Żoliborz. Ułani zbierają się na przedmieściach Żyrardowa, formują znowu kolumnę do ataku. Ruszają, ale ich uderzenie trafia w próżnię

¹⁶⁸Zdzisław Nurkiewicz ps. „Nieczej” (1901–1980) — podoficer rezerwy WP, uczestnik kampanii 1939 r., żołnierz ZWZ/AK, od 1942 roku organizował, a następnie dowodził dywizjonem 27 pułku ułanów, awansowany do stopnia podporucznika walczył na jego czele w latach 1944–1945, po wojnie w 1959 roku aresztowany przez SB, skazany na wieloletnie więzienie. [przypis edytorski]

¹⁶⁹kpr. Franciszek Kosowicz ps. „Maciejka” (1928–2017) — od 1941 r. żołnierz ZWZ/AK, walczył jako partyzant w Zgrupowaniu Stołpecko-Nalibockim, a następnie w Grupie „Kampinos” AK, w 1945 r. aresztowany przez NKWD, zbiegł, przedostał się do Włoch, później wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, zmarł w Los Angeles. [przypis edytorski]

— miasto jest opustoszałe, bowiem wszystkie jednostki garnizonowe są zaangażowane w walkach pod Jaktorowem i Budami Zosinymi. Przelatują w galopie ulicami, kierując się na południe, razem około 120–140 konnych pod bronią. Ktoś być może patrzy na nich ze zdumieniem zza zaciemnionych okien ceglanych budynków, jak na fantomy wrześnie-owego wojska, a ci jak duchy rozplývają się w ciemnościach, żeby dołączyć za kilka dni do oddziałów 25 pułku piechoty AK pod Piotrkowem. Na miejskim bruku nie zostają po nich nawet ślady podków. Jakby byli zjawami. Tylko jeszcze nikt im tego nie powiedział, że już nie ma ich świata, a nawet nie ma ich samych, chociaż wydają się sobie — teraz w galopie, w stukocie kopyt, charczeniu końskich chrap — żywi, realni.

ZAŻARTE WALKI. STRZELEC AN- DRZEJ LANDAU

Czytasz te frazeologizmy „zażarte walki”, „dowody żołnierskiej odwagi”, „zacięta obrona”, ale co to w zasadzie znaczy? Czy jest jakiś miernik, urządzenie, którym to można zmierzyć? Jest sześćdziesiąty pierwszy dzień czuwania. Na propozycję poddania się, wystosowaną 28 września przez gen. Källnera, dowódcę wszystkich sił, jakie Niemcy zgromadzili przeciwko powstańcemu Żoliborzowi, dowódca obrony, płk. Mieczysław Niedzielski ps. „Żywiciel”, odpowiada kontrpropozycją, żeby to Niemcy poddali się Powstańcom, bo przecież wojna się kończy i widać, kto ją przegrywa. Żołnierze zgrupowania „Żywiciel” wiedzą, że po różnych walkach, które toczyły się z większą lub mniejszą intensywnością wokół dzielnicy — nadchodzi dzień ostateczny. Nie były, jak się okazuje, tym dniem walki o Marymont, próby zdobycia Dworca Gdańskiego, próby nawiązania łączności z desantem berlingowców z prawego brzegu. Od kilku dni ostrzał Żoliborza przybiera na sile, 28 września osiągając rozmiary huraganowe. Nocą, kiedy ostrzał cichnie, słychać przemieszczające się kolumny zmechanizowane, chrzęst gąsienic ciężkich pojazdów bojowych. Niektórzy uważają, że Niemcy będą się cofać, że cisza na froncie na wysokości Warszawy oznacza, że Sowietci podjęli jakiś manewr poza Warszawą, i Niemcy, sami zagrożeni okrążeniem, szykują się do odwrotu. Wątpliwości nie mają chyba tylko żołnierze szturmowej kompanii „Żniwiarza” w ruinach fabryki „Opla”¹⁷⁰. Są blisko stanowisk kolaboracyjnych oddziałów RONA. Stamtąd słyszą wieczorem krzyki:

— Pany Powstańce! Jutro wasz ostatni dzień!

Nazajutrz, czyli 29 września, Niemcy uderzają na Żoliborz ze wszystkich stron, a po jednym odpartym natarciu następuje kolejne, uszkodzony czołg zastępuje sprawny i tak do zmierzchu toczą się te „zażarte walki”. Szczególnym miejscem jest Klasztor ss. Zmartwychwstaniek, pierwotnie szpital polowy, od 17 sierpnia obsadzony przez Zgrupowanie „Żyrafa”¹⁷¹ i trzymany do tej pory w powstańczych rękach mimo ponawianych natarć. W pewnym momencie ostrzeliwany bez przerwy budynek zaczyna się walić. Strzelec Andrzej Landau ps. „Wirski”¹⁷² zostaje zasypany do pasa gruzami w części budynku, z której trzeba natychmiast się wycofać. Koledzy próbują go odkopać, ratować, ale nie mają sprzętu, łomów ani oskardów, nic, tylko gołe ręce. Dwie godziny trwa obrona odciętego plutonu Lewskiego, walka tyleż o utrzymanie stanowisk, co o wydobycie strzelca „Wirskiego” z potrzasku. Wreszcie strzelec Andrzej Landau ps. „Wirski” prosi kolegów, żeby już poszli i zostawili mu pistolet oraz kilka magazynków. Nie rezygnują. Dopiero kiedy Niemcy podpalają piwnice pod miejscem, gdzie walczą koledzy „Wirskiego”, spełniają jego prośbę, zostawiają mu broń i wycofują się. „Wirski” czeka na Niemców i kiedy się pojawiają, strzela do nich do przedostatniego naboju. Ostatni zostawia dla siebie. Jak podaje Stanisław Podlewski, kiedy w 1945 dokonywano ekshumacji, w ruinach klaszto-

¹⁷⁰w ruinach fabryki „Opla” — Mieściła się ona przy ulicy Włociańskiej. [przypis edytorski]

¹⁷¹Zgrupowanie „Żyrafa” — Zgrupowanie „Żyrafa” powstało 1 sierpnia 1944 r., toczyło walki na Żoliborzu i brało udział w natarciach na Dworzec Główny. [przypis edytorski]

¹⁷²Andrzej Landau ps. „Wirski” — Andrzej Landau ps. „Wirski” (1928–1944) — kapral AK, w powstaniu walczył w Zgrupowaniu „Żniwiarz”, następnie w Zgrupowaniu „Żyrafa”, poległ 29 września. [przypis edytorski]

ru znaleziono szkielet strzelca „Wirskiego”. Stojący szkielet. Jak mityczny Cúchulainn¹⁷³ w ostatniej bitwie, wiedząc, że zginie, ciężko ranny przywiązuje się do słupa, żeby przyjąć śmierć na wyprostowanych nogach, nie na kolanach, tak strzelec „Wirski”, zasypany przez gruzy, bez możliwości, by upaść, przyjmuje swój los w pozycji wyprostowanej. Brzmi jak opowieść starego wiarusa, spełnienie długiego, pełnego bohaterskich czynów życia wojownika? Być może, tylko że strzelec „Wirski”, Andrzej Landau (niech to Imię powtórzy się jeszcze raz, warte jest pamiętania i powtarzania w myślach) w dniu 6 sierpnia 1944 roku obchodził swoje 16 urodziny.

Tej nocy w kwaterze „Żywiciela” stawiają się wszyscy dowódcy zgrupowań, aby omówić nowy plan obrony. Straty w poszczególnych kompaniach i batalionach są znaczące — od 30 do 80%, z niektórych pododdziałów — od 50 do 100%. Najbardziej ciężko jest dwukrotnie ranny, dowodzi leżąc na noszach, dowódca kompanii „Żyrafa”. Pojawia się plan natarcia na wał wiślany z czołką, z którego jutro, pojutrze mogłyby Powstańcy wyrzucić Niemców. Armia Berlinga. W sztabie „Żywiciela” jest trzech kwatermistrzów, którzy są w kontakcie z tamtymi. Nikt tylko nie wie, że sztab Berlinga jest w rzeczywistości czytany przez niemiecki kontrwywiad.



29 września w Śródmieściu zapada decyzja o ponownym podjęciu rozmów z Niemcami o ewakuacji cywilów z miasta. O 6 rano 30 września 1944 roku płk Karol Ziemiński ps. „Wachnowski”, legendarny dowódca obrony Starego Miasta, wraz porucznikiem Jerzym Kamińskim ps. „Ścibor”¹⁷⁴ przekraczają linię barykad na ulicy Żelaznej i z zawiązanymi przez Niemców oczami udają się do kwatery generała von dem Bacha w Ożarowie. Von dem Bach wita generałów serdecznie, podkreśla jak bardzo mu zależy na zawieszeniu broni, jak bardzo nie wierzą w powodzenie pertraktacji jego bezpośredni przełożeni w Berlinie. Częstuje polskich oficerów „camelami” z amerykańskich zrzutów z 18 września, proponuje kawę, próbuje dyskutować kwestie wojskowe i polityczne. Stara się akcentować fakt, że rozmawia jak równy z równymi. Wygląda na to, że porozumienie o zaprzestaniu walk od dnia następnego w celu umożliwienia ludności cywilnej opuszczenia miasta będzie lada moment zawarte, wygląda na to, że w dniach 1 i 2 października od 5 do 19 obie strony nie będą prowadziły działań zbrojnych ani ostrzału, a ludność cywilna będzie mogła swobodnie opuścić Śródmieście. Ale „Wachnowski” i „Ścibor” chcą koniecznie włączyć do porozumienia Żoliborz, o którym wiedzą tyle, że walczy. Tak. Tam się toczą zażarte walki. Von dem Bach odmawia, argumentując, że tam nie ma ludzi, z którymi można by rozmawiać, że tam są sami bolszewicy i komuniści, którzy na propozycję kapitulacji potrafią odpowiadać wyłącznie w sposób obraźliwy. Von dem Bach ma na myśli pewnie kontrpropozycję „Żywiciela”, żeby to Niemcy poddali się jego zgrupowaniu. Po chwili wychodzi z pokoju odebrać meldunek i polscy oficerowie zostają przez moment sami. „Ścibor” podchodzi do stołu, niby to podziwiając kwiaty stojące w wazonie, i widzi na stole rozpostarty plan Warszawy pokryty czerwonymi i niebieskimi strzałkami, liniami. Widzi wyraźnie, że w tej chwili — jest ciągle przedpołudnie 30 września — obrońcy Żoliborza zostali zepchnięci w obręb kilku ulic i zarazem są oddzieleni od Wisły wąskim pasem terenu z wałem przeciwpowodziowym. Obaj bez słów wiedzą, co się kryje za tymi strzałkami, liniami. Może nie wiedzą, że w tej chwili w ostatnim już, nieudanym szturmie resztki zgrupowania „Żyrafa” próbują właśnie zdobyć i utrzymać wał, wierząc deszpernie od berlingowców, że o 11 postawiona zostanie zasłona dymna na rzece, że będzie osłona artyleryjska, lotnicza i będą pontony. W pierwszym impiecie udaje im się zdobyć koronę wału, przebiec na drugą stronę, ale w otwartym terenie, bez zasłony, pod ogromną przewagą ogniową Niemców nie mają szans się utrzymać, tym bardziej, że z drugiej

¹⁷³ Cúchulainn — wojownik pojawiający się w mitologii irlandzkiej, niepokonany w walce dzięki niezwykłej włócznie Gae Bulg, według podań w swej ostatniej bitwie został ciężko ranny i aby utrzymać się na nogach oraz kontynuować walkę, przywiązał się do drzewa. [przypis edytorski]

¹⁷⁴ porucznik Jerzy Kamiński ps. „Ścibor” (1906–1990) — uczestnik kampanii 1939 r., w konspiracji od 1939 w SZP/ZWZ/AK, początkowo w Poznaniu, później w Warszawie, w powstaniu zastępca komendanta Kwatery Głównej Komendy Okręgu Warszawskiego AK, uczestnik rozmów kapitulacyjnych w dniu 30 września, po wojnie zmienił nazwisko na Jerzy Ścibor i wyjechał do Wielkiej Brytanii, angażował się w życie polityczne, wchodząc w skład trzech rządów emigracyjnych. [przypis edytorski]

strony rzeki nie widać żadnych oznak działania. Tego mogą nie wiedzieć „Wachnowski” ze „Ściborem”, ale obraz sytuacji, jaki mają, jest i tak przeraźliwie jasny.

Tymczasem von dem Bach wraca do pokoju. „Wachnowski” i „Ścibor” oświadczają, że jeżeli się zgodzi, są skłonni, po uzyskaniu odpowiednich pełnomocnictw Komendy Głównej AK, udać się do kwatery Källnera¹⁷⁵ i przez niemieckie linie przejść na tereny zajęte jeszcze przez Powstańców, aby skłonić „Żywiciela” do kapitulacji. Von dem Bach się zgadza. Oficerowie wiedzą, co znaczy termin „zażarte walki”, wiedzą, że teraz w zasadzie gra idzie o to, żeby przetrwać jeszcze kilka dni w negocjacjach, przekonać się jeszcze raz, że rzeczywiście Warszawa jest sama i nie ma żadnej nadziei, ale już jak najmniejszym kosztem ludzkim. Spieszą się. Już o 12:40 „Wachnowski” znowu przekracza linie polskich barykad, gotowy na podróż do kwatery głównej generała Källnera. Niemiecki generał gra na zwłokę, licząc, że obejdzie się bez kapitulacji. Jest wściekły, widać, że chce krwi. Z drugiej strony — ma wyraźne rozkazy von dem Bacha nakazujące wstrzymanie ognia na godzinę i danie szansy polskim oficerom na zmuszenie obrońców do kapitulacji. Wreszcie zgadza się i daje „Wachnowskiemu” czas od 17:00 do 18:00. „Wachnowski” powiewa białą flagą w stronę budynków po drugiej stronie i krzyczy z okien budynku sklepu ze słodyczami firmy „Fuchs”:

— Jesteśmy od generała Bora! Przerwijcie ogień!

— To szaleńcy — mówi do „Wachnowskiego” niemiecki oficer obok — oni strzelają ze stanowisk objętych pożarem!

Czas płynie, a nie udaje się nawiązać kontaktu. Inny młody niemiecki oficer mówi z boku do „Wachnowskiego” (znowu za Podlewskim):

— Oni nie chcą z wami rozmawiać. Nasze czołgi zrobią z nimi porządek.

A jeszcze inny — zbliża się godzina 17:40 — mówi:

— Nie możecie dojść do swoich? Za chwilę puścimy „Goliaty”¹⁷⁶, one utworzą do nich drogę.

Wreszcie porucznikowi „Ściborowi” udaje się o godzinie 17:50 dotrzeć, unikając polskich kul, do linii barykad. Za nim linię przekracza pułkownik „Wachnowski”. Mają dziesięć minut. Docierają do willi przy ulicy Dygasińskiego 13, gdzie w piwnicy na noszach leży „Żywiciel”. „Wachnowski” pyta o jego zamiary, „Żywiciel” odpowiada — obrona do ostatka. Zapada cisza. „Wachnowski” przerywa milczenie:

— Z polecenia Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych nadaję panu, pułkowniku, Krzyż Orderu Virtuti Militari klasy V.

Po czym prosi pozostałych oficerów o opuszczenie pomieszczenia. Wtedy informuje „Żywiciela” o tym, że Niemcy deszyfrują wszystkie radiogramy, jakie wymienia z berlingowcami, że przebijanie się do Wisły w oczekiwaniu na przesuniętą rzekomo z 11:00 na 20:00 ewakuację będzie kolejną masakrą. Czas leci. „Wachnowski” mówi o potrzebie oszczędzania ludzi, mieszkańców, że „Bór”-Komorowski sugeruje kapitulację. Płynie minuta za minutą, aż wreszcie świeżo odznaczony orderem za męstwo na polu walki pułkownik Mieczysław Niedzielski unosi się na posłaniu i mówi:

— Zgadzam się...

O godzinie 18:19 zostaje przerwany ogień, o godzinie 23:00 oddziały na Żoliborzu składają broń. Garść ludzi przebija się na prawy brzeg. W ukryciu pozostaje kilkunastooosobowy oddziałek Żydowskiej Organizacji Bojowej¹⁷⁷ z Markiem Edelmanem¹⁷⁸, oni nie mogą liczyć na traktowanie jak jeńcy wojenni, dobrze o tym wiedzą. Ruiny Żoliborza opuszczają dopiero w listopadzie.

¹⁷⁵Hans Källner (1898–1945) — generał niemiecki, w czasie powstania dowódca 19 Dywizji Pancerniej, poległ w kwietniu 1945 r. niedaleko Ołomuńca. [przypis edytorski]

¹⁷⁶„Goliat” (właśc. *Leichter Ladungsträger Sd.Kfz. 302, 303 „Goliath”*) — niemiecka zdalnie sterowana samobieżna mina, służyła do wysadzania w powietrze fortyfikacji nieprzyjaciela bez narażania się na straty w ludziach, szeroko wykorzystywana przez Niemców w powstaniu warszawskim. [przypis edytorski]

¹⁷⁷Żydowska Organizacja Bojowa (ŻOB) — konspiracyjna organizacja zbrojna utworzona 28 lipca 1942 r. w getcie warszawskim. Jej komendantem był Mordechaj Anielewicz. W kwietniu 1943 r. ŻOB wywołała w getcie warszawskim powstanie. Jej ocalałe członkowie walczyli w powstaniu warszawskim w szeregach Armii Ludowej. [przypis edytorski]

¹⁷⁸Marek Edelman ps. „Marek” (1919 lub 1922–2009) — polski lekarz pochodzenia żydowskiego, bojownik ŻOB, uczestnik powstania w getcie warszawskim i jego ostatni przywódca, walczył w powstaniu warszawskim, po wojnie pozostał w kraju, w PRL angażował się w działalność opozycyjną. [przypis edytorski]

Powstańcze Polskie Radio nadaje tego dnia 30 września między innymi takie słowa (za A. K. Kunerterem):

„Warszawa — zawsze nieugięta — nieodmiennie walczy. Dwa miesiące 44 roku — sierpień i wrzesień — przekreśliłyśmy czerwoną wstęgą naszej krwi. Za wolność dwóch miesięcy po pięciu latach niewoli, oddaliśmy wszystko co posiadaliśmy [...]. O, bracia żołnierze, bijący Niemców na wszystkich frontach Europy, was wołamy z otchłani bólu Warszawy — przybywajcie. Warszawa wciąż jeszcze walczy”.

ŻE JEST KTO DOWODZI, ŻE WAL- KA TRWA

Rankiem 1 października wchodzi w życie porozumienie między dowództwem Powstania a Niemcami o ewakuacji ludności cywilnej i zawieszeniu działań zbrojnych między godziną 5:00 a 19:00. W rękach Powstańców znajduje się już tylko Śródmieście, a w nim około 250.000 mieszkańców. Nie ma już oddziałów partyzanckich w Kampinosie, upadł Czerniaków, Żoliborz, Mokotów, milczy radiostacja i Frontu Białoruskiego. Nikt ze sztabu „Bora”-Komorowskiego nie wie, że żadna z wysłanych poprzez Londyn do Moskwy depezy do Rokossowskiego nie dotarła. Od 28 września nie ma zrzutów ze strony sowieckiej, od 22 września nie ma zrzutów z baz alianckich we Włoszech, od 6 września nie ma prądu, woda jest tylko ze studni kopanych na podwórzach kamienic. Paradoksalnie w tych dniach uzbrojenie Powstańców przedstawia się stosunkowo najlepiej. Już na Żoliborzu po kapitulacji jest mowa o przejęciu kilkuset karabinów zwykłych, kilkuset pistoletów maszynowych, kilkudziesięciu rusznic sowieckich i angielskich PIAT-ów, zapasów amunicji idących w dziesiątki tysięcy sztuk. Jedna trzecia obrońców Żoliborza miała sowieckie „pepesze”. W Śródmieściu wreszcie stany osobowe są zgrane ze stanami uzbrojenia. Broni jest mniej więcej tyle, ile potrzeba dla ludzi. Odpowiedzialne są za to nie tylko zdobycze wojenne oraz zrzuty alianckie i sowieckie, ale także ogromne straty wśród oddziałów. Stan uzbrojenia wzrósł, stany osobowe spadły.

Przez cały dzień trwa ruch ludności cywilnej na stronę niemiecką. Jest umiarkowany. Przez barykady przechodzi około 8000 osób, głównie kobiety z dziećmi. Niewiele. I nie chodzi tylko o to, że wychodząc z miasta, trzeba wszystko porzucić, że wolno ze sobą zabrać tylko tyle z dorobku całego życia, ile jest się zdolnym unieść we własnych rękach. Trudno w to uwierzyć, ale ludność cywilna nie chce opuszczać miasta bez armii. Bo jeżeli armia zostaje, to jest nadzieja na wyzwolenie, wytrwanie, oczekiwanie wolności. Bo — wreszcie — armia wyrosła właśnie z tej ludności. Von dem Bach jest zaskoczony małą ilością cywilów opuszczających Warszawę i podejrzewa podstęp. Ale tego dnia w sztabie KG AK zostaje podjęta decyzja, że rozmowy kapitulacyjne mają być kontynuowane już następnego dnia — 2 października 1944 roku. Wiadomo, że huragan dywizji pancernych, który zmiotł w trzy dni Mokotów i dwa dni potrzebował na zmasakrowanie Żoliborza, teraz skieruje się w całości przeciwko Śródmieściu, zapewne najpierw przeciwko części południowej, a potem centralnej. Obie dzielnice są oddzielone od Wisły szerokim pasem zabudowy miejskiej. Nie ma szans, aby ktokolwiek z obu tych dzielnic przebił się do Wisły, tym bardziej, że front nad Wisłą milczy już prawie dwa tygodnie.

Tymczasem nad miastem zapada cisza. Dziwna, dzwoniąca w uszach. Ludzie wychodzą z piwnic. Grzebią w ruinach, zabezpieczają resztki dobytku w piwnicach, szukają bliskich — żywych czy umarłych. Za Władysławem Bartoszewskim — fragment relacji Jerzego Brauna¹⁷⁹:

„Na Kruczej, koło Hożej powstał od razu targ, ruchomy bazar uliczny. Wymieniano dolary, kupowano latarki elektryczne (po dolarze sztuka),

¹⁷⁹Jerzy Braun — Jerzy Braun ps. „Bronisław Rogowski” (1901–1975) — polski pisarz, poeta, dramaturg, publicysta, polityk, uczestnik powstania warszawskiego, ostatni Delegat Rządu na Kraj (od 28 czerwca 1945 r.) i przewodniczący Rady Jedności Narodowej, więziony przez władze komunistyczne w latach 1948–1956, wyemigrował i mieszkał w latach 1965–1975 w Rzymie, gdzie zmarł. [przypis edytorski]

sprzedawano papierosy. [...] Ludzie w trudnych warunkach, które były dla Warszawiaków czymś w rodzaju końca świata, myśleli nie tylko o własnym ekwipunku, ale otwarli szafy i komody dla wszystkich źle odzianych, zwoływali, przymierzali, wywlekali coraz to nowe pończochy, płaszcze, szaliki, cierpliwie dopasowywali je do potrzeb bliźnich, zazwyczaj pierwszy raz w życiu widzianych. I dziwna rzecz: ludzie nie rozpaczali, nie biadali nad utratą swoich dóbr osobistych, nad opuszczeniem swoich domów i sprzętów. Była w nich jakaś cudowna, imponująca obojętność dla materii, stoicyzm posunięty do granic humoru, jakaś wspaniała pogarda bogów dla dobytku ziemskiego i mamony”.

Polskie Radio „Błyskawica” nadaje tego dnia komunikat:

„Istotnie jest prawdą, że Niemcy już nigdy nie zdobędą Warszawy. Warszawa już nie istnieje”.

O godzinie 19:00, równo z upływem terminu zawieszenia broni, ponownie odezwał się niemiecka artyleria. Władysław Bartoszewski wspomina, że paradoksalnie ten odgłos niszycielskiej działalności Niemców zostaje przyjęty przez wielu ludzi z ulgą po całym dniu ciszy. Widomy znak tego, że mimo wszystko walka trwa. Wojsko trwa. Że w tej nocy jest, kto dowodzi. Że walka trwa.

PAN BOLESŁAW, KIEDY WALKA PRZESTAJE MIEĆ SENS, ZAMIERZA SIĘ W RZEŹ

Jako dziecko bardzo lubiłem Pana Bolesława i Panią Wandę. O tym, że Pan Bolesław był przedwojennym członkiem Komunistycznej Partii Polski, którego nie udało się rozstrzelać Stalinowi i że Pani Wanda była z AK i pochowała w Powstaniu pierwszego męża, miałem się dowiedzieć dużo później. Dużo za późno, żeby zadać wiele pytań. Jako dziecko uwielbiałem syjamskiego kota Kacpra, który wylegiwał się na meblach i pokój Pana Bolesława, niewielką klitkę pełną książek i tajemniczych przedmiotów poupychanych na półkach, między książkami, wiszących na ścianie. Był tam hełm, bagnet, lornetka — tyle pamiętam. Pamiętam twarz Pana Bolesława, krzaczaste, zawsze lekko uniesione brwi, przedwojenny wąsik pod nosem. Wydawał mi się wielki, szczególnie przy drobnej Pani Wandzie. I nie traktował mnie jak dziecko, co ogromnie mnie fascynowało, rozmawiał ze mną jak z dorosłym. Nie ukrywał nic, nie ściemniał.

Bywało, że zamykał się z mną w swoim pokoiku i niespiesznie pokazywał coś ze swoich skarbów. Kilka razy obdarował mnie książkami, które szczególnie mnie fascynowały, rodzice mówili, że nie, że masz oddać, ale nie oddałem, a pewnie Pan Bolesław by nie przyjął. Bo to było między nami — mną i Nim, a nie między nim a rodzicami.

W pokoju Pana Bolesława zawsze było lekko przytłumione światło lampki, która stała pozostawiana ze wszystkich stron jakimiś przedmiotami. Na makatce od strony okna wisiły dwa bagnety.

— Jak chcesz, możesz wziąć do ręki — powiedział Pan Bolesław i podał mi jeden z nich — ten jest niemiecki — dodał dla porządku. Złapałem za rękojeść i wysunąłem go z pochwy.

— Popatrz tutaj — Pan Bolesław wskazał na wyżłobienie mniej więcej w połowie szerokości główki wielkości mojego dużego palca — ten rowek nazywaliśmy z kolegami na wojnie „krwiopijcą”. Kiedy się wbiło taki bagnet w człowieka, on odprowadzał krew o tutaj i ona spływała w dół, nie brudziła nam broni i rąk.

Poprzez uniesione krzaczaste brwi zawsze wydawało mi się, że zawsze się ironicznie uśmiechał.

— Ale tym nie walczyłem, jest zdobyczny — mruknął, zdjął ze ściany drugi bagnet i podał mi — ten jest polski, wzór 29, tym trochę pracowałem...

— Naprawdę? — spotkanie z kimś, kto naprawdę walczył w wojnie, dla chłopca w wieku sześciu albo siedmiu lat było czymś wstrząsającym.

— Tak, we wrześniu 1939 trochę nim robiłem — wydawało się, że ciągle się uśmiecha, patrząc na ostrze bagnetu w moich dłoniach — byłem w grupie generała Bołtucia¹⁸⁰ w Armii „Pomorze”, przebijaliśmy się przez Kampinos znad Bzury do Warszawy. I tutaj, niedaleko, koło Łomianek i Wólki Węglowej, zrobiło się naprawdę nieciekawie, by nie powiedzieć źle. I generał Bołtuć zebrał nas wokół siebie, powiedział tylko „Panowie, bagnet na broń” i poszliśmy za nim.

— I co było dalej?

— Generał gdzieś nam zniknął w tej walce, potem się okazało, że zginął, ale my przebiliśmy się do Warszawy, ale tylko po to, żeby tydzień później kapitulować...

— Jak to?!

— Ano tak to — Pan Bolesław zdawał się cały czas ironicznie uśmiechać — jak nie ma potrzeby ani szans, to się nie walczy, po prostu. Byliśmy okrążeni, pomocy nie można było się spodziewać znikąd, więc nie było sensu walczyć. Kiedy walka nie ma sensu, zamienia się w zwykłą rzeź, wiesz?

Wtedy nie wiedziałem, że Pan Bolesław uciekł spod okupacji niemieckiej do strefy sowieckiej, że zaciągnął się do Armii Czerwonej, że został przydzielony do rozpoznania i jako oficer plutonu rozpoznawczego przeżył piekło wojny z Finlandią. Czasem powtarzał, że Fin jest najlepszym żołnierzem na świecie, wytrwałym, chytrym i potrafiącym zabijać. Pan Bolesław zaciągnął się do wojska tworzonego w ZSRR po wyjściu Armii Andersa i przeszedł cały szlak bojowy od Lenino, poprzez Wisłę, przyczółki warszawskie, aż do bitwy o Kołobrzeg, w czasie której został zrzucony na przeszpiegi w mundurze estońskiego SS-mana, znając tylko kilka słów po łotewsku i fińsku. Gdybym wiedział i miał świadomość, z kim rozmawiam, pewnie zadałbym o wiele więcej pytań. Na przykład o tę pierwszą kapitulację Warszawy, którą przeżył jako żołnierz i tę drugą, pięć lat później, kiedy — tak myślę — wsłuchiwał się w ciszę, jaka nastąpiła drugiego października o piątej rano. Zapytałbym o sens tej i tamtej walki. Chociaż mam niejasne podejrzenie, że umiem sobie w przybliżeniu zrekonstruować jego odpowiedzi.

2 października 1944 był drugim dniem ewakuacji ludności cywilnej ze Śródmieścia. Znowu liczona ona jest w tysiącach, a nie dziesiątkach czy setkach tysięcy. Cywile oglądają się na swoją armię, nikt teraz się nie spieszy do opuszczenia miasta. Całą noc Niemcy ostrzeliwali obszar opanowany przez Powstańców, w wyniku ostrzału zginął m.in. Stefan Kwaśniewski ps. „Quas”¹⁸¹ w batalionie „Sokół” wystawionym przez Korpus Bezpieczeństwa — strzelec wyborowy, jeden z najlepszych w swoim oddziale, w cywilu dziennikarz „Wieczoru Warszawskiego”. To jeden z ostatnich żołnierzy, jacy zginęli w Powstaniu. Rano znowu cisza i znowu ruch ludności cywilnej przez barykady w stronę stanowisk niemieckich. Nadal śladowy — kilkanaście tysięcy. Wieczorem nie nastąpi już wznowienie ognia, Komenda Główna AK podejmuje kolejne rokowania, tym razem już o pełnej kapitulacji na bazie przygotowanego w ciągu dnia projektu umowy kapitulacyjnej. Do kwatery von dem Bacha udają się pułkownik Kazimierz Iranek-Osmecki ps. „Jarecki”¹⁸² i Zygmunt Dobrowolski ps. „Zyndram”¹⁸³. Początkowo von dem Bach będzie nalegał na natychmiastowy „gest dobrej woli” w postaci rozbrojenia oddziałów i rozebrania barykad. Oficerowie odmawiają, najpierw żądając uznania podstawowych zasad, na jakich zostanie podjęta kapitulacja i ustalenia porządku, w jakim ludność cywilna oraz wojsko będzie opuszczać Warszawę. Von dem Bach znowu próbuje zagadywać, wspomina swoje polskie korzenie, wyraża żal, że Polska nie została sprzymierzeńcem Niemiec w wielkiej krucjacie

¹⁸⁰generał *Mikołaj Bołtuć (1893–1939)* — generał WP, w 1939 r. dowódca Grupy Operacyjnej „Wschód” w Armii „Pomorze”, na czele której walczył nad rzeką Osą i w bitwie nad Bzurą. Mianowany dowódcą placówki w Palmirach samowolnie podjął decyzję o przebijaniu się do Warszawy, poległ 22 września w nieudanym natarciu pod Łomiankami. [przypis edytorski]

¹⁸¹*Stefan Kwaśniewski ps. „Quas”* — Stefan Kwaśniewski ps. „Quas” urodził się w 1898 roku. [przypis edytorski]

¹⁸²pułkownik *Kazimierz Iranek-Osmecki ps. „Jarecki” (1897–1984)* — oficer służby stałej WP, w 1939 r. w stopniu podpułkownika w sztabie Naczelnego Wódza, od grudnia tegoż roku w ZWZ, przedostał się na Zachód, zrzucony w kraju jako cichociemny w marcu 1943 r. Przed powstaniem i w jego trakcie szef Oddziału II Komendy Głównej AK. Był głównym negocjatorem strony polskiej w pertraktacjach kapitulacyjnych z Erichem von dem Bachem. Po wojnie na emigracji w Wielkiej Brytanii. [przypis edytorski]

¹⁸³*Zygmunt Dobrowolski ps. „Zyndram” (1897–1972)* — oficer służby stałej WP, w 1939 r. w stopniu majora zastępca szefa Oddziału III sztabu Armii „Kraków”, w konspiracji od grudnia tegoż roku, pełnił wysokie funkcje sztabowe w Komendzie Głównej AK, uczestniczył w negocjacjach w sprawie kapitulacji powstańców. Po wojnie pozostał w kraju. [przypis edytorski]

na Wschodzie, czego do dzisiaj, po siedemdziesięciu czterech latach, żałuje młody polski historyk Piotr Zychowicz. Jaka szkoda, że Zychowicz urodził się 36 lat po upadku Powstania i nie mogli się spotkać z von dem Bachem. Przecież mieliby sobie tak wiele do powiedzenia.

Tymczasem polscy oficerowie pomijają te próby zagajenia zimnym milczeniem. Nawiązują do praw kombatanckich oraz gwarancji bezpieczeństwa tak dla żołnierzy, jak i członków władz cywilnych, także za działalność podejmowaną przeciwko Niemcom przed 1 sierpnia 1944 roku. Von dem Bach się zgadza. Krzywi się tylko na żądanie uznania także praw kombatanckich żołnierzy Polskiej Armii Ludowej¹⁸⁴, Korpusu Bezpieczeństwa¹⁸⁵ i Armii Ludowej¹⁸⁶. Pyta, czy doprawdy polscy oficerowie chcą podejmować temat komunistów i bolszewików przy tej okazji, jednak Iranek-Osmecki i Dobrowolski informują, że bez tego rozmowy kapitulacyjne nie ruszą z miejsca i to jeden z podstawowych warunków. Von dem Bach ustępuje i w tej kwestii. Po 19, mimo że formalnie wynegocjowane 30 września porozumienie przestaje obowiązywać — Niemcy nie wznowiają ostrzału. Szczegółowe negocjacje trwają do drugiej w nocy 3 października. Według ustaleń wymarsz jednostek ze Śródmieścia odbędzie się 4 i 5 października, po tym terminie pozostaną jeszcze uzbrojone jednostki osłonowe, pilnujące polskich szpitali polowych, do 16 października będzie działać misja łącznikowa. Do końca października będą działać niektóre polskie szpitale. Można się zatem spierać o to, czy Powstanie trwało 61, 63 czy 66 dni. Można się spierać, co to znaczy „brak celowości dalszej walki”. Dźwięczy mi w uszach opowieść Pana Bolesława, przedwojennego komunisty, żołnierza 1939 roku, który szedł na bagnety w jednym szeregu z generałem Bołtuciem, jednym z sześciu generałów, którzy zginęli w 1939 śmiercią żołnierza i oficera, rzucając swoim podwładnym w krytycznym momencie rozkaz „za mną!”, a nie „naprzód!”. A to czyni wielką różnicę.

Ale to jeszcze nie na teraz. Są jeszcze dwa-trzy dni na to, żeby ochłonąć, posłuchać tej ciszy nad miastem ruin, której nie rozprasza sekcja smyczków ani dźwięk fortepianu, ani w ogóle żaden dźwięk. Jest szare, jesienne niebo, w powietrzu czuć chłód, który się już nie cofnie. To jest rewers Godziny „W”. Warto ją sobie przypomnieć, bo ta chwila ciszy jest z tamtą chwilą nierozłącznie związana. Pod gruzami leżą tysiące ludzi, wielu z nich nie ekshumowanych do dzisiaj, w kanałach są zwały ciał, tak wysokie, że tamują przepływ ścieków (na takie ludzkie tamy natrafiali ludzie próbujący wytyczać trasy z Mokotowa, Czerniakowa, Żoliborza), zalegają trupy na Woli, Starym Mieście. Na Żoliborzu i w wielu innych miejscach trwa już robinsonada tych, którzy postanowili zostać wbrew wszystkiemu w gruzach. Postanowili, albo nie mieli innego wyjścia, tak jak wielu Żydów, którzy przeżyli eksterminację getta, Powstanie Kwietniowe¹⁸⁷ i Powstanie Warszawskie.

Gdzieś nieopodal linii powstańczych barykad odpoczywa specjalny pułk Oskara Dirlewangera złożony z więźniów kryminalnych, wslawiony bezprzykładnym okrucieństwem, ale też jedna z najbardziej zużytych jednostek niemieckich w tej bitwie. Był stale zasilany kolejnymi transportami z więźniów kryminalnych z całych Niemiec. Po wyliczeniu tych uzupełnień, stanu wyjściowego pułku i stanu końcowego, historycy wyliczają straty ludzkie tej jednostki niemieckiej na od 2500 do 3771 zabitych, rannych i zaginionych przy stanie wyjściowym około 860 ludzi, co daje od ponad 300 do ponad 400% strat. Ludzie walczący w tym pułku — słowo „żołnierze” jednak nie przechodzi przez gardło — wiedzieli, że u Powstańców nie mają co liczyć na pardon. Pułkiem tym gardził sam von dem Bach, nazywając walczących w nim kryminalistów „bandą świń”. Ale chętnie używał tych świń na najtrudniejszych odcinkach. Bo ci, którzy nie mogli liczyć na pardon, tak-

¹⁸⁴*Polska Armia Ludowa (PAL)* — lewicowa konspiracyjna organizacja zbrojna utworzona w 1943 r., jej przywódcą był Henryk Borucki. Jej żołnierze uczestniczyli w powstaniu warszawskim. Rozwiązana w styczniu 1945 r., większość jej członków wstąpiła do ludowego Wojska Polskiego. [przypis edytorski]

¹⁸⁵*Korpus Bezpieczeństwa (KB)* — konspiracyjna organizacja wojskowa, w 1944 r. podporządkowała się Polskiemu Komitetowi Wyzwolenia Narodowego, włączona we wrześniu 1944 r. do Połączonych Sił Zbrojnych, porozumienia AL, PAL i KB. [przypis edytorski]

¹⁸⁶*Armia Ludowa (AL)* — konspiracyjna organizacja zbrojna utworzona przez komunistyczną Polską Partię Robotniczą 1 stycznia 1944 r. na bazie działającej od 1942 r. Gwardii Ludowej. Jej oddziały walczyły w powstaniu warszawskim w sojuszu taktycznym z AK, prowadziły również działania partyzanckie na terenie GG (głównie w centralnej i wschodniej Polsce). Dowódcą AL był Michał Rola-Żymierski. Liczebność AL. Jest przedmiotem sporów wśród historyków, najczęściej przyjmowane szacunki to 30–50 tysięcy żołnierzy. [przypis edytorski]

¹⁸⁷*Powstanie Kwietniowe* — Chodzi o wzniecone przez Żydowską Organizację Bojową powstanie w getcie warszawskim, które trwało od 19 kwietnia do 16 maja 1943 r. [przypis edytorski]

że pardonu nie dawali. Pułk Dirlewangera niebawem ruszy na Słowację tłumić kolejne powstanie¹⁸⁸, a później zostanie przekształcony w brygadę i wreszcie w dywizję, jednak w 1945 roku nie odegra już większej roli. Oskar Dirlewanger dostanie się do niewoli we francuskiej strefie okupacyjnej w Althausen, 1 czerwca 1945 roku, kiedy zostanie przyłapany na przebieraniu się w cywilne ubranie i rozpoznany przez jednego ze świadków. Akt zgonu Dirlewangera z 7 czerwca 1945 roku wskazuje na naturalne przyczyny śmierci. Nie jest do końca jasne, jak umarł jeden z katów Warszawy i dlaczego, ale niemieccy historycy wspominają o tym, że Francuzi oddali go pod straż polskich żołnierzy, którzy w nocy z 4 na 5 czerwca pobili go na śmierć. Nikt nie badał dokładnie tego przypadku. Był i nie ma.

Tymczasem Powstańcy są jeszcze u siebie, pod bronią, dowódcy przekazują podkomendnym decyzję o rokowaniach, o kapitulacji. Jak zawsze w takich wypadkach — reakcje są nieprzewidywalne. Pamiętam relację jednej z łączniczek Zgrupowania „Radosław”, która opowiadała o tym w jednym z wielu filmów dokumentalnych o Powstaniu. Nie umiem teraz tej opowieści połączyć z konkretną osobą, odnaleźć w morzu innych historii, wywiadów, opowiadań. Mówiła, że na wieść o kapitulacji wszyscy, którzy przeżyli, dosłownie garsteczka kilkuset ludzi, chłopców i dziewcząt, zebrała się w zrujnowanym lokalu, który był kiedyś zapewne restauracją. Ktoś znalazł gramofon i kilka płyt, ktoś przyniósł wino, o które często było łatwiej niż o wodę. Z pamięci powtarzam za tamtą starszą panią, która mimo upływu lat miała jakiś dziwny błysk w oku:

— Grał patefon, pod nogami chrzęścił nam gruz i potłuczone szkło. A my całą noc piiliśmy wino, tańczyliśmy tanga i walce i płakaliśmy. Wszyscy. Niemal bez słów.

DRUGIE WIDZENIE TYMOTEUSZA

Siedzieliśmy we dwóch obok stosu książek koło mojego biurka. Masz etap pytania, więc pytałeś, czy możesz wejść pod futerały gitar Taty albo czy możesz usiąść na tym czy tamtym stosie książek. Potem wziąłeś popiersie Włodzimierza Wysockiego i postawiłeś na drewnianym kocie-skarbonce, gdzie zbieram sobie pieniądze na ten wzmacniacz, wiesz, jeden z tych, co je robi Pan Janek z Hajnówki, kopie Fenderów, tylko lepsze od Fenderów¹⁸⁹. Właśnie pokazywałem ci pismo pełne Laktołów, które kupiłem pięć lat temu w Visby, nie wiedząc jeszcze, że będziesz i że Traktor (czyli Laktoł) i Dudzie Ato będzie lekiem na każdy twój ból, smutek i krzywdę. Kupiłem to pismo, bo wydało mi się bardzo oryginalne, że można wydawać wysokonakładowy miesięcznik o traktorach. Nie widziałem nigdy pisma o traktorach. Pomyślałem — warto mieć coś takiego na półce, tak o dla samej przyjemności obcowania z osobliwością. Wydawało mi się, że jesteś bardzo zaabsorbowany traktorami we wszystkich szwedzkich wcieleniach, ciągle pytałeś, pokazując paluszkiem na kolejne zdjęcia:

— A to? A to? A to? — i kiedy doszliśmy do strony, gdzie jakiś stary, zielony, szwedzki traktor stał dęba na zawodach, powiedziałeś — O! Mok! Mok!

Wyjaśniłem ci, że to jednak nie jest smok, tylko traktor, który jest do smoka ładząco podobny. Wtedy podniosłeś wzrok, jakby ci się przypomniało, że coś chcesz mi powiedzieć, popatrzyłeś mi w oczy, a potem wskazałeś palcem na skos dachu za mną i powiedziałeś z poważną miną:

— Pan był, tam, tam.

Obejrzałem się i oczywiście nic nie zobaczyłem. Rząd niskich regałów z Ikei z poupychanymi książkami. Pod skosem dachu, na który wskazywałeś, były świadectwa zagłady

¹⁸⁸*ruszy na Słowację tłumić kolejne powstanie* — Słowackie powstanie narodowe trwało od 29 sierpnia do 28 października 1944 r. Jego celem było wyrwanie Słowacji spod wpływów Niemiec i przejście do obozu państw alianckich. Niemcy zdołali stłumić wystąpienie słowackie, które podobnie jak warszawskie nie doczekało się zdecydowanego wsparcia wojsk sowieckich. [przypis edytorski]

¹⁸⁹*Fender* — Fender — założone w 1946 roku przedsiębiorstwo amerykańskie zajmujące się produkcją instrumentów i akcesoriów muzycznych. Marka Fender szybko stała się synonimem wysokiej jakości wykonania wspomnianych artykułów. [przypis edytorski]

i cierpienia wielu narodów. Hołodomor¹⁹⁰, Tybet¹⁹¹, Dachau¹⁹², Korea Północna¹⁹³, Gulag¹⁹⁴, Chiny¹⁹⁵, Kambodża¹⁹⁶, Cael Perechodnik¹⁹⁷, Treblinka¹⁹⁸, Wiesenthal¹⁹⁹. Nad nimi polskie powstania narodowe oprócz Warszawskiego, które w stosach zaległo wokół biurka i na biurku.

— Pokażesz mi synku, gdzie był Pan? — zapytałem, a Ty wstałeś natychmiast z podłogi, podszedłeś do mnie z wyciągniętą rączką. Podąłem ci rękę, wstałem i poszedłem za Tobą kilka kroków, schylając głowę, bo skosy mamy nad wyraz niskie na poddaszu. Powierzchnia użytkowa wyliczona przez dewelopera, kiedy kupowaliśmy dom, wynosiła niecałe pięć metrów kwadratowych, po podłodze czterdzieści, ale to się dla sprzedawcy nie liczyło, bo on nigdy nie miał tylu książek. Skosy odcięliśmy na wysokości metra, akurat w sam raz na najtańsze regały z Ikei.

— O tu, o tu! — pokazałeś na zaułek między ścianą, półką a poręczą oddzielającą ten zakamarek poddasza od schodów. — Tutaj Pan był, lano, lano był Pan.

— Aha... — podtrzymałem rozmowę, chociaż nie wiedziałem, czy to miało cokolwiek wspólnego z tym Panem, którego widziałeś w sierpniu na schodach i który poszedł na górę do Taty.

— Pan dudzi, a Tata mały — powiedziałaś i pokazałeś, jaki ten Pan był duży i jaki Tata przy nim mały. Nie do końca rozumiałem, jak dudzi pan mieścił się w miejscu, w którym byłem schylony w pół, a ty dodałeś — I mama mały, a Pan dudzi!

— Hm, a mówił coś ten Pan?

— Mówił, mówił, tam Pan, tam... — byłeś wyraźnie zaaferowany historią, jaką chciałybyś mi opowiedzieć, dysponując zaledwie kilkudziesięcioma słowami.

— Ale co mówił? — wiedziałem, że to głupie pytanie, już kiedy je zadawałem. No jak miałbyś mi powiedzieć, co ten Pan mówił, głupi tata.

— a Tata... a Tata... — zacząłeś przeciągać, jak zawsze kiedy do jednego słowa musisz dodać więcej niż jedno, albo jedno, ale rzadko używane i wiem, że Ty wiesz, jakie to słowo, jak ono brzmi, bo je rozumiesz, operacja w Twojej główce już zaszła, tylko trzeba do tego dopasować aparat mowy, a z tym jeszcze jest kłopot. Więc zapauzowałaś, powtarzając „tata”, zbierając siły do kolejnego komunikacyjnego skoku, żeby wreszcie wystrzelić: — puci-moka, ale to Tata i pise... i musi Tata to on o i o nie — przerwałaś i jeszcze raz pokazałeś na zaułek za poręczą — o — Pan tam!

¹⁹⁰*Holodomor* — Hołodomor — potoczna nazwa ludobójstwa prowadzonego przez władze komunistyczne w latach 1932–1933 poprzez zagłodzenie mieszkańców Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej wchodzącej w skład ZSRR. Według szacunków wskutek niedożywienia zmarło od 6 do 10 milionów ludzi. [przypis edytorski]

¹⁹¹*Tybet* — W 1959 roku w Tybecie wybuchło antychińskie powstanie, po którego stłumieniu władze Chińskiej Republiki Ludowej przeprowadziły okrutne represje wobec Tybetańczyków. [przypis edytorski]

¹⁹²*Dachau* — Obóz koncentracyjny Dachau (*Konzentrationslager Dachau*) został założony przez nazistów już w 1933 roku jako pierwsza tego rodzaju placówka, stając się protoplastą i wzorem organizacyjnym dla kolejnych obozów. Zginęło w nim kilkadziesiąt tysięcy ludzi. [przypis edytorski]

¹⁹³*Korea Północna* — Utworzona 9 września 1948 r. komunistyczna Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna jest państwem, w którym do dzisiaj panuje bezwzględny totalitaryzm, prawa człowieka są rutynowo łamane, a ludność w latach 1995–1999 nawiedziła klęska głodu spowodowana nieudolnym zarządzaniem reżimu. [przypis edytorski]

¹⁹⁴*Gulag* — Archipelag „Gulag” to potoczna nazwa systemu łagrów — obozów pracy przymusowej w ZSRR. Przez kilkadziesiąt lat istnienia państwa sowieckiego przetrzymywano w nich kilkadziesiąt milionów ludzi, z których zmarło lub zostało zamordowanych ok. 3 milionów osób. [przypis edytorski]

¹⁹⁵*Chiny* — W XX wieku jedną z największych katastrof humanitarnych jakie dotknęły Chiny była klęska głodu w latach 1959–1961, której bezpośrednią przyczyną była nieudolna polityka industrializacji i kolektywizacji zainicjowana przez Mao Zedonga. Ofiarą głodu mogło paść wedle szacunków nawet 45 milionów ludzi. [przypis edytorski]

¹⁹⁶*Kambodża* — W latach 1975–1979 w Kambodży panował ekstremistyczny reżim tzw. Czerwonych Khmerów, którzy wymordowali około 1,5 miliona mieszkańców własnego kraju. [przypis edytorski]

¹⁹⁷*Cael Perechodnik (1916–1944)* — polski inżynier agronom żydowskiego pochodzenia, w czasie okupacji przebywał w getcie w Otwocku, gdzie służył w Żydowskiej Służbie Porządkowej, od 1942 do 1944 ukrywał się w Warszawie, uczestnik powstania warszawskiego, zginął w październiku 1944 r. w niejasnych okolicznościach. Pozostawił po sobie pamiętnik, w którym poddał ostrej krytyce postawę zarówno Polaków, jak i Żydów wobec niemieckiego ludobójstwa. [przypis edytorski]

¹⁹⁸*Treblinka* — Obóz zagłady w Treblince działał od lipca 1942 r. do listopada 1943 r. Szacuje się, że w jego komorach gazowych zginęło około 800 tysięcy ludzi. [przypis edytorski]

¹⁹⁹*Simon Wiesenthal (1908–2005)* — więzień niemieckich obozów koncentracyjnych, po wojnie w 1947 r. założył Jewish Historical Documentation Center, które zajmowało się zbieraniem świadectw i dowodów niemieckich zbrodni. Przyczynił się m.in. do ujęcia Adolfa Eichmanna. [przypis edytorski]

I tak oniemiałem, bo oczywiście nic nie rozumiałem, a to, co rozumiałem, mogło być przecież projekcją moich oczekiwań, wynikających z kontekstu, miejsca, następstwa zdarzeń i tego, z czego sam pomału się wynurzam. Ostatecznie był wieczór 2 października 2018 roku. Po chwili wróciliśmy do zabawy, ale jeszcze dwa razy prowadziłeś mnie w miejsce, gdzie był Pan i próbowałeś coś powiedzieć o wizycie, która miała miejsce „lano” tego dnia. Byłeś spokojny, nie mówiłeś, że się boisz. Zatem nie był to chyba żaden groźny Pan. Nawet jeżeli Tata zbudził coś zbyt głośnym nocnym stukaniem w klawiaturę, to chyba jest tak, że upiory odchodzą, a gwardia zostaje. Pewnie dlatego mimo tego, że Twoja Mama pyta, czy coś mi się śni, jakby w oczekiwaniu, że muszę cierpieć na kosmary, albo chociaż muszą do mnie wracać wyobrażenia, kadry ze zdjęć, twarze ludzi, ich głosy — od początku sierpnia śpię spokojnie, nic mi się nie śni. Oczywiście to nie musi nic znaczyć. Zupełnie nic.

GDY SIĘ WYPALI JUŻ POWSTANIE CIEMNYM BŁYSKIEM

— I co będziesz robił jak już skończy się to Powstanie? — zapytała żona wieczorem. Nie odpowiedziałem. Perspektywa tego, że to już, koniec, po wszystkim, wydała mi się dziwna, wbrew intencjom powiało czymś chłodnym. A może tak mi się wydawało, bo na dworze nieźle wiało i nagle jakby zawyło w kominie. Po upale z przełomu sierpnia i września, z czasem miałem poczucie wewnętrznego pustynnienia. Coraz mniej książek zalegało biurko, coraz więcej lądowało obok, na podłodze, po jakimś czasie nawet w coraz bardziej przemyślnym, uporządkowanym stosie — cięższe, większe na dole, lżejsze na górze, żeby się nie przewróciło, niezależnie od tego, co to za książki. Tak jak w życiu, chciałoby się powiedzieć. Porządek biurka i wokół biurka mówi coś o porządku w głowie. „Rozwój duchowy zaczyna się od tego, że porządkuję biurko” — tak miałem kiedyś powiedzieć przyjacielowi, a on z tego rozwinął całkiem spory esej. Może rzeczywiście pejzaż wokół miejsca pracy w jakimś stopniu odzwierciedla pejzaż wewnętrzny autora. Zatem powolne składanie stosów, coraz mniej aktywów, aż przychodzi noc z 3 na 4 października i okazuje się, że w obrocie pozostają dwie, może trzy książki. Już tylko tyle. Trzeba kiedyś schłodzić głowę, odpocząć.

Głowa, która tyle nocy bolała przed snem, kiedy czułem się, zamykając oczy, jak ogłuszony po wielu godzinach w jakimś blaszanym pudle, jakby ktoś założył mi wiadro na głowę i wiele godzin tłukł w nie czymś twardym — stygnie. Dziwna cisza. Wszystko teraz stygnie, pustoszeje, dogasają pożary. 4 października 1944 roku zgodnie z tekstem umowy kapitulacyjnej ma wyjść do niewoli pierwszy pułk Powstańców.

Trwają gorączkowe porządki, stopniowe niszczenie broni, zacieranie śladów, wydawanie fałszywych dokumentów AK tym, którzy z różnych względów obawiają się, że ich prawa kombatanckie nie będą uszanowane, na przykład żołnierzom AL (mimo wszystko), żołnierzom pochodzenia żydowskiego. Niektórzy przebierają się w cywilne ubrania i decydują się na dołączenie do ludności cywilnej, żeby kontynuować konspirację. Taką decyzję podjęto już wcześniej, gdy chodzi o gen. Leopolda Okulickiego ps. „Kobra”, „Niedźwiadek”²⁰⁰, który opuszcza Warszawę jeszcze 2 października i udaje się do Częstochowy dla podtrzymania działalności KG AK. Nadawane są odznaczenia, awanse, zamykane sprawy kancelaryjne. Tego dnia KG AK wypłaca wszystkim żołnierzom równy żołd bez względu na przynależność i stopień — 2000 złotych i 7 (według innych relacji 20) dolarów.

Wymarsz głównych sił ze Śródmieścia odbywa się 5 października, najpierw wymarszerowuje sztab i Komenda Główna AK, następnie pozostałe oddziały defilują z pełnym

²⁰⁰gen. Leopold Okulicki ps. „Kobra”, „Niedźwiadek” (1898–1946) — oficer służby stałej WP, w kampanii 1939 roku w sztabie Naczelnego Wodza, następnie w sztabie Armii „Warszawa”, w latach 1940–1941 Komendant ZWZ na obszarze okupacji sowieckiej, aresztowany przez NKWD w styczniu 1941 r., opuścił ZSRR z tzw. Armią Andersa, zrzucony do kraju jako cichociemny w maju 1944 r., objął funkcję I zastępcy szefa sztabu Komendy Głównej AK. Jeden z głównych zwolenników rozpoczęcia powstania w Warszawie, od 1 października 1944 r. do 19 stycznia 1945 r. Komendant Główny AK, następnie Komendant Główny organizacji „NIE”. Ponownie aresztowany przez NKWD w marcu 1945 r., sądzony w tzw. procesie szesnastu, zamordowany przez Sowieców w więzieniu w Moskwie w grudniu 1946 r. [przypis edytorski]

uzbrojeniem przed swoimi przełożonymi i wchodzą między posterunki niemieckie, gdzie następuje zdawanie broni. Potem wszyscy maszerują do tymczasowego obozu jenieckiego w Ożarowie, skąd są rozwożeni do właściwych obozów jenieckich. Do rana 9 października w Warszawie pozostanie 300 żołnierzy batalionu „Kiliński” i około 120 batalionu „Miłosz”. Z ponad 15 tysięcy jeńców, jacy znajdują się w przejściowym obozie w Ożarowie, 5789 zostanie wysłanych do największego obozu jenieckiego Lamsdorf (Łambinowice).

Tam też skierowana zostanie grupa młodocianych żołnierzy-ochotników Powstania, obliczana na około 600 jeńców w wieku od 11 do 16 lat. Jednak łącznie jeńców w wieku od 11 do 18 lat było, jak się oblicza, około 3600 — w tym 1100 chłopców i 2500 dziewcząt. Dysproporcja wynikała z tego, że chłopcy częściej służyli z bronią w rękę i częściej — pochyceni z bronią w rękę — byli rozstrzeliwani na miejscu, chociaż zdarzały się oczywiście wyjątki — takie jak los wszystkich obrońców reducty Wilanowska 1 na Czerniakowie, skąd nikt nie wyszedł żywy, ani ranni, ani dziewczęta, ani młodociani. Ta grupa — powtórzę to jeszcze raz: około 3600 jeńców — w wieku 11–18 lat to są najmłodszy jeńcy od kiedy obowiązują konwencje haskie. Są żołnierzami, którzy do swojej armii wstąpili ochotniczo, nie z poboru, często wbrew wszystkim wokół, także wbrew dowódcom, często zawyżając wiek, klucząc, udając, wracając oknem, kiedy komendant wyrzucił drzwiami. Nie, nie są aż tak mali, jak chłopiec będący pierwowzorem pomnika Małego Powstańca na Starym Mieście w Warszawie, ale tak, w zasadzie według dzisiejszej nomenklatury są dziećmi. Dziećmi, które widziały i przeżyły śmierć, zniknięcie, aresztowanie kogoś bliskiego, czasem najbliższego, tak jak sanitariuszka Róża Goździewska, lat 8, znana z fotografii Eugeniusza Lokajskiego, pomagająca w szpitalu polowym przy ulicy Moniuszki 11 (przeżyła Powstanie, wyszła z miasta z ludnością cywilną, zmarła w we Francji), która przeżyła aresztowanie Taty, rozstrzelanego w 1943 roku przez Niemców. Ostatecznie niejedyn dowódca, komendant, często pod wpływem swoich podkomendnych ulegał, tym bardziej, że śmierć w tej bitwie tak samo spotykała cywilów, jak żołnierzy. Może nawet cywilów częściej i bardziej okrutnie.

Transport, wyładunek, marsz do obozów odbywał się w tragicznych warunkach. Niemcy bili, kłuli bagnietami, szczuli psami. Miejscowa ludność cywilna zbierała się na trasie przemarszów jeńców, rzucając w nich grudami błota, kamieniami, wyzywając, plując, szturchając, kopiąc. Pierwszą noc lub noce jeńcy spędzali często bez względu na pogodę bez wyżywienia pod gołym niebem. Także dlatego, że często baraki w obozach już były przepełnione i bez interwencji komendantury obozów nikt sam z siebie nie chciał zrobić nowego miejsca. Jeńców często ograbiano, zabierano pamiątki, elementy ubioru. Wszystkich traktowano pogardliwie, nazywając „polnische Banditen aus Warschau”. Ten los dorosłych jeńców był także losem młodych Powstańców, w tym kobiet-jeńców.

18 października 1944 roku do Lamsdorf przyjedzie niemiecka ekipa filmowa, jeńcy z Powstania zostaną zwołani na apel, a następnie padnie rozkaz, by wystąpili nieletni żołnierze. Zamyśl propagandowy był taki, że niemiecka kronika miała zachęcać młodych ludzi do wstępowania do Volksstrumu, formacji ostatniej nadziei, złożonej z poborowych w wieku 15–60 lat, którzy do tej pory nie zostali wcieleni do Wehrmachtu ze względu na wiek albo stan zdrowia, coś na wzór pospolitego ruszenia. Jest jesień 1944 roku, Niemcy mają kłopoty na wszystkich frontach — zastój na linii Wisły uratował ich prawdopodobnie przed klęską jeszcze w 1944 roku, ale z orbity wypadła im latem Finlandia, która zmieniła front i już we wrześniu podjęła działania przeciwko Niemcom oraz Rumunia, sowieckie armie pancerne wwały się na Bałkany, a alianci, mimo blamażu pod Arnhem²⁰¹ powolnym, mozolnym marszem doszli do granicy Niemiec. Wiadomo, że zbliża się dzień ostateczny dla Niemców i Niemiec. Film z motywem nieletnich żołnierzy miał odegrać rolę propagandowego uzasadnienia dla totalnej mobilizacji społeczeństwa. Na podaną komendę pomiędzy powstańczych szeregów zaczęli występować po kolei 11, 12, 13, 14, 15-latkowie. W miarę jak rosła grupa na środku placu apelowego, niemiecka ekipa przerywała filmowanie. Zrozumieli, że ten obraz nie przekaże odbiorcom nic, poza tym, że

²⁰¹*Arnhem* — We wrześniu 1944 roku alianci przeprowadzili wielki desant spadochronowy w Holandii, którego celem było opanowanie mostów na Kanale Wilhelminy, rzecze Waal i na Renie, a tym samym otwarcie drogi do Zagłębia Ruhry. Wskutek błędów w rozpoznaniu i planowaniu operacji oraz mało energicznej realizacji akcja zakończyła się klęską aliantów, zaś walcząca w rejonie Arnhem brytyjska 1. Dywizja Powietrznodesantowa poniosła tak wielkie straty, że właściwie przestała istnieć. [przypis edytorski]

beprzykładne zbydlęcenie narodu i państwa niemieckiego w czasie tej wojny wyprodukowało chęć odwetu, zemsty, dla której nie ma porównania w dziejach. A to dało Warszawie żołnierzy-ochotników, jakich nie miała żadna inna armia na świecie.

W grupie 554 chłopców, którzy 18 października 1944 roku zdecydowali się ujawnić swój wiek i wystąpić na plac apelowy — a nie wszyscy podjęli taką decyzję — było 18 kawalerów Krzyża Walecznych, 3 kawalerów Orderu Virtuti Militari, 206 zaś w czasie działań zbrojnych w uznaniu zasług bojowych było awansowanych na wyższe stopnie wojskowe do stopnia porucznika włącznie.

Tymczasem jest 4 października. Pobojojwisko stygnie. Ludność cywilna opuszcza miasto, kierując się do Dulagu²⁰² 121 w Pruszkowie. Do niewoli wymaszerowują żołnierze 15 Pułku piechoty AK, czyli żołnierze zgrupowań „Chrobry II” i „Gurt”, za nimi nad ruinami niesie się ostatni komunikat Radia „Błyskawica”. Zaraz po jego nadaniu obsługa zniszczy urządzenia nadawcze, których Niemcom mimo prób namierzenia, bombardowania, zagłuszania nie udało się uciszyć do końca Powstania:

„Oto naga prawda. Potraktowano nas gorzej niż satelitów Hitlera, gorzej niż Włochy, Rumunię, Finlandię. Niechaj sprawiedliwy Bóg osądzi straszliwą krzywdę, jaką cierpi naród polski, i niechaj ześle zasłużoną karę na wszystkich, którzy ponoszą winę. Tvoi bohaterowie to żołnierze, których jedyną bronią przeciwko czołgom, samolotom i działom są pistolety i butelki z benzyną. Tvoi bohaterowie to kobiety, które opatrywały rannych i przenosiły meldunki pod gradem kul, które przygotowywały w zbombardowanych piwnicach zrujnowanych domów jedzenie dla dorosłych i dzieci i które nosły pociechę umierającym. Tvoi bohaterowie to dzieci, które bawiły się spokojnie wśród dymiących ruin. To lud Warszawy. Naród, który potrafił wykrzesać z siebie tak powszechne bohaterstwo, jest narodem nieśmiertelnym. Bo ci, którzy zginęli, już zwyciężyli, a ci, którzy żyją, będą walczyć i zwyciężać i znów dawać świadectwo, że Polska żyje, póki żyją Polacy”.

Tylko że to wcale jeszcze nie jest koniec.

GDZIE JEST GRÓB CALELA PE-RECHODNIKA

To już nie czuwanie. To grzebanie. Bez gorączki, jakby ostatkiem sił, bez bojowego zapału. Tak jak rozgrzebuje się wypalone popioły. Dokonało się. Otwarta rana, jaką stało się miasto, nie zarasta, raczej tężeje, zstała się w tym kształcie, w jakim została zadana. To już nie miasto, to wielki, szarzejący strup. W ruinach jednak zostają nieliczni ludzie. Nie mam tutaj na myśli asystencyjnej resztki oddziałów strzegącej ewakuacji powstańczych szpitali, która 9 października rano opuszcza Warszawę. Nie mam na myśli ludzi, którzy ukrywając się w piwnicach i schronach, nie zauważyli, nie dowiedzieli się, że Powstanie upadło (choć można było się tego domyślić po nagłej ciszy trwającej od kilku dni) — chociaż i tacy się trafiali, szczególnie w rejonach, przez które pożoga oblężenia przetoczyła się stosunkowo wcześniej. Tym bardziej, że do wielu zrujnowanych budynków, z obawy przed minami, Niemcy nie wchodzili długo, albo nie wchodzili w ogóle. To stwarzało warunki do odnalezienia sobie szczeliny, jamy, w której można było próbować przetrwać ile się da. A nikt nie wiedział ile.

Wśród tych ukrywających się są tacy, którzy nauki wstępne z nieistnienia mają opalone znacznie lepiej, którzy w tej szkole niebytu są najbardziej zaawansowani. Ludzie, którzy znali kanały o wiele lepiej niż Powstańcy na grubo rok zanim Powstanie Warszawskie wybuchło. Ilu ich było na terenie Warszawy w Godzinie W? Kilka, kilkanaście tysięcy? Nie tworzyli zwartej społeczności, byli rozproszeni, nawet nie zdziesiątkowani, bo przymiotnik, który należałoby utworzyć dla oddania stanu, w jakim znalazła się ich pierwotna społeczność, i tak niewiele by mówił. Pamiętasz scenę z „Czasu Apokalipsy”,

²⁰²Dulag — skrót od *Durchgangslager*, obóz przejściowy dla ludności cywilnej. [przypis edytorski]

kiedy pułkownik Kurtz mówi o tym, jak obserwował ślimaka pełzającego po krawędzi ostrza? To właśnie oni, ludzie ze skraju otchłani, wywieszani nad nią jak garść suchorostów wżarta w jakąś garść ziemi sypniętą przypadkiem na krawędzi. Żydzi.

Nie stanowili jednej grupy. Rozproszone losy ludzi należących do różnych organizacji, albo nienależących już do niczego i nikogo. I jeden wspólny mianownik. Żadnych złudzeń, żadnej wielkiej nadziei.

Najbardziej barwną spośród tych grup stanowili ci uwolnieni przez batalion „Zośka” 5 sierpnia 1944 roku z obozu przy ul. Gęsiej, ulokowanego w ruinach dawnego Getta i zwanego „Gęsiówką”. Kilkuset Żydów i Żydówek z całej Europy, nie mówiących po polsku, zdanych całkowicie na dobrą wolę powstańczych władz i ludności stolicy, z trudem wtapiających się w otoczenie. Wielu z nich starało się o przydział do oddziałów powstańczych, często mieli potrzebne umiejętności. Podobno wśród uwolnionych Żydów był mechanik, który pomagał przy zdobyciu przez zgrupowanie „Radosław” dwóch czołgach „Pantera”. Wielu innych imalo się prac pomocniczych przy budowie barykad, kopaniu rowów, w szpitalach, wytwórniach powstańczego sprzętu. Nie działo się tak tylko dlatego, że chcieli walczyć, chociaż w wielu wypadkach na pewno też. Mogło też chodzić o to, że przynależność do wojska w obcym środowisku dawała im możliwość zdobycia żywności, zdobycia podstawowego poczucia bezpieczeństwa, przetrwania. Żyd z kiepskim wyglądem, bez znajomości realiów, środowiska i języka nie miał szans włączyć się w życie społeczności cywilnej. Naturalną koleją rzeczy trzymali się swoich oddziałów i spływali razem z nimi w stronę Starego Miasta, dzieląc z mieszkańcami i żołnierzami los unicestwianej dzielnicy. Po upadku Starego Miasta ci, którzy przeżyli, najczęściej byli rozstrzeliwani doraźnie, tam gdzie zastali ich zdobywcy ruin.

Przeżyli ci, którzy razem z innymi wyszli kanałami. Wśród nich był Peter Forro ps. „Paweł”, węgierski Żyd, znakomicie znający niemiecki, strzelec w 3 kompanii batalionu „Parasol”, w końcowej fazie walk na Czerniakowie — świetny strzelec PIAT-a. Wspominają go Tadeusz Grigo („Powiśle Czerniakowskie 1944”) i Aleksander Kamiński („Zośka i Parasol”). Tak pisze o ataku na budynek Banko PKO na ul. Okrąg 2 pierwszy z nich:

„Czołg z lufą działa skierowaną w budynek PKO, sunął powoli z terenu gazowni [...] nagle z drugiego rogu, z domu pod numerem 7a przy ulicy Ludnej, „Paweł” strzelił ze swojego „piata”. Zawsze był niezawodny. Tym razem też. Czołg stanął w płomieniach”.

[14 września]

„[...]Trzy czołgi, nie niepokojone przez powstańców, zbliżyły się powoli do rogu ul. Okrąg. Gdy pierwszy znalazł się w odległości około 50 metrów od stanowiska „piata”, na rozkaz pchor. „Lota” — „Paweł” wystrzelił. Pocisk rozerwał się około metra przed czołgiem, co wystarczyło, by wszystkie zawróciły[...]”

[15 września]

O tej samej akcji zdaje się pisać Kamiński:

„[...] Gdy okazało się, że broń przeciwpancerna plutonu berlingowców nie działa skutecznie w rękach jej obsługi, Jurek Lot zdecydował, że należy użyć piata, do którego miał już tylko trzy granaty. Paweł, obsługujący tego piata, miał szczęśliwą rękę: za drugim strzałem obezwładnił najbliższe działo szturmowe, dwa pozostałe po krótkim namyśle wzięły na hol wrak i zniknęły wraz z nim. Paweł nie mówi po polsku, to Żyd węgierski z Gęsiówki, który wraz ze swym kolegą Belą stał się żołnierzem „Parasola””

Wiadomo, że 22 września w czasie walk w rejonie magazynów „Społem” na ulicy Wilanowskiej „Paweł” jako władający biegle językiem niemieckim został wytypowany jako parlamentarzysta do rozmów z Niemcami dotyczących poddania się części Powstańców i zanim zdążył dojść do wrogich linii pod białą flagą — został zastrzelony. Może ktoś po tamtej stronie zapamiętał, że dzień czy dwa wcześniej zaproponował Niemcom w nie-nagannej niemczyźnie, żeby sami się poddali Powstańcom. Nie natknąłem się na żadne

zdjęcie Petera Forro z PIAT-em, którego tak niezawodnie obsługiwał. Jest w ogóle mało zdjęć Żydów z bronią. Nie mieli swojego biura propagandy.

Wśród Żydów byli też ci, którzy ukryli się cudem po „aryjskiej” stronie miasta po Powstaniu, nazywanym Powstaniem w getcie, a które niektórzy historycy nazywają dużo godniej — Kwietniowym, stawiając je w jednym rzędzie z polskimi narodowymi zrywaniami z Listopada i Stycznia. Niechciane, niezasymilowane przez polską świadomość, było z ducha przecież polskie, może tylko bardziej rozpaczliwe, beznadziejne, heroiczne, dla samej zasady. Żyjący przywódcy Powstania Kwietniowego — Marek Edelman i Icchak Cukierman²⁰³ — po wyjściu z ukrycia piszą 3 sierpnia 1944 roku odezwę do bojowców z getta, gdziekolwiek są, która jest kolportowana począwszy od 11 sierpnia 1944 roku, pierwszy raz przez „Warszawianka — Wydawnictwo Warszawskiego Okręgowego Komitetu Robotniczego PPS”, a następnie powtórzona zostaje kilkakrotnie na łamach różnych tytułów powstańczej prasy:

„Do obrońców Warszawskiego Getta!

Do pozostałych przy życiu Żydów!

Od trzech dni lud Warszawy prowadzi walkę orężną z okupantem niemieckim. Bój ten jest i naszym bojem. Po upływie roku od pełnego chwały oporu w gettach i obozach „pracy”, od obrony życia i godności naszej, стоимy dziś wspólnie z całym Narodem polskim w walce o wolność. Setki młodzieży żydowskiej i bojowników ŻOB stoją ramię w ramię ze swymi polskimi towarzyszami na barykadach. Walczącym nasze bojowe pozdrowienie.

Wzywamy wszystkich pozostałych jeszcze przy życiu bojowców ŻOB oraz całą zdolną do walki młodzież żydowską do kontynuowania oporu i walki, od której nikomu nie wolno stać z dala. Wstępujcie do szeregów powstańczych. Przez bój do zwycięstwa, do Polski wolnej, niepodległej, silnej i sprawiedliwej.

*Żydowska Organizacja Bojowa
Komendant Antek*

Garstka członków dawnej komendy ŻOB dołącza do Zgrupowania „Róg”, a potem do Armii Ludowej na Starym Mieście. Początkowo komenda AL nie chce dawać im żadnych zadań, chce ocalić tę garstkę pogorzalców. Szybko okazuje się, że na odcinku powierzonym AL najbezpieczniej jest w pierwszej linii, bo stanowiska niemieckie są mniej niż sto metrów od linii powstańczych, zatem nie jest używana tutaj ciężka broń, rejon nie jest bombardowany przez samoloty ani ciężką artylerię, tak jak zaplecze kotła staromiejskiego. Kiedy upadek Starego Miasta staje się bliski, przechodzą razem z AL kanałami na Żoliborz. Po kapitulacji dzielnicy nie decydują się wyjść razem z jeńcami. Nie wierzą, że to dla nich ocalenie, a raczej, że jest to pewna śmierć. Zostają w podziemiach domu przy ulicy Promyka 43 i będą próbowali przetrwać tak długo, jak się da. W połowie listopada podejmą próbę wyjścia. Tak ten dzień zapamięta dr Stanisław Śwital²⁰⁴, w Powstaniu zastępca szefa służby zdrowia Śródmieścia, po Powstaniu szefujący niewielkiemu szpitalikowi w Boernerowie:

„W tym pamiętnym dniu 15 listopada 1944 r. ok. godz. 9 rano weszła do mojego małego, skromnego gabinetu lekarskiego jakaś młoda nieznaną mi kobieta, a stanąwszy przede mną powiedziała: „to pan doktor Śwital” i, nie czekając na potwierdzenie lub zaprzeczenie tych słów, podała mi wyciągniętą ręką małą karteczkę białego papieru, na którym od razu dostrze-

²⁰³Icchak Cukierman ps. „Antek” (1915–1981) — żołnierz Żydowskiej Organizacji Bojowej i Armii Krajowej, uczestnik powstania w getcie warszawskim i powstania warszawskiego, w 1948 roku wyemigrował do Izraela. [przypis edytorski]

²⁰⁴Dr Stanisław Śwital ps. „Wronowski”, „Walerian” (1900–1982) — lekarz, uczestnik kampanii 1939 r., w czasie okupacji angażował się w pomoc Żydom, w powstaniu zastępca szefa sanitarnego Okręgu AK Warszawa-Śródmieście, po wojnie mieszkał w Warszawie. Uehonorowany tytułem Sprawiedliwego wśród Narodów Świata. [przypis edytorski]

głem znany mi dobrze podpis: „Bartosz”. Onże „Bartosz”, prof. dr med. Lesław Węgrzynowski²⁰⁵, były szef sanitarny Warszawa-Śródmieście w Powstaniu Warszawskim, w kilku skreślonych słowach prosił mnie, byłego swego podwładnego, tj. byłego zastępcę szefa sanitarnego Warszawa-Śródmieście, o uczynienie wszystkiego, na co mnie stać, w sprawie, którą przedstawi oddawczyni kartki. Dr Węgrzynowski napisał też, że ja jestem jedynym człowiekiem, w którym widzi nadzieję ratunku dla siedmiu osób. Jasne było, że nie tylko dr Węgrzynowski, ale i kobieta, którą miałem przed sobą, znali mnie: „Bartosz” ze współpracy ze mną, a ona z opowiadania „Bartosza”.

Kobieta, której nie pytałem, kim jest, bo wystarczył mi podpis „Bartosza”, opowiedziała mi, że na Żoliborzu przy ulicy Promyka w piwnicy jednopiętrowego domu siedzi siedmiu powstańców warszawskich: pięciu mężczyzn i dwie kobiety, i że grozi im niechybna śmierć, gdyż w kamienicy tej w przeciwległym szczycie Niemcy rozpoczęli budować umocnienia i w każdej chwili mogą dojść do piwnicy kryjącej powstańców. Dodała przy tym, że powstańcy mają broń i trochę amunicji, ale to ich nie uratuje. Na moje pytanie, skąd ona to wszystko wie — odpowiedziała, że i ona tam była, ale przed paroma dniami wyrwała się stamtąd z koleżanką, aby po drugiej stronie frontu dla odciętych od świata i ludzi szukać pomocy”.

Doktor Śwital organizuje grupę ratunkową złożoną z kilku osób. Każdą z osób, która zgłosiła się do pomocy, przyjmował osobno, bez świadków i pytał, czy jest gotowa na śmierć. Bo rzeczywiście, wyprawa do ruin Warszawy w tamtym momencie była proszeniem się o śmierć. Kiedy grupa ratunkowa dotarła na ulicę Promyka, Niemców w domu, w którym ukrywali się Żydzi, chwilowo nie było. Wszyscy zrzucili z siebie co mogli, żeby upodobnić się do robotników. Najślabi, w tym bardzo źle wyglądający, Edelman zostali położeni na noszach i przykryci kocami. Do rozmów z niemieckimi patrolami po drodze delegowano dwie dobrze wyglądające i władające biegle językiem niemieckim siostry — Marię Syłkiewicz i Barbarę Kinkiel. Trzykrotnie niemieckie czujki zatrzymywały ten dziwny pochód w ruinach i trzykrotnie po dłuższej wymianie zdań — puszczali wszystkich dalej. O tym, kogo udało się uratować ekipie zorganizowanej przez doktora Świtaję, on sam dowiedział się po kilku latach, kiedy spotkał jedną z uratowanych osób — adwokata Zygmunta Warmana.

Byli jednak też i tacy, którzy naprawdę cierpieli na tyfus i nie mieli tyle szczęścia co Edelman i Cukierman. Tak jak Cael Perechodnik, uciekinier z getta w Otwocku, który w latach 1942–43, siedząc na melinie, spisał jeden z najbardziej wstrząsających dokumentów, wydany ostatecznie po wielu latach pod tytułem „Spowiedź”, który zadedykował „sadyzmowi niemieckiemu, polskiej podłości i tchórzostwu żydowskiemu”. Nie szukał w tym tekście rozgrzeszenia, ale odtwarzał krok po kroku mechanizm otumaniania masowej ofiary, mechanikę holocaustu, zakładając, że pisze ostatnie słowa w swoim życiu, nie wierząc w Boga, zbawienie duszy ani żadne przebaczenie poza jednym, które chciałby uzyskać — przebaczeniem swojej żony i córeczki, które — kiedy przyszła godzina wywózki — sam pomógł jako żydowski policjant zapakować do wagonów, które zaplombowane wyjechały z Otwocka w stronę Treblinki.

Perechodnik jednak przeżył na melinie aż do Powstania, został przyjęty jako ochotnik do batalionu „Chrobry II” w Śródmieściu. Podzielił los wielu innych chętnych do walki — był ludzką rezerwą, człowiekiem gotowym do walki, dla którego nie było broni. Później poważnie się rozchorował. A później wraz z innymi osobami zdecydował się pozostać w gruzach Warszawy. List Henryka Romanowskiego wydrukowany w pierwszym wydaniu „Spowiedzi” Perechodnika opowiada resztę tej historii.

„Ob. Pejsach Perechodnik

List wasz z dnia 10 gm, otrzymałem. Niestety mogę wam tylko donieść o utracie waszego brata a mego dobrego przyjaciela, kolegi Calka. Zginął po

²⁰⁵prof. dr med. Lesław Węgrzynowski ps. „Bartosz” (1885–1956) — lekarz, uczestnik obrony Lwowa (1918–1919), wojny polsko-bolszewickiej i kampanii 1939 r., pionier w dziedzinie zwalczania gruźlicy, w powstaniu naczelny lekarz I Obwodu „Radwan” Warszawskiego Okręgu Armii Krajowej, po wojnie przeniósł się do Wrocławia. [przypis edytorski]

kapitulacji Powstania w Warszawie będąc w bunkrze. On był razem z grupą 22 osób. Zostali oni wykryci przez szabrowników, którzy szukali z Niemcami.

Kolega mój jedyny, który się uratował z całej grupy, przypadkowo w nocy grupę naszego bunkra spotkał i zabraliśmy go do nas. Jak on mi opowiadał, to wszyscy z bunkra wyszli na żądanie tych bandytów. Calek będąc po chorobie nie mógł wyjść i zginął w bunkrze, czyli został prawie spalony, wszyscy co powychodzili zostali rozstrzelani na miejscu.

Ja dowiadując się nazajutrz po tragicznym wypadku, poszedłem na miejsce tragicznego wypadku i pochowałem zwłoki mego serdecznego, dobrego przyjaciela, którego starałem się podczas Powstania wszelkimi siłami ratować.

Na pewno wam wiadomo, że był on chory na tyfus i żył w ciężkich warunkach materialnych. Co było w mojej mocy to robiłem, w tak ciężkich warunkach sprowadziłem do niego lekarza.

Niestety należy do tych wszystkich co my wszyscy straciliśmy.

Drogi Przyjacielu! Co do miejsca wypadku i gdzie pochowaliśmy nie jestem w stanie podać adresu. Ja prawdopodobnie będę w najbliższym czasie w Warszawie. O ile nam warunki na to pozwalają, to moglibyśmy się umówić albo spotkać w Warszawie, pokazałbym wam to miejsce. W razie wam to jest niemożliwe, to ja będąc w Warszawie ustalę sam dokładnie miejsce wypadku i wam odpiszę.

Oczekuję na odpowiedź.

Z szacunkiem

Henryk Romanowski”

Nikt do dzisiaj nie wie, gdzie jest grób Calela Perechodnika.

FALLOUT 1944. ROBINSONOWIE

Robinson — to brzmi romantycznie. Wyrzutek, rozbitek, pozostawiony na pastwę żywiołów, budujący świat od zera, od nowa, na nowo określający swoje miejsce wobec natury, no tak. Ale jak to się ma do ludzi, którzy wybrali pogrzebanie żywcem w morzu ruin? Bo to najczęściej była decyzja o pogrzebaniu się żywcem, z niewielką nadzieją na zmartwychwstanie. I co ciekawe, że wielu z tych, którzy byli nazywani warszawskimi robinsonami, nie do końca zgadza się z takim określeniem. Jakby chcieli podkreślić, że w tym nie było nic z klimatu powieści Daniela Dafoe czytanej nawet może w czasach młodości. Różniło ich od pierwowzoru w zasadzie wszystko. Na przykład — Robinson Crusoe czekał na spotkanie z innym człowiekiem, a dla warszawskich robinsonów inny człowiek był źródłem największego zagrożenia. Inni ludzie byli gotowi ich zabić po prostu za to, że są, bez żadnych zbędnych negocjacji. Tak jakby przetrwanie w pustyni wymarłego, dobijanego kolejnymi wyburzeniami, rabunkami i podpaleniami miasta nie było wystarczającym wyzwaniem.

W chwili podejmowania decyzji, o ile to zawsze była decyzja, nikt nie przypuszczał, że front będzie stał na Wiśle, czyli na wyciągnięcie ręki — do stycznia 1945 roku. Do ostatniej chwili przed upadkiem Powstania oczekiwano wznowienia ofensywy sowieckiej, jeżeli nie bezpośrednio, poprzez desant w Warszawie, to pośrednio, przez uderzenia od południa, znad Pilicy, albo od północy, manewrem przez Narew i Wkrę. Szczególnie tę drugą wersję Rosjanie mieli dobrze ugruntowaną historycznie — raz tak zrobił Paskiewicz w 1831 roku, a drugi raz próbował Tuchaczewski w 1920. Jeżeli wziąć to pod uwagę — decyzja, by zamaskować się i pozostać w mieście, nie wydawała się wcale taka zupełnie nierozsądna. Szczególnie gdy się miało w świadomości to, ile warte były humanitarne obietnice Niemców na Woli, Ochocie, Starym Mieście, Czerniakowie, Powiślu. Wyjście

z miasta było zdaniem się na łaskę i niełaskę wroga. To mogło być trudne do przyjęcia nie tylko dla Żydów, którzy nie mogli liczyć na nic, ale i dla Polaków. I tak często było. Zatem niektórzy przygotowywali się, czasem dosyć długo, na tę ewentualność. Inni podejmowali nagle narzuconą im grę w przetrwanie ad hoc.

Ukrywali się w piwnicach i na strychach, czasem we wnętrzu żeliwnego kotła, czasem na półpiętrze spalonego domu. Jedni ukrywali się kilka, kilkanaście dni, inni ponad pięć miesięcy; jedyni byli Polakami, inni byli Żydami; jedni ukrywali się samotnie, inni ukrywali się w grupach, czasem z rodzinami; byli żołnierzami, cywilami; byli cali, zdrowi, a czasem ranni, czasem nawet ciężko. Były grupy, w których znajdowały się dzieci, kobiety w ciąży, psy. Jedni swój los planowali zawczasu, organizując podziemne izby, awaryjne wyjścia, kopiąc dodatkowe chodniki w stronę kanałów, inni przyjmowali go nagle, bez żadnego przygotowania, w wyniku splotu okoliczności.

Jedni opuszczali gruzowiska Warszawy jeszcze jesienią, w czasie kapitulacji — tak jak sanitariuszka Danuta Galkowa ps. „Blondynka” — odkryta 8 października 1944 roku przez patrol sanitarny, kiedy żyło jeszcze dwóch z 21 lub 22 ciężko rannych, których wyprowadziła, wyniosła z płonącego szpitala „Pod Krzywą Latarnią”, sama z płonącymi włosami — 2 września 1944 roku. Inni ukrywali się jeszcze długo po zajęciu gruzów Warszawy przez Sowieców, bo nie mieli w swoich schronach skąd się dowiedzieć, że jest już po wszystkim. Ci, którzy wybierali metodę mniej bezpieczną — koczowania w budynkach, na wysokich piętrach, często wcześniej spaliwszy schody, samodzielnie dokonując dodatkowych wyburzeń — nie mieli raczej szansy przegapić momentu wkroczenia wojsk sowieckich do Warszawy. Ci, którzy wybierali życie w bunkrach czy w kanałach — nie mieli skąd czerpać najbardziej podstawowej wiedzy nie tylko o sytuacji na froncie i okolicy Warszawy, ale o rzeczach takich, jak który aktualnie jest miesiąc, dzień tygodnia, pora roku. Tym bardziej, że niezależnie od miejsca wybranego na schron wszyscy wspominają o odwróconym zegarze biologicznym — dzień miał być nocą, a noc dniem. Bo największym wrogiem warszawskich robinsonów był przecież drugi człowiek, a nie natura. Szczególnie gdy byli Żydami. Nie wiadomo dokładnie, ilu ich było. Liczbę tych, którzy przetrwali, historycy szacują na około osiemset osób. Liczbę tych, którzy podjęli taką próbę, bardzo zgrubnie szacuje się na około dwa tysiące osób. To by oznaczało, że około tysiąc lub więcej osób zginęło z rąk Niemców, zmarło z głodu, chorób, zimna lub ran między październikiem 1944 roku a styczniem 1945 — ale są to czcze dywagacje. Mogło się przecież zdarzyć, że człowiek zniknął bez świadectwa, gdzieś w gruzach, zastrzelony przez Niemca, szabrownika, lub nie był w stanie sam wydobyć się ze swojej kryjówki z powodu osłabienia lub innego nieszczęścia — na przykład kontuzji w trakcie wędrówki po ruinach. Wówczas po wojnie zostawały przypadkiem odkrywane anonimowe bunkry-mogiły, rozłożone resztki ciał. Nieme.

Można chyba zaryzykować stwierdzenie, że większość osób ukrywająca się planowo w ruinach Warszawy była Żydami, a jeżeli wśród nich znajdowali się Polacy, to najczęściej jakoś z tą grupą związani — więzami rodzinnymi, małżeńskimi, przyjaźnią, rzadziej poczuciem obowiązku czy solidarnością, chociaż i o takich wypadkach jest mowa. To oni budowali schrony zawczasu, dbali o zapasy, dodatkowe wyjścia, wentylację, czasem mieli wewnętrzną studnię, czasem uzbrojenie dla części załogi bunkra. Żydzi też najczęściej pozostawali w grupach. Rekordzistami wydają się dwa małżeństwa ukrywające się od lipca 1943 roku (sic!) w skrytce między mieszkaniami przy ulicy Hożej 36 (za Dariuszem Libionką i Barbarą Engelking „Żydzi w powstańczej Warszawie”): Fania z mężem Sewkiem Glazerem oraz Basia z mężem Mietkiem Chwatem. W tej samej skrytce przetrwali od Powstania do 17 stycznia 1945 roku. Wynika z tego, że łącznie spędzili w niej ponad półtora roku z przerwą na Powstanie.

W grupie Robinsonów z przypadku największą grupę stanowili z kolei Polacy, którzy na ziemi niczyjej lub wrogiej zostawali w wyniku zamieszania związanego z przesuwającymi się liniami frontu, chaosu miejskiej walki, w której łatwo było stracić orientację. Ponadto Polacy należeli też do tej grupy, która często ukrywanie się zaczynała jeszcze w trakcie trwania Powstania i nie mając orientacji w swoim położeniu, nie wiedząc na przykład, że Powstanie upadło, że żołnierzom Armii Krajowej przyznano prawa kombatanckie — kontynuowała swoją robinsonadę. Zdarzało się też, że byli robinsonami jedynie w czasie Powstania (stąd te kłopoty w oszacowaniu liczebnego i czasowego wymiaru

zjawiska) i w czasie Powstania przestawali nimi być, na przykład mieszając się z tłumem cywilów wychodzącym 1 i 2 października do Pruszkowa. Polacy też byli najlicniejszą grupą próbującą rozwiązań, które nigdy nie przysłyby do głowy zabunkrowanym Żydom — na przykład wmieszania się w grupy przymusowych robotników przybywających do Warszawy z Dulagu Pruszków na rabunek i wyjścia razem z nimi ze strefy zakazanej.

Dariusz Libionka i Barbara Engelking w książce „Żydzi w powstańczej Warszawie” wspominają grupę, która ukrywała się przy ulicy Złotej 26 — około 20 osób, które dały się zamurować w dobrze wyposażonym, wentylowanym bunkrze, dawnym piwnicznym magazynie sklepowym. Mieli mieć żywność, wodę, broń. Zaraz po zajęciu gruzów Warszawy przez Armię Czerwoną przyjaciółka jednego z zamurowanych o imieniu Ewa przybyła na miejsce, gdzie w tamtej chwili stacjonował oddział NKWD. Po otwarciu bunkra (za książką D. Libionki i B. Engelking): „z otworu na czworakach, zataczając się wyczołgały się postacie-upiory, potwornie brudne, zarobaczywione, zarośnięte i półprzytomne. Dwie obłąkane osoby nie dały się wyprowadzić z piwnicznych czeluści, zostały zastrzelone”.



Jeden z uwolnionych wtedy — Abram Lewi (Ryszard Walewski)²⁰⁶ zeznawał później w procesie Jürgena Stroopa, napisał też, mieszkając już Izraelu, książkę wspomnieniową. Nigdzie nie wspominał już o tym, jak i z kim przeżył w bunkrze w gruzach Warszawy, jak nazywali się ci, którzy przeżyli, ale nie chcieli wyjść i zostali zastrzeleni. To są zdania, które są zwięzłe i więzną w gardle, gdy się je próbuje przeczytać na głos. Podobnie po lekturze relacji Alicji Haskelberg²⁰⁷, ukrywającej się z grupą Polaków i Żydów przy ulicy Wilczej 32, zostaje fragment:

„Ci 3 Żydzi nas opuścili, obiecując, że do nas zajrzą i przyniosą trochę żywności. Niestety, siły nas zupełnie opuściły i z każdym dniem czuliśmy, że niedługo pomrzemy wszyscy. Mój mały synek, który leżał w gipsie, zaczął puchnąć i 30 grudnia 1944 r. zmarł. [...] Trupek mojego małego synka leżał z nami przez dłuższy czas, dopiero potem zjawili się ci 3 Żydzi, którzy gdzieś

²⁰⁶ Ryszard Walewski, właśc. Abram Lewi (1902–1971) — polski lekarz żydowskiego pochodzenia, członek Żydowskiego Związku Wojskowego (reprezentującej prawicowy nurt polityczny organizacji powołanej w 1939 r. przez oficerów i podoficerów rezerwy WP narodowości żydowskiej), uczestnik powstania w getcie warszawskim, po wojnie wyemigrował do Izraela. [przypis edytorski]

²⁰⁷ Alicja Haskelberg (1906 lub 1910–1995) — przed 1939 r. mieszkała z mężem Aronem Dawidem przy ulicy Siennej, po 1945 r. wyemigrowała do Izraela, swoją relację spisana w 1986 roku powierzyła Instytutowi Yad Vashem, zmarła w Hajfie. [przypis edytorski]

w pobliżu się ukrywali. Przynieśli nam trochę żywności i zabrali mego synka, by go zakopać w piwnicy”.

Nieco ponad dwa tygodnie później Alicja Haskelberg wyszła na wolność. Nie wiem, czy ekshumowano jej małego synka, czy dowiedziała się, w której piwnicy został zakopany.

Jedną z najbardziej niezwykłych historii opowiada Waclaw Gluth-Nowowiejski, sam ukrywający się jesienią 1944 roku na Marymoncie. W swojej książce „Stolica jaskiń” opisuje, jak na Czerniakowie dwóch żołnierzy — Stefan Ślusarczyk²⁰⁸, prawdopodobnie ze zgrupowania „Kryśka”, oraz Franciszek Głowacki²⁰⁹, prawdopodobnie przydzielony do Komendy Głównej AK w pobliżu ulicy Solec, uciekając przed niemieckimi czołgami, schronili się w piecu Fabryki Wyrobów Pozłacanych Plewkiewicza²¹⁰ i tam zostali przez kolejne cztery miesiące. Niestety niewiele więcej o tych dwóch ludziach wiadomo, poza tym, że podobno przeżyli, wychodząc w styczniu 1945 roku ze swojego ukrycia. Nie wiadomo jednak, co przez ten czas jedli i pili, skoro zakłady na Czerniakowie były w zasadzie na pierwszej linii frontu. Relacja ta nie jest do końca jasna, ale spisana została przez człowieka, który sam przeżył jako Robinson od 14 września do 2 listopada 1944 roku, ciężko ranny w rękę w piwnicy domu przy ulicy Warszawskiej 6, więc wiedział, o czym pisze.

Sam Waclaw Gluth-Nowowiejski ps. „Wacek”²¹¹ nie zaplanował swojego losu, został robinsonem z przypadku. Wraz ze swoim oddziałem brał udział w krwawych walkach 14 września o Marymont na północ od Żoliborza. Osaczony razem ze swoją drużyną w niewielkim murowanym domku, próbował się bronić, podczas gdy trzy łączniczki usiłowały wynaleźć jakąś drogę ucieczki. W rozmowie zamieszczonej Archiwum Historii Mówionej opowiada o tym tak:

„Wydostały się, zobaczyły, że tutaj nie ma Niemców, przebiegły szybko ciutko truchtem do najbliższego drzewa tego zagajnika i stamtąd zaczęły wołać do nas: „Chłopcy, słuchajcie, jeszcze tu jest wolne przejście. Biegnijcie szybko”. Trzech chłopców spróbowało się tam przedostać. Ale od razu, ledwo się wychylili, poszła seria jedna, druga, trzecia, więc się szybko wycofali. Natomiast dziewczęta były już dalej i zatrzymały się w tym zagajniku. I co się tam z nimi stało? Po prostu nie mogły się dalej ruszyć, ponieważ właśnie spokojnie, pomalutku nadjeżdżał czołg. Widział ich, a one stały przy drzewie. Przytuliły się do drzewa i do siebie. Na tym czołgu siedzieli też tacy młodzi, opaleni esesmani, jeden z nich zeskoczył, podjeżdżał blisko, dał serię, potem jeszcze drugą serię. Wskoczył ponownie i pojechali. Tam zginęła Danusia i Basia, obie. [...] Wtedy już wszyscy wiedzieli, że jest koniec, że właściwie nie ma wyjścia. Nastąpiło coś w rodzaju, chyba to się zdarzało dość często w sytuacjach beznadziejnych. Zginieemy, ale nie jak bezbronni, spróbujemy z nimi walczyć. Dwóch chłopców wyskoczyło jednym z wejść bocznych, nawet jeden miał pistolecik, a drugi granat, bo takie było nasze uzbrojenie. Nawet ten z pistolecika zdążył strzelić do Niemca, który nieoczekiwanie tam stał, nie wiedział, i nawet nie wiemy, czy go trafił, czy nie. W każdym razie strzelił do niego, ale zanim drugi zdążył rzucić granat, poszła seria z tego ciężkiego karabinu maszynowego i dosłownie zmiotła ich. [...] Wanda, patrolowa patrolu sanitarnego, zerwała się i powiedziała: „Jak będziemy tu leżeli, to nas wykończą. Spróbuję z nimi porozmawiać. Wyskoczę z opaską Czerwonego Krzyża”. I tak zrobiła. Wyskoczyła, ale daleko nie wyskoczyła. Jeszcze nie wyszła całkowicie z tego wejścia, jak ta sama seria z tego samego karabinu ją odrzuciła, tak że padła z powrotem. To była kolejna z dziewcząt i ostatnia”.

²⁰⁸ Stefan Ślusarczyk — brak dokładniejszych danych na temat tej osoby. [przypis edytorski]

²⁰⁹ Franciszek Głowacki — brak dokładniejszych danych na temat tej osoby. [przypis edytorski]

²¹⁰ Fabryka Wyrobów Pozłacanych Plewkiewicz — właśc. Fabryka Wyrobów Metalowych Pozłacanych i Posrebrzanych Plewkiewicz et Co. Mieściła się przy ulicy Czerniakowskiej 180/182. Po wojnie zniszczony budynek rozebrano, obecnie jego dawny teren obejmuje Centralny Park Kultury, zwany także Parkiem Marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego. [przypis edytorski]

²¹¹ Waclaw Gluth-Nowowiejski ps. „Wacek” (1926–) — żołnierz AK, w powstaniu w stopniu kaprała podchorążego dowódcą drużyny w Zgrupowaniu „Żmija” walczącym na Żoliborzu, po wojnie w latach 1948–1953 więziony przez władze komunistyczne, pracował jako dziennikarz. [przypis edytorski]

Niemcy wrzucili do budynku wiązki granatów, strzelali przez otwory okienne, wreszcie próbowali go podpalić miotaczami ognia, po czym uznali, że wszyscy wewnątrz nie żyją i poszli dalej. Okazało się, że mimo tej masakry żyje sześciu ludzi, w tym dwóch ciężko rannych. Trzech z pozostałych, w tym Gluth-Nowowiejski, postanowiło dojść do własnych linii i sprowadzić patrol sanitarny po ciężko rannych kolegów, co zdaje się miało raczej wartość kłamstwa krzepiącego obie strony — pozostawianych ciężko rannych i wychodzących źle rannych. „Wacek” ma wiele lekkich ran od odłamków i jedną ciężką, prowizorycznie opatrzoną ranę ręki ze złamaniem kości, przemieszczeniem stawu, jedna miazga. W czasie próby dotarcia do swoich linii dochodzi do strzelaniny z przypadkowo napotkanym na płonącym Marymoncie niemieckim patrolem koledzy się rozprasza. Gluth-Nowowiejski odczołguje się ogródkami jak najdalej od miejsca, gdzie wpadli na niemiecki oddział i widzi nieduży murowany domek, który się nie pali. Ostrożnie wpełzł do piwnicy, która pełniła funkcję rupieciarni, ale w której — o dziwo — stało łóżko. Położył się na nim, nakrył kocem i tak został. Ocalony dom nie był jednak spokojnym schronieniem, bowiem przyciągał uwagę. Kilkukrotnie wobec intruzów Gluth-Nowowiejski udawał trupa, zarzucając sobie koc na głowę. Jego wygląd po wielu dniach ukrywania się w piwnicy z ciężką, gnijącą raną, smród który panował w miejscu, gdzie także musiał załatwiać swoje potrzeby fizjologiczne — to wszystko sprawiało, że ten fortel działał. Jak wspominał w archiwum historii mówionej:

„Jak odsłonił moją twarz, jak nie wrzaśnie i chodu stamtąd po tych schodach i tam zaczął wrzeszczeć „*Tote in Bett!*”, czyli trup w łóżku. Rechet Niemców, że jakiś głupi Wasyl przestraszył się trupa. [...] po pewnym czasie, kiedy to znowu posłyszałem głosy niemieckie. Więc znowu zarzuciłem koc na twarz. Przyszło dwóch Niemców i ktoś trzeci. Tym trzecim okazał się cywil Polak. Ja nie mam oczywiście zielonego pojęcia kto jest, co to jest. Po tym incydencie z Ukraińcem, ja już ten koc w ogóle odrzuciłem, tym bardziej że on cuchnął, już był cały w ropie, bo przecież moje rany ropiały. [...] Weszli i ten jeden Niemiec mówi (na tyle, ile niemiecki rozumiałem, bo w czasie okupacji człowiek się uczył, to rozumiałem, że on powiedział tak): „Do diabła wszędzie pełno tych trupów, znowu tu jest śmierdziel, rozkłada się”. Zwraca się do tego Polaka: „Zabierzcie go jak najszybciej i razem z tamtymi, co pokazywałem, gdzieś tam zakopcie”. Myślę sobie: „Z jednej strony dobrze, bo znaczy już jestem bardzo autentyczny nieboszczyk, trupek, ale z drugiej strony, jak zaczną mnie żywcem zakopywać, to ja dziękuję za taką przyjemność”. Ale ten Polak po polsku sobie mrucał: „Dobrze, dobrze, przyjdę, przyjdę”. Ale wcale nie przyszedł. I tak to już zostało. Oczywiście, oni nie mieli wątpliwości, bo zapach był tam przerażający, bo to nie tylko jest ropa, nie tylko smród, ale przecież ja musiałem czynności fizjologiczne tam na miejscu [wykonywać], więc absolutnie to stwarzało taką realistyczną wizję, że trup się rozkłada”.

Długotrwałe przebywanie w oderwaniu od jakichkolwiek informacji powodowało, że traciło się rachubę czasu. Żeby nie oszaleć, leżąc tygodniami na łóżku w rupieciarni w domu przy ulicy Warszawskiej 6, Gluth-Nowowiejski zaczął w myślach powtarzać zasłyszane utwory muzyki klasycznej. Podobnie jak Gluth-Nowowiejski o swojej walce z obłądkiem, z samotnością opowiadał Władysław Szpilman²¹² najsłynniejszy z Warszawskich Robinsonów, głównie dzięki filmowi Romana Polańskiego. Leżąc w stanie półśpiączki, powtarzał godzinami w głowie wszystkie utwory, jakie wykonywał, nuta po nucie, akord po akordzie. Podobnie o swoich doświadczeniach pisał lwowski prawnik Alojzy Muraszko, który ukrywał się pomiędzy 7 sierpnia a połową grudnia 1944 roku w Warszawie. Czytał jedyne dwie książki, jakie udało mu się znaleźć, w tym podręcznik jazdy na nartach po niemiecku i znał je prawie na pamięć, obmyślał rozmaite casusy prawne, układał w głowie kryminały, wymyślał postaci, pisał dla nich dialogi. Uważał, że to go uratowało od szaleństwa.

²¹²Władysław Szpilman (1911–2000) — polski pianista pochodzenia żydowskiego, wieloletni pracownik Polskiego Radia, w czasie okupacji początkowo w getcie warszawskim, następnie ukrywał się po „aryjskiej” stronie, po wojnie pozostał w kraju. Jego historię uwiecznił wielokrotnie nagradzany film *Pianista* z 2002 roku. [przypis edytorski]

Wacław Gluth-Nowowiejski został wyprowadzony z Warszawy 2 listopada 1944 roku. Nie wiedział, że Powstanie upadło. Wyprowadziła go kobieta, która mówiła, że sama straciła syna w Powstaniu. Trafił do szpitala w Boernerowie, gdzie operował go doktor Stanisław Świtaj, ten sam, który przyczynił się do ocalenia Marka Edelmana, Icchaka Cukiermana i pięciu innych osób z kryjówki w piwnicy przy ulicy Promyka 43. Nigdy nie dowiedział się, kim byli ludzie, którzy odnaleźli go w piwnicy domu przy ulicy Warszawskiej 6, dali mu buty, wsadzili na dwukólkę i wywieźli ze strefy śmierci. Dawał ogłoszenia, szukał ich wszelkimi sposobami — rozplynęli się, jakby nigdy ich nie było.

DOMYSŁY NA TEMAT CHORAŻY- ŻEGO KUNYSZA

Wzmiankując o nim różni autorzy, ale w bazie powstańczych biogramów czy grupach dyskusyjnych można znaleźć skróty życiorysów Siergieja Kononkowa czy Stanisława Łatyszonka, a jego samego znaleźć trudniej. Nie, to źle powiedziane. Nie ma go. Może gdzieś jest, ale ślady się pozacierały. Nie ma zdjęć ani żadnych informacji. Kiedy trafiłem na odłamek jego historii w relacjach o walkach na Przyczółku Czerniakowskim i ich licznych przetworzeniach, było tylko nazwisko i to, co zrobił, wyznaczając koniec swojego życia. Nazwisko jak nazwisko, stopień nie za wysoki, tylko historia z nim związana nie dawała mi spokoju. Kim był Chorąży Kunysz, że nie ma po nim śladu, ulicy, skweru, tablicy, śladu w Internecie? „Nic się nie kończy prostym tak lub nie i nie na darmo giną wojownicy” — jak mawia poeta.

Co z tego zatem, że jest 18 października, a Czerniaków upadł niemal miesiąc temu? Chorąży Kunysz nie mógł dla mnie zostać bohaterem jednego zdania w monografii, przetwarzanego potem na stronach internetowych. Szukałem.

Wreszcie znalazłem z pomocą dobrych ludzi w internetowych bibliografiach książkę i kupiłem ją za 1,99 PLN plus koszty przesyłki, a jakże. Książka Jerzego Rydłowskiego, o którym to autorze nic nie wiem, wydana w roku 1971, chyba tylko raz — dwutomowe dziełko pod tytułem *Żołnierze lat wojny i okupacji z paginą u góry Poczet chwaty oręża polskiego*. Książka dosyć paskudna w wymowie, chociaż rozumiem, jako urodzony w roku 1974, że może wiele więcej nie dało się zrobić. Chociaż to był czas, kiedy sporo dało się napisać, wydać, mimo interwencji cenzorskich, jeżeli się chciało. Z tych lat jest sporo wartościowych publikacji, które da się czytać bez zażenowania. Tymczasem tutaj nawet gdy autor pisze biogram Eugeniusza Lokajskiego, który zajmuje w książce cztery strony, tylko raz przechodzi mu przez gardło nazwa „Armia Krajowa”. W wielu innych miejscach, kiedy mowa o wydarzeniach z Powstania — a pisze nazwę wydarzenia z małych liter — autor wyraźnie stara się budować zdania tak, żeby nie nazywać ludzi, spraw po imieniu i pisze ogólnie powstańcach, a jeżeli jakieś organizacje tam wymienia, to głównie AL, wiadomo. Ponadto są w tej książce różni bohaterowie, nie mnie sędzić autentyczność ich heroizmu, może powinni tam być. Ale nie ma wielu z tych, którzy na pewno powinni być, a nawet w 1971 roku byli dosyć bezpieczni. Trudno zatem mi nie przeczuwać, że Jerzy Rydłowski chciał z jakichś względów, może z gorliwości, żeby książka była bardziej prawowiernie ludowa, socjalistyczna i radziecka niż tego wymagały standardy epoki. I nie istnieją w tej publikacji praktycznie żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Nie ma na przykład marynarzy, o których już wówczas pisał Jerzy Pertek, Edmund Kosiarz, Władysław Dyskant i których malował Adam Werka, bo było wolno. Ale

nie ma tych z „Garlanda”, „Groma”²¹³, „Orkana”²¹⁴, „Orla”²¹⁵, „Jastrzębia”²¹⁶, „Dzika”²¹⁷, „Sokoła”²¹⁸. Nie ma lotników, chociażby Skalskiego²¹⁹, Urbanowicza²²⁰, Zumbacha²²¹, Henneberga²²², Króla²²³. Nie ma, o ile mnie wzrok nie myli, nikogo spod Monte Cassino, chociażby majora Stańczyka²²⁴, z jego słynnym „mot de Cambronne” spod San Angelo. Nie ma Podhalańczyków²²⁵, Karpatczyków²²⁶, z 1939 jest gen. Kustron²²⁷, ale nikogo więcej, no nie ma chociażby gen. Bołtucia, który też zginął idąc na bagnety pod Łomiankami, nie ma gen. Włada²²⁸, nie ma Raginisa²²⁹. Nie ma i nie ma. Inne czasy, grało się wówczas na innych klawiszach w tym fortepianie. Tak jakby dało się grać tylko czarnymi albo tylko białymi. No cóż. To nie recenzja. Nie kupiłem przecież książki za

²¹³ *ORP „Grom”* — polski niszczyciel typu Grom służący w Marynarce Wojennej w latach 1937–1940, zatopiony przez niemieckie lotnictwo pod Narwikiem 4 maja 1940 r. [przypis edytorski]

²¹⁴ *ORP „Orkan”* — polski niszczyciel typu M, wydzierżawiony od Brytyjczyków w 1942 roku, służył w eskorcie konwojów na Atlantyku, gdzie 8 października 1943 r. został zatopiony przez niemiecki okręt podwodny. [przypis edytorski]

²¹⁵ *ORP „Orzeł”* — polski okręt podwodny typu Orzeł, wcielony do służby w 1939 r., zasłynął ucieczką z Bałtyku do Wielkiej Brytanii w październiku tegoż roku, zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach w czasie patrolu w maju-czerwcu 1940 r. [przypis edytorski]

²¹⁶ *ORP „Jastrzęb”* — polski okręt podwodny typu S/S-1 konstrukcji amerykańskiej, wydzierżawiony od Brytyjczyków w 1941 r., pomyłkowo zatopiony 2 maja 1942 r. na Morzu Norweskim przez brytyjski trałowiec HMS „Seagull” i norweski niszczyciel „St. Albans”. [przypis edytorski]

²¹⁷ *ORP „Dzik”* — polski okręt podwodny typu U, wydzierżawiony od Brytyjczyków w 1942 r., służył na Morzu Śródziemnym i Oceanie Atlantyckim, odnosząc w tym czasie kilka sukcesów (m.in. zatopienie frachtowca „Nikolaus” w wrześniu 1943 r.), w 1946 r. zwrócony Wielkiej Brytanii. [przypis edytorski]

²¹⁸ *ORP „Sokol”* — polski okręt podwodny typu U, wydzierżawiony od Brytyjczyków w 1941 r., służył na Morzu Śródziemnym i Oceanie Atlantyckim w latach 1941–1944, w tym czasie zatopił m.in. włoski frachtowiec „Balilla” i niemiecki transportowiec „Eridania”, w 1946 r. zwrócony Wielkiej Brytanii. [przypis edytorski]

²¹⁹ *Stanisław Skalski (1915–2004)* — polski pilot wojskowy, od 1935 r. w Wojsku Polskim, najlepszy polski as myśliwski II wojny światowej (18 i 11/12 zestrzeleń), w 1947 r. powrócił z Wielkiej Brytanii do Polski, gdzie przyjeżdżał do Ludowego Wojska Polskiego, więziony w latach 1948–1956, od 1956 do 1972 r. ponownie w wojsku, po 1989 r. polityk. [przypis edytorski]

²²⁰ *Witold Urbanowicz (1908–1996)* — polski pilot wojskowy, od 1930 r. w Wojsku Polskim, drugi najlepszy polski as myśliwski II wojny światowej (17 zestrzeleń), w 1940 r. dowódca słynnego Dywizjonu 303, w 1943 r. gościnnie latał w dywizjonie amerykańskim, po wojnie wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. [przypis edytorski]

²²¹ *Jan Zumbach (1915–1986)* — polski pilot wojskowy, od 1936 r. służył w Wojsku Polskim, w czasie wojny latając w szeregach Polski Sił Powietrznych osiągnął wynik 13 zwycięstw powietrznych, członek oryginalnego składu Dywizjonu 303, którym dowodził w 1942 r. Po 1945 r. był przemysłowcem i najemnikiem, uczestnicząc w konfliktach zbrojnych w Afryce, zmarł we Francji w niewyjaśnionych okolicznościach, najprawdopodobniej zamordowany. [przypis edytorski]

²²² *Zdzisław Henneberg (1911–1941)* — polski pilot wojskowy, w Wojsku Polskim od 1931 r., w czasie bitwy o Anglię w 1940 r. w szeregach Dywizjonu 303, którym dwukrotnie dowodził w 1940 i 1941 r. Odnosił 8 i 1/2 zwycięstwa w powietrzu. Poległ w walce 12 kwietnia 1941 r. [przypis edytorski]

²²³ *Wacław Król (1915–1991)* — polski pilot wojskowy, służbę w WP rozpoczął w 1935 r., w czasie II wojny światowej latając w PSP zestrzelił 9 nieprzyjacielskich samolotów. W 1947 r. powrócił do Polski, w latach 1957–1971 w Ludowym Wojsku Polskim, autor licznych książek o tematyce lotnictwa wojskowego. [przypis edytorski]

²²⁴ *major Andrzej Stańczyk (1902–1973)* — oficer służby stałej WP, w kampanii 1939 r. pełnił funkcję adiutanta 5 Pułku Strzelców Podhalańskich, uczestnik kampanii norweskiej w szeregach Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich, w latach 1943–1944 w stopniu majora dowódca 16 Lwowskiego Batalionu Strzelców wchodzącego w skład 5 Kresowej Dywizji Piechoty. Ranny w bitwie pod Monte Cassino. Po wojnie pozostał na emigracji w Wielkiej Brytanii, w 1972 r. wrócił do Polski. [przypis edytorski]

²²⁵ *Podhalańczycy* — Samodzielna Brygada Strzelców Podhalańskich (SBSB) — brygada piechoty Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie utworzona 4 stycznia 1940 roku. Wzięła udział w bitwie pod Narwikiem w maju 1940 r. W czerwcu tegoż roku odesłana do Bretanii we Francji, gdzie walcząc z przeważającymi siłami niemieckimi uległa rozproszeniu. Część jej żołnierzy zdołała przedostać się do Wielkiej Brytanii. Oficjalnie rozwiązana 21 sierpnia 1940 r. [przypis edytorski]

²²⁶ *Karpatczycy* — Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich (SBSK) — brygada piechoty Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie utworzona na terenie kontrolowanej przez Francję Syrii 12 kwietnia 1940 roku. Po kapitulacji Francji przeszła do Palestyny i dołączył do wojsk brytyjskich. Od sierpnia 1941 r. do marca 1942 r. walczyła w kampanii libijskiej, uczestnicząc m.in. w obronie oblężonego Tobruku. W kwietniu skierowana ponownie do Palestyny, gdzie została 3 maja 1942 r. zreorganizowana w 3 Dywizję Strzelców Karpackich. [przypis edytorski]

²²⁷ *gen. Józef Kustron (1892–1939)* — generał brygady WP, w kampanii 1939 r. dowódca 21 Dywizji Piechoty Górskiej, poległ w walce 16 września pod Ulazowem. [przypis edytorski]

²²⁸ *gen. Franciszek Wład (1888–1939)* — generał brygady WP, w kampanii 1939 r. dowódca 14 Dywizji Piechoty, na czele której walczył w bitwie nad Bzurą, zmarł z ran 18 września w gajówce Januszew. [przypis edytorski]

²²⁹ *Władysław Raginisa (1908–1939)* — oficer służby stałej WP, w kampanii 1939 r. w stopniu kapitana dowódca odcinka „Wizna”, którego obrona w dniach 7–10 września stała się jednym z symboli bohaterstwa polskich

1,99 plus koszty wysyłki, żeby szukać informacji o tych, o których i tak wiem dużo, ale o tych, o których nie wiem nic. Bo teraz są inne czasy i wszyscy teraz chcą znowu tylko jednym typem klawiszy. Wtedy były czarne? No to teraz pominiemy czarne i będziemy grali tylko białymi. A Chorąży Kunysz był użyteczny w tamtej klawiaturze. Teraz jest kłopotem. Nie pasuje.

Na stronie 290 dziełka Rydłowskiego pojawia Chorąży Borys Kunysz, urodzony w roku 1915 we wsi Wolica Tatarska koło Kamieńca Podolskiego, w rodzinie chłopskiej, ukraińskiej, zapewne — tego Rydłowski nie pisze — prawosławnej albo greckokatolickiej. Dalej mowa jest o tym, że powołany do wojska ukończył w 1937 roku szkołę podoficerską. Zdaje się, że nie polską, bo wieś Wolica Tatarska leżała za Zbruczem, na terytorium ZSRR. Chociaż nazwisko ma takie jak mój kolega z podstawówki — niewątpliwie Polak. Powołany do Armii Czerwonej, przeżył w rozpoznaniu artyleryjskim od czerwca 1941 do marca 1944. To nie było proste przeżyć tyle w rozpoznaniu. W Armii Czerwonej rozpoznanie najczęściej polegało na rozpoznaniu walką, co oznaczało, że posyłało się żołnierzy na nierozpoznaną pozycję wroga do ataku, a sztab stał w ukryciu i patrzył, skąd idą przygotowane ognie, żeby je zdławić, jak już ruszy to prawdziwe natarcie. Przeżywalność w jednostkach rozpoznania nie sięgała roku. Jeżeli ktoś przetrwał w służbie frontowej trzy lata, to dlatego, że był wyjątkowo dobrym, sprawnym żołnierzem. To się nie działo przypadkiem. Tak mówił Pan Bolesław, który w rozpoznaniu w Armii Czerwonej przeżył trzy lata. Pan Bolesław nigdy mi tego nie powiedział, bo byłem za młody i nie wiem, czy komukolwiek to powiedział wprost — ale przydział do jednostki rozpoznania był uważany za wyrok śmierci przez rozstrzelanie, tyle że rozstrzelanie przez wroga.

Chorąży Borys Kunysz został awansowany do stopnia młodszego lejtnanta, czyli po naszymu podporucznika, odznaczony za zasługi Orderem Czerwonego Sztandaru. W marcu 1944 roku został skierowany do uzupełnienia kadrowego 1 Korpusu Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR („Ruszał, Pierwszy Korpus nasz, spoza gór i rzek, na zachód marsz!”). Już Armia Andersa miała kłopot z wypełnieniem etatów oficerskich. Nie było oficerów, bo 22 tysiące zostały wymordowane przez Sowietów, m.in. z Katyniu. Może dlatego chorąży w wieku 29 lat zostaje wyznaczony na oficera rozpoznawczego w 3 pułku artylerii lekkiej w 3 Dywizji Piechoty im. Romualda Traugutta.

W nocy z 16 na 17 września 1944 roku, jak podaje Rydłowski, mając pod komendą kilku ludzi i dwie radiostacje, przeprowia się przez Wisłę, żeby zorganizować stanowisko obserwacyjne. Bez łączności i obserwatorów nawet najsilniejsza artyleria jest bezradna, nie wie gdzie strzelać, a kiedy strzela, to nie wie, jakie są efekty ostrzału i nie wie jak wyliczyć poprawki. Jest jak niewidomy bokser. Tymi oczami i unerwieniem miały być dwie radiostacje chorążego Kunysza i jego kilku ludzi. Na allegro do dzisiaj można kupić sobie taką radiostację, jakiej prawdopodobnie używał Kunysz — RBM, najczęściej używana w tamtych czasach na wszystkich szczeblach powyżej batalionu. Nie sądzę, by patrolowi artyleryjskiemu, który miał działać w nieznanymi warunkach, a miał znaczenie operacyjne — dano mniejszą lub dużo większą radiostację. RBM wydawała się idealna do takich celów, zasilana łatwo wymiennymi akumulatorami. Z anteną prętową miała zasięg do kilku kilometrów. Radiostacje były dwie, jakby jedną szlag trafił. Ludzi do obsługi było kilku. Powinno wystarczyć.

Na niewielkim terytorialnie przyczółku chorąży Kunysz ze swoim patrolu urządził się na strychu domu przy ul. Zagórnej 6, róg Idżkowskiego, w zasadzie na pierwszej linii frontu. Świadkowie mówili, że urządził się tam wygodnie: miał prymus, czajnik i filiżanki do herbaty, w pozornie litych ścianach wykonał sobie szczeliny obserwacyjne. Żeby się zabezpieczyć przed odłamkami i ogniem broni maszynowej — ułożył sobie wokół worki z cukrem, być może z magazynów „Społem” opodal. Był skuteczny. Artyleria pułkowa, głównie trzy baterie haubic 122 mm, przez te dwa-trzy dni układa bardzo celne, precyzyjne zapory ogniowe w rejonie Zagórnej, Idżkowskiego, Solca. Niemcy szybko się zorientowali, że gdzieś tam musi być obserwator artyleryjski. Ciosy tego boksera, nie najsilniejszego przecież, mówimy o pułku, a w praktyce — o dywizjonie artylerii lekkiej, wyprowadzane były zbyt boleśnie, w punkt. Próbowali ostrzeliwać dachy domów przy

żołnierzy w czasie II wojny światowej. Gdy zwycięstwo niemieckie było już przesądzone ciężko ranny kpt. Raginis popełnił samobójstwo. [przypis edytorski]

Zagórnej, w tym dom pod numerem 6, ale Chorąży Kunysz nie schodził do piwnic ani na moment i ciągle pomagał bokserowi wagi lekkiej wyprowadzać kolejne bolesne ciosy. Ciągle patrzył, korygował, podawał współrzędne, znowu patrzył, jak się układają kolejne trafienia, i znowu. Bez snu, bez odpoczynku.

20 września rano Niemcy zajęli parter domu, w którym znajdował się punkt chorążego Borysa Kunysza. Podobno z drugiej strony podpalili dom, albo szykowali się do tego (te relacje pochodzą z innych publikacji, nie są spójne). Budynku już nie miał za bardzo kto bronić. „Radosław” z resztkami Kedywu w nocy z 19 na 20 września odszedł kanałami na Mokotów, resztki berlingowców, zgrupowania „Kryski”, „Zośki” i „Parasola”, skupiały się bliżej rzeki w oczekiwaniu na ewakuację. Chorąży Kunysz był niewątpliwie doświadczonym żołnierzem, bo przeżył trzy lata wojny. Umiał trzeźwo ocenić sytuację. Zniszczył książki kodowe, notatki. Ostatni meldunek przez radio do kolegów z pułku podobno brzmiał:

„Bijcie we mnie! W domu gdzie jestem są Niemcy! Są piętro niżej, ognia, ognia koledzy!”

Wraz z nim zginęli dwaj radiotelegrafści — kapral Rentz i kanonier Sekurecki — i nieznaną liczbą Niemców na niższych kondygnacjach budynku.

Nie wiem, jak wyglądał, publikacja MON z 1971 roku nie przynosi jego portretu. Nie wiem, czy się czuł bardziej Polakiem, Ukraińcem, Rosjaninem, może „człowiekiem radzieckim”. Nie wiadomo nawet, jakim językiem posługiwał się w korespondencji radiowej. Zginął walcząc w Powstaniu Warszawskim. Nie ma żadnej ulicy jego imienia, nie wiem, czy jest na Zagórnej jakaś tablica (powinna być). A pewnie jakby była, to w ramach ustawy dekomunizacyjnej zostałaby zdjęta, a ulica przemianowana. Ot, kolejny obrót dziejów, kolejne wymazywanie bohaterów, żołnierzy. Znowu ktoś chce zagrać połową klawiatury tamten koncert, tamtą etiudę. A tak się nie da. Zawsze zabrzmi fałszywie.

[*Chorąży Borys Kunysz — 1915–1944*]

SENNIK WYPĘDZONYCH

Mieszkałem wiele lat w Brzegu nad Odrą, ale już tam nie mieszkam. Miasto jednak stoi, bywam w nim przynajmniej raz w tygodniu na kilka godzin w swoich żywotnych interesach, dla równowagi psychicznej, patrzę na domy, stare drzewa, Ratusz, Zamek, przekonuję się, że wszystko nadal trwa i jest gdzie wrócić. Wyprowadziłem się z miasta z własnej woli. Nikt nade mną nie stał, nawet specjalnie nie poganiał. Miałem okazję obrócić kilka razy, przejrzeć każdy szpargał, każdy drobiazg. To nie przypominało ucieczki. Miałem czas przenieść cały swój ruchomy dobytek na ciężarówkę, która przewiozła go na nowe miejsce. I pomimo tego, że od z górą siedmiu lat nie mieszkam w Brzegu, to ile razy śni mi się dom, i we śnie wiem, że jest to dom, figura, prototyp domu — zawsze jest to piętro poniemieckiej willi przy ulicy Cichej z dawniej Lobberstrasse, w Brzegu, dawniej Brieg.

Być może podobnie ten dom, te schody, drzwi, poręcze śnią się jako pra-dom starszemu panu, mieszkającemu gdzieś w Niemczech, który był u nas kilka razy na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Pewnego dnia najpierw przyszedł Polak i powiedział, że jest z nim stary człowiek i że chciałby obejrzeć dom, który budował razem z ojcem, Johannem latem 1926 roku. Mieszkał w nim krócej niż my, tylko trzynaście lat, do lata 1939 roku, kiedy został powołany do służby w Kriegsmarine, po której nie wrócił już do rodzinnego miasta. Pytał, czy nikt z obecnych nie ma nic przeciwko takim odwiedzinom. Nikt nie miał nic przeciwko. Starszy pan poszedł do kuchni, dotykał starych drzwi pokrytych jedenastą albo dwunastą warstwą farby olejnej. Rozglądał się po ścianach, wyjrzał przez okno na ogród. Potem przeprosił i zapytał, czy mógłby pobyc chwilę sam w pokoju środkowym, z oknem, za którym kwitła właśnie grusza oraz jabłoń. To był wtedy mój pokój, trzynastoletniego, może czternastoletniego chłopca, ale powiedziałem,

że proszę, proszę bardzo. Kiedy wyszedł po jakichś dziesięciu minutach — zapytał, czy nie zostało coś ze starego wyposażenia domu, więc oddaliśmy mu kilka porcelitowych słoików z napisami w obcym języku, młynek do kawy odkręcony z framugi drzwi spiżarni, klucze od drzwi, które zostały już wymienione, stary album zdjęć Alp niemieckich. Jeden słoik z napisem „Amon-karbon” zostawił i wiele lat później wziąłem go ze sobą i ja na drogę do nowego domu, razem z jednym wygiętym kluczem od spiżarni ze starego domu.

Babcia Sabina uczyła, że klucz zawsze trzeba ze sobą zabrać. Klucz jest po to, żeby mieć czym otworzyć drzwi do starego domu, jeżeli się wróci z poniewierki, albo nowego domu, jeżeli stary już nie będzie stał.

Kiedy Warszawiacy opuszczali Warszawę, nie było już wojska, które wyrosło pomiędzy nich, nie było już wielu domów, a te, które zostały, były wypalone, pozbawione szyb, ścian, dachów, sprzętów, obnażone. Wśród kilkudziesięciu obozów przejściowych, przez które przeszli cywile z Warszawy, najbardziej ponurą sławą cieszył się tzw. Dulag 121 w Pruszkowie, przez który przewinęła się większość wysiedlanych cywilów. Obóz mieścił się na terenie zakładów naprawy taboru kolejowego, składało się na niego dziewięć hal, z których każda mogła teoretycznie pomieścić około dwóch do trzech tysięcy osób. Czas przebywania w obozie wahał się od kilkunastu godzin do kilkunastu dni, a stłoczonych bywało tam 70 i więcej tysięcy ludzi. Szczególne zagęszczenie nastąpiło w obozie po upadku Starówki w pierwszych dniach września 1944 i miesiąc później, kiedy ostatecznie skapitulowało Śródmieście.

Komendantem obozu z ramienia niemieckich sił zbrojnych był pułkownik Kurt Sieber, z tzw. starej pruskiej szkoły, „dobry Niemiec”. Jednym z pierwszych zarządzeń, jakie wydał swojej stuosobowej załodze strzegącej obozu, był całkowity zakaz strzelania na terenie obozu. Jednak o losach ludzi decydował jego zastępca z SS — Sturmbahnführer Gustaw Diehl i jego podwładni rezydujący w tzw. „zielonym wagonie”, obok którego stały dwa wagony towarowe pełniące funkcję aresztu. To oni decydowali o losach wypędzonych, dzielili i rządili, rozdzielali rodziny, łaskawie zezwalali lub odmawiali zezwolenia. W tej działalności oficerów SS wspierało kilkunastu funkcjonariuszy Arbeitsamtu z Pruszkowa, którzy lubowali się w rozdzielaniu rodzin, odbieraniu wypędzonym resztek dobytku, odbieraniu samotnym osobom ich często jedynych towarzyszy niedoli — psów, kotów, kanarków. W obozie pracowali też niemieccy lekarze, m.in. dr. Koenig, który miał podkreślać w rozmowach z polskim personelem medycznym, żeby pamiętać, że „jestem też lekarzem”, a który przymykał oko na wypisywanie przez polski personel mniej lub bardziej naciąganych zaświadczeń o niezdolności do pracy i zwolnień z obozu.

W związku z fatalnymi warunkami Niemcy dopuszczali do Pruszkowa polski personel medyczny i pomocniczy, w tym nie mniej niż około 100 pielęgniarek i 122 siostry zakonne. Liczbę personelu pomocniczego zatrudnionego w Dulagu 121 oblicza się na około 500 osób. W zasadzie bez tego personelu Niemcy nie byłiby w stanie zapanować nad obozem, z kolei polski personel pomocniczy wykorzystywał swoją autonomiczną pozycję do niesienia pomocy rodakom, zdobywając cichych sojuszników nie tylko wśród lekarzy, ale i załogi obozu, szczególnie tej wystawianej przez Wehrmacht. Wszelkiego typu działania ułatwiał też fakt, że przepustki służbowe były pozbawione zdjęć, a dokumentem ze zdjęciem, na podstawie którego stwierdzano tożsamość, była kenkarta. Jak potwierdzają wspomnienia i zeznania świadków, tylko wchodząc na teren hal pod szczególnym nadzorem — czyli numer VI, VII i VIII, tam gdzie trzymano ludzi podejrzanych o udział w Powstaniu lub po prostu jeńców wojennych, np. z Mokotowa — porównywano przepustkę z kenkartą. W pozostałych przypadkach nie robiono tego, co pozwalało wprowadzać z obozu bezkarnie duże ilości ludzi.

Danuta Sławińska²³⁰, pielęgniarka i tłumaczka obozowa, opisuje we wspomnieniach, których fragmenty można znaleźć na stronie Muzeum Dulag 121, różne metody, jakimi polski personel medyczny wyciągał więźniów z list wywózki do Niemiec:

²³⁰Anna Danuta Sławińska (1923–2006) — harcerka, żołnierz AK, w powstaniu sanitariuszka w Szpitalu Zakąnym im. św. Stanisława na Woli, od września 1944 r. do stycznia 1945 r. pracowała w służbie sanitarnej obozu przejściowego w Pruszkowie. Po wojnie powróciła do Warszawy, pracowała m.in. jako przewodnik turystyczny. [przypis edytorski]

„Drugi sposób nie nastęcza żadnych trudności w trakcie zapisywania — jest zupełnie bezpieczny. Służy do wyprowadzania w pole tych z zielonego wagonu. Ponieważ najczęściej skreślają z podpisanej przez niemieckiego lekarza listy młodych mężczyzn, poznając po końcówkach imion i nazwisk płeć delikwenta, zmienia się te końcówki. Zamiast wpisywać wyraźnie męskie, pisze się niezbyt czytelnie (pośpiech usprawiedliwia bazgranie) i daje przy nazwiskach żeńskie końcówki. Marian Laskowski staje się Marią Laskowską, która mając lat czterdzieści parę, choruje na nerki, serce, ischias i kamienie żółciowe, więc nie interesuje panów z Arbeitseinsatzu”.

Swoje wspomnienia z Dulagu 121 Danuta Sławińska zatytułowała „Kiedy kłamstwo było cnotą”.

Ocena szacunkowa liczby osób, które przeszły przez Dulag 121 w Pruszkowie, jest utrudniona dlatego, że nie prowadzono ewidencji więźniów, poprzestając tylko na ewidencji liczbowej dla potrzeb transportu. Z drugiej strony to właśnie ułatwiało w sposób kapitalny wyprowadzanie, przemykanie na szeroką skalę ludzi poza teren obozu. Przy dużej rotacji osadzonych personel strażniczy nie potrafił identyfikować więźniów, bo nie zdążyli się mu zwyczajnie „opatrzyć”, jednych zastępowali następni i następni.

W związku z charakterem obozu w początkowym okresie nie prowadzono też ewidencji zgonów, a w późniejszym okresie była ona prowadzona wrywkowo. Wiadomo, że jeden z kapelanów w obozie wystawił 43 akty zgonu, wiadomo, że po wojnie na terenie obozu ekshumowano 82 ciała młodych mężczyzn nieznanymi z imienia i nazwiska oraz około 50 ciał kobiet i dzieci. Są to jednak dane niepełne. Wiadomo, że zdarzały się przypadki zastrzelenia ludzi w czasie prób ucieczki. Ludzie umierali też z zimna, chorób, fatalnych warunków sanitarnych, niedożywienia. Te słowa wymienia się jednym tchem, ale warto się nad nimi zatrzymać chwilę, bo może powstać mylne wrażenie, że po piekle Warszawy Pruszków i wywózka oferowały coś znacząco lepszego. Pruszków był nazywany kolejnym stopniem piekła dla cywilów. I był nim. Brakowało żywności, opieka zdrowotna była szczątkowa, nie było sanitariatów, w związku z tym potrzeby fizjologiczne załatwiano się na halach, najczęściej do kanałów inspekcyjnych. Hale były nieogrzewane — a obóz działał od sierpnia do listopada i dłużej, zatem w halach temperatura była podobna do tej na zewnątrz. Na podstawie zeznań liczbę osób, które zmarły, zginęły, zostały zabite w Pruszkowie oblicza się na kilka tysięcy. Tylko że Pruszków był pierwszym etapem poniewierki, która często zamieniała się w gehennę.

Różne są wyliczenia, ale najczęściej przyjmuje się, że przez Pruszków przeszło około od 400 do 650 tysięcy mieszkańców Warszawy. Z tego około 50 do 60 tysięcy podejrzanych o udział w walkach lub podziemiu — głównie młodych mężczyzn i kobiety — rozesłano do obozów koncentracyjnych na terenie III Rzeszy, w tym — do KL Auschwitz (12 863 osoby), KL Mauthausen (4689 mężczyzn i nieznaną liczbą kobiet) oraz KL Stutthof (4432 osoby). Liczne transporty z Pruszkowa trafiły ponadto do KL Ravensbrück (około 12 tys. osób), KL Buchenwald (około 4560 osób), KL Dachau (około 3040 osób), KL Gross-Rosen (około 3 tys. osób), KL Sachsenhausen (około 3 tys. osób) i KL Flossenbürg (około 2, 5 tys. osób) oraz nieznaną ilość do KL Bergen-Belsen, KL Mittelbau-Dora, KL Natzweiler i KL Neuengamme. Pierwszy transport do KL Auschwitz z Pruszkowa dotarł do obozu 11 i 12 sierpnia i obejmował 1984 mężczyzn i chłopców (numery 190912–192895) oraz 3839 kobiet i dziewczynek (numery 83085–86923). Wyzwolenia w Auschwitz 27 stycznia 1945 roku doczekało 35 mężczyzn i 41 chłopców oraz 74 kobiety i 59 dziewczynek — razem 209 z 5823 osób.

Około 100 do 150 tysięcy osób zdrowych, młodych lub w sile wieku wysłano na roboty do Niemiec. Około 100 tysięcy różnymi metodami udało się polskiemu personelowi medycznemu wyprowadzić na zewnątrz obozu. Reszta, czyli około 350 tysięcy osób uznanych za niezdolne do pracy — była rozśrodkowana, wywieziona w różne części Generalnego Gubernatorstwa. Zdarzało się, że ludzi kierowano w większej ilości w jedno miejsce — między innymi około 37 tysięcy osób wywieziono do Krakowa, jednak Niemcy nie kierowali się żadnymi względami humanitarnymi, a jedynie logistycznymi: przeczucali ludzi tam, gdzie potrzebowali w dalszej kolejności odpowiednio dużo pustych wagonów.

Trudno jednoznacznie określić, kiedy Duląg przestał działać. Oficjalne zamknięcie nastąpiło 5 listopada 1944 roku i od tego czasu obóz stopniowo likwidowano, ograniczając jego działalność. Jednak jeszcze 15 listopada 1944 roku zwieziono do obozu około 400 osób wyłapanych w ruinach Warszawy, tzw. robinsonów, tych spośród nich, którzy nie byli Żydami. Bo Żydów zabijano na miejscu. W formie szczątkowej obóz działał do stycznia 1945 roku. Przebywało tu między innymi 400 mężczyzn ze specjalnego Arbeitskomando wożonych do Warszawy w celu pomocy Niemcom w rabunku ocalałych domów, wynajdywanych skrytek i piwnic. W obozie także składowano w barakach zrabowane rzeczy, sortowano je i przygotowywano do wywozu z terytorium Generalnego Gubernatorstwa. Podobną pracę, chociaż nie w ramach arbeidskomando z Pruszkowa, wykonywał 16-letni wówczas Zbigniew Książczak, który tak to opisał (za D. Libionka, B. Engelking „Żydzi w powstańczej Warszawie” s. 259):

„Już chyba na zawsze nazwy niektórych ulic Warszawy będą mi kojarzyć się z różnymi przedmiotami. I tak ulica Nowogrodzka zapisała się w mojej pamięci bielizną pościelową, Żurawia — butami, Hoża — kołdrami i dywanami, Emilii Plater — wyrobami skórzanymi, futrami — ileż ich było. Wspólna — maszynami do szycia, kryształami i porcelaną. Ulica Noakowskiego natomiast na zawsze kojarzyć mi się będzie z martyrologią polskiej książki. Wtedy to, chyba pod numerem 10, po raz trzeci w tym okresie płakałem na stercie podeptanych, poniszczonych, wyrzuconych z szaf książek”.

Wywiezieni z Pruszkowa Warszawiacy, kiedy tylko mogli, uciekali z miejsc wygnania. Nie z powodu wielkiego patriotyzmu czy oporu wobec okupanta, ale zwyczajnie, chcieli być blisko domu, kiedy front ruszy i będzie można wrócić. To nie dotyczyło oczywiście tych wywiezionych na roboty do Niemiec czy do obozów koncentracyjnych i karnych obozów pracy, czyli około 200 tysięcy z nich. Najpierw, jak na każdej wojnie — ruszali młodzi, sprawni mężczyźni, kobiety i dzieci zostawały na miejscu. Ściągali przez całą zimę z powrotem do miejscowości wokół Warszawy, w tym do Milanówka, który stał się rodzajem nieformalnej stolicy dogorywającego Państwa Podziemnego. Będą wracać do rumowiska gruzów, z przyzwyczajenia nazywanego miastem, w styczniu, w lutym 1945 roku. Nie wiem, co im będzie się śniło, ale o ile mój dawny dom i dom tego Niemca, który nas odwiedzał wiele lat po wojnie, nadal stoi, o tyle większość domów, które śniły się Warszawiakom, tamtej jesieni już nie będzie istniała.

POWSTANIEC Z KOTKIEM — RE- PRYZA

Większa część tych notatek powstawała na Facebooku. Początkowo nie miałem zamiaru pisać aż tyle. Ale okazało się, że dla wielu ludzi to jest ważne. I ważne jest trwanie. Wspólnota wokół trwania. Dopowiadanie czegoś od siebie. Podziemny ruch plików, notatek, wspomnień zachowanych w rodzinie, zdjęć. Wiele z tego już nie ma, było ulotne, pojawiło się i minęło. Zostało poczucie — bardzo krzepiące — że coś, co miałem za swoją ulomność, dziwactwo — nie jest dziwactwem, że jest dzielone przez innych i to innych w sposób bardzo widoczny. Bo tak zwane media społecznościowe sprawiają, że wie się o sobie nawzajem dużo więcej niż jest potrzebne do życia, dużo więcej niż wypada. Zatem wielu i wiele innych pisało, dawało znaki, że tak, że to powinno trwać, że to powinno być pisane jeszcze raz, że dobrze, że pisane jest w taki właśnie sposób. Nie zachowałem tych wszystkich słów, znaków, zdań. Ale jedna historia została ze mną i warta jest przytoczenia. Kiedy napisałem o zdjęciu Eugeniusza Lokajskiego z małym, czarnym kotkiem na rękach, odezwały się dwie osoby — jedna stara, dobra znajoma i ktoś zupełnie nieznan. Ania napisała, że kiedy siostra jechała do Irlandii za lepszym życiem, to wśród zdjęć rodzinnych dostała oprawione w ramkę właśnie to zdjęcie, Powstańca z kotkiem i powiesiła je na ścianie, zaraz obok taty, mamy, rodzeństwa, jak kogoś bliskiego, kogo zostawiła w kraju. A zaraz potem Pan Bartłomiej wysłał mi zdjęcie swojego biurka do pracy, gdzie jak zdjęcie kogoś bliskiego, znanego osobiście, stał także oprawiony w ramkę Powstańiec

z kotkiem. Teraz patrzę znowu na ścianę przed moim biurkiem — bo tak mam umieszczone biurko do pracy — nie patrzę za okno gdzieś w dal, czy chociażby sąsiadowi w jego okna, ale patrzę na ścianę i na niej wśród innych — jest i on. Ta koincydencja to przecież tylko zbieg okoliczności, drobiazg, szczegół. Ale w skromnej opinii narratora nie jest to tylko przypadek. To szczegół, owszem, ale znaczący.

ZADUSZKI. GODZINA WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

W dniu zadusznym wraca tamten, odległy dzień lata, podobno ciepły, chociaż, jak wszyscy wspominali, wieczorem i w nocy padał deszcz. Jedno z pierwszych moich zetknięć z Powstaniem to dziecięce wspomnienie zaduszkowej poświęty na Powązkach Wojskowych w Warszawie i krzyże, krzyże, krzyże. Tymczasem — kiedyś trzeba się zatrzymać, powiedzieć stop tym wszystkim kołowrotkom. Mijają kolejne daty i może dlatego ta jest najodpowiedniejsza — chociaż tamte historie, które zaczęły się 1 sierpnia, przecież dalej trwają. Bowiem:

„Puste miejsce/ lecz wciąż ponad nim drży powietrze/ po tamtych głosach”.

[Z. Herbert, Prolog]

W dzień zaduszny jest cisza. I brak jakiegokolwiek odpowiedzi. Tak się wyraża czuwanie — brakiem odpowiedzi na pytania, wątpliwości, sprzeczne oceny. I może jednak jakąś ulgą, że tak się da, być blisko na ile to możliwe i nie dać się uwikłać. Tak, po wielu tygodniach na poddaszu, wśród książek, papierów, zdjęć — nie mam nic w odpowiedzi na liczne pytania. Nie mam nic w odpowiedzi na pytanie o sens, ocenę, wartości polityczne i etyczne. I mam poczucie, że wcale nie potrzebuję tej odpowiedzi, że ona nie jest niezbędna do tego, aby pamięć, zamieniona w czuwanie — trwała. Przypomina mi się znowu Franek Kosiec z Lipnicy Małej, który chodził co roku 1 sierpnia na szczyt Babiej Góry, za tych, którzy już nigdy nie pójdą. Nie dyskutował z Powstaniem, nie toczył o nie sporów. Wyobrażam sobie, jak w poszarpanych dżinsach, z nieśmiertelną flanelową bandanką na głowie idzie czy słońce, czy deszcz, wyrównuje oddech, stawia z dudnieniem ciężkie kroki na ścieżce znaczonej zielonymi znakami z Lipnicy. I przypominają mi się jego pełne żarliwości opowieści o życiu wiecznym, doczesnym, o przenikaniu się światów. I jego późniejsze o kilka lat zdanie o tym, że kiedy się w nocy dusisz, to za jeden swobodny oddech jesteś gotowy wywalić wszystkie mądre księgi do pieca.

Podobno Buddę kiedyś zapytano, czy Bóg istnieje. Według jednego z apokryfów miał na to pytanie nie odpowiedzieć, według innej wersji, którą wolę dużo bardziej, zamiast odpowiedzieć na pytanie o Boga, uniósł do góry dłoń, w której trzymał kwiat lotosu, i milczał tak przez dłuższą chwilę, a potem dłoń opuścił. Wiem i czuję, że tutaj też nie będzie innej puenty poza opowiadaniem tej historii na nowo, jeszcze raz i jeszcze raz. Oprócz uniesienia w górę pustej kartki, bo nie każdy zdążył mieć zdjęcie, zapisać chociażby dwa słowa do bliskich na grypsie z Pruszkowa. Nie będzie nic oprócz milczenia i życzenia, żeby nie zagłuszył tego wszystkiego syk rac, wrzaski, skandowanie i pohukiwania, żeby nikt tą historią za łatwo nie mógł sobie wycierać gęby.

Pamiętam, że zanim był syk rac i kibicowska estetyka — Godzina „W” wyglądała inaczej. Syreny wyły tylko w Warszawie, czasem zdarzało się, że gdzieś indziej, ale rzadko. Reagowali tylko ci, którzy wiedzieli i pamiętali naprawdę. Franciszek Kosiec szedł na Babią Górę. A od kiedy poznałem Franka — ja także starałem się tego dnia coś robić w dobrej intencji. Nie zawsze się udawało, bo Godzina „W” chwytala ludzi tak jak szli, stali, jechali, samotnych, z rodzinami, w czasie zakupów, wychodzących z pracy, jedzących obiad, pijących popołudniową kawę. Zachowywali się różnie. Niektórzy parli nadal w swoim kierunku, mieli jakiś życiowy cel, na teraz, na już i nic ich nie zatrzymywało. Inni przystawali, jakby ich coś trafiło. Było w tym coś prawdziwego. Godzina „W” tak sa-

mo złapała w kadrze milion Warszawiaków — w milionie ich codziennych, okupacyjnych spraw.

Od lat miga mi tego dnia postać Krystyny Kraheleskiej²³¹. Tak, tej samej, która napisała jedną z najbardziej znanych piosenek polskiego podziemia — *Hej chłopcy, bagnet na broń*. Gdyby ktoś chciał sobie wyobrazić, jak wyglądała Krystyna Kraheleska, nie musi szukać jej zdjęcia, wystarczy, że pójdzie w Warszawie nad Wisłę i popatrzy na pomnik warszawskiej Syreny. Krystyna Kraheleska pozowała Ludwice Nitschowej do opracowania korpusu i głowy pomnika. Robiła to w tajemnicy. Sama Ludwika Nitschowa mówiła o tym tak:

„Wyrzeźbiona przeze mnie twarz Syreny warszawskiej jest twarzą Krystyny zmonumentalizowaną, aby nie było tak łatwo rozpoznać Krysię, chodzącą ulicami, co by ją może krępowało. Bo chodziła ulicami warszawskimi prosta, wysoka, jaśniejąca uśmiechem wewnętrznej młodzieńczej radości i siły, gotowa na wszystko, co uczciwe, sprawiedliwe i piękne”.

Nie była rodowitą Warszawianką, urodziła się w roku 1914 w Mazurkach koło Baranowicz, na Kresach. Powiedzielibyście, że była „słoiem”, przybyszem zza Sokółki. Maturę składała w Brześciu nad Bugiem. Była harcerką, studiowała geografę, etnografię, historię, uczyła się śpiewu, pisała, komponowała i pięknie śpiewała. Wielkie miasto ją męczyło, wychowywała się przecież na wsi, wśród pól, łąk, lasów i podobno kiedy tylko mogła, uciekała z niego. Miała przed wojną narzeczonego, Stanisława Wujastyka, instruktora lotnictwa, który 18 września 1939 roku, unikając prawdopodobnie rozstrzelania w Katyniu, przekroczył granicę z Rumunią i tułał się od Algieru po Wielką Brytanię i Włochy jako lotnik. Pisała do niego regularnie, a on nie odpisywał, nie tylko dlatego, że los rzucał go w różne strony. Również dlatego, że w Wielkiej Brytanii ożenił się i jakoś brakowało mu odwagi, żeby napisać o tym swojej przedwojennej narzeczonej. Ostatecznie Krystyna dowiedziała się o tym pośrednio, od swojej przyjaciółki. To mógł być rok 1943, może początek 1944. Wujastyk ożenił się jeszcze trzy razy, umrze w roku 2012 w Monachium.

W Powstaniu Warszawskim Krystyna Kraheleska ps. „Danuta” została przydzielona do 1108 plutonu Zgrupowania „Jeleń”, które w godzinie „W” miało uderzyć na Dom Prasy przy ulicy Marszałkowskiej 3/5. Jak wiele innych uderzeń w Godzinie „W”, także i to — mimo że ruch miejski, jak powiadali dowódcy Powstania, miał „przykryć” koncentrację oddziałów i sprzyjać zaskoczeniu — nie udało się. Niezastąpiony Stanisław Podlewski tak napisał na podstawie zebranych relacji o ostatnich chwilach Krystyny Kraheleskiej:

„Po chwili z różnych stron budynku padają strzały. Pchor. „Tur” zostaje postrzelony w głowę. Sanitariuszka „Danuta” zakłada rannemu opatrunek. Pod niezwykle silnym ogniem powstańcy wycofują się do ogródków działkowych na Pole Mokotowskie. W pewnej chwili sanitariuszka „Danuta” pada ranna na ziemię. Pchor. „Wrzos” i jakaś sanitariuszka biegną, aby udzielić pomocy. Danuta Krzyczy głośno:

— Nie podchodźcie, bardzo silny ogień!

Pchor. „Wrzos” i sanitariuszka podczołgują się do rannej, która wciąż krzyczy:

— Zostawcie mnie proszę... Ja sama...

Około godziny 8 z punktu sanitarnego na Polnej zostaje wysłany patrol sanitarny do ogródków działkowych na Polu Mokotowskim. Nieprzytomną sanitariuszkę „Danutę” odnoszą do szpitala”.

Siostra poetki, Halina:

„ona upadła nie na bruk, co byłoby dla niej straszne, ona upadła na pole działkowe, leżała wśród słoneczników, kartofli, buraków, na tej ziemi, która dla niej była wszystkim”.

²³¹ Krystyna Kraheleska ps. „Danuta” (1914–1944) — harcerka, poetka, żołnierz ZWZ/AK od grudnia 1939 r., w powstaniu w stopniu kaprala sanitariuszka I dywizjonu „Jeleń” 7 Pułku Ułanów Lubelskich AK. Zmarła 2 sierpnia z ran odniesionych w walce. Autorka znanej piosenki powstańczej *Hej, chłopcy, bagnet na broń*. [przypis edytorski]

Krystyna Kraheńska została postrzelona zaraz po godzinie 17:00 trzema kulami w płuco. Nie był to raczej żaden snajper, jak twierdzą niektórzy. Ten postrzeliłby ją raczej jednym strzałem, jak Andrzeja Morro Romockiego w serce albo jak Krzysztofa Kamila Baczyńskiego w głowę. Charakter rany wskazuje raczej na broń automatyczną. Leżała ponad dwie godziny wśród słoneczników, z tymi trzema przestrzelinami w płucu, a życie pomatu wychodziło z niej i wsiąkało w ziemię. Około północy zoperowano ją w szpitalu przy ulicy Polnej. Nadaremno. Zmarła o czwartej nad ranem 2 sierpnia 1944 roku.

Mam niejasne przeczucie, że tego, co mogła czuć, leżąc wśród słoneczników, o czym mogła myśleć, pomatu tracąc przytomność — nie będzie umiała zrekonstruować żadna grupa rekonstrukcji historycznej.

Zgrupowanie „Jelen” nie walczyło już po godzinie „W” jako całość. Poszczególne plutony działały w ramach innych zgrupowań, m.in. przeszły do Kampinosu i przeszły szlak bojowy aż do fatalnej bitwy pod Jaktorowem. Straty zgrupowania między 1 sierpnia a 29 września 1944 roku przy stanie wyjściowym 233 ludzi wyniosły 125 zabitych i 98 rannych — 223 ludzi, czyli 96%.

Pomnik Syreny na Powiślu nie został w czasie wojny rozebrany ani zniszczony. Po wojnie jedynie załatano około 30 przestrzelin. Dzisiaj stoi w tym samym miejscu, gdzie został odsłonięty w sierpniu 1939 roku.

JEDYNA ZAPŁATA

Być może jedynym rodzajem życia wiecznego, a na pewno jedynym dostępnym w codziennym doświadczeniu, jest pamięć. A pamięć jest pracą, ciągłą, nieustającą pracą bez żadnej zapłaty. Jedyną zapłatą może być pamięć innych. To tam oni wszyscy są, tam mają twarze, są jeszcze młodzi, są jeszcze nietknięci, jeszcze nic nie wiedzą. Tak ich nosiłem — natchniony przykładem Franka Kościa — 1 sierpnia w różne miejsca. Przystawałem o godzinie 17:00, pamiętając, że tego dnia w Warszawie strzały rozlegały się też wcześniej, bo koncentrację kilkudziesięciu tysięcy chłopców i dziewcząt nie zawsze dawało się ukryć. Szukałem dobrych słów do tej corocznej liturgii, moich prywatnych guseł. Próbowałem co rok pamiętać więcej, lepiej, dokładniej, być z nimi w ten dzień i kolejne dni, do końca.

Któregoś roku było pochmurno, wysiadłem na przystanku w Sopotni Wielkiej u stóp masywu Pilska i ruszyłem w mżawce, przeradającej się z czasem w niezbyt ulewny deszcz, zielonym szlakiem na Halę Górową. Chciałem następnego dnia zrobić cały szlak od Górowej przez Pilsko, Jaworzynę, Głuchaczki, Mędralową do Babiej Góry i zanoć na Markowych Szczawinach. Przewodnikowo około ośmiu godzin, może dziewięciu, ale z licznymi podejściami i zejściami, które jak wiadomo bardziej wyczerpują niż jedno solidne wejście i zejście. Chciałem dojść do Polany Górowej na tyle wcześnie, żeby się najęść, wypocząć i wyspać. Wyliczyłem, że koło siedemnastej powinienem być w okolicach baczówki. Myliłem się. Od zeszłego roku szalał tutaj wiatr, połamał wiele drzew, utworzyły się spore wiatrołomy, w lesie pracowały maszyny, ludzie i konie, zwożąc pocięte pnie drzew, złobiąc wokół ścieżki głębokie koleiny pełne śliskiego błota, płatów kory, wiórów drewna. Szło się jakoś niedobrze, chociaż z intencją, jak przykazał Franek, ale ciężko, mozolniej niż zimą czy jesienią. Gdzieś w jednej trzeciej drogi spotkałem konia i człowieka w kłębach pary z wydychanego powietrza, zatem musiało być też chłodno. Tak to pamiętam.

Za strumieniem na kolejnym zboczku zawałonym wiatrołomem, przez który była już przebita droga, w końcu stanąłem. Chwilowo nie padało. Oparłem plecak na pniaku, który musiał być starszy niż większość tutaj. Był siwy tak, że sprawiał wrażenie suchego. Wygrzebałem zawiniątko z suchą bułką, kawałkiem kielbasy z jednej kieszeni plecaka, butelkę z wodą z drugiej, a z kłapy nieśmiertelny wafel „Teatralny”. Usiadłem na plecaku, w którym wszystko miałem popakowane w worki foliowe, wedle znanej mądrości turysty, że nie ma rzeczy nieprzemakalnych, są tylko mniej lub bardziej przemakalne. Było cicho. Nawet wiatr nie wiał. Może szmer wilgoci spływającej z potrząskanych pni, wsiąkającej w ziemię. Bardziej wyobrażony szmer niż rzeczywisty. Jadłem, piłem, patrzyłem. Nic mnie nie rozpraszało. Po chwili wygrzebałem z komory plecaka kolejne zawiniątko w worku

foliowym — książka na drogę, nie pamiętam jaka, zeszyt do zapisków, wówczas jeszcze mających formę dziennika, pamiętnika i wiersze wybrane Anny Świrszczyńskiej.

Zacząłem czytać na głos zbiór *Budowałam barykadę*, punktualnie o piątej, pamiętając, że to tylko jedna z wielu godzin, o której można było to zrobić. Nikt mnie nie słyszał. A jednak głos mi się łamał, jakby oni wszyscy tam wtedy byli obok. Wiatrołom wokół żył, chociaż wydawało się to życie skarłale. Wielkie pomrowy znaczyły ślady na liściach lopianu, mech porastał powalone drzewa, nadal piękne. Piętrzyły się wokół grube pnie, lepsze, szlachetniejsze od najlepszych samosiejek, które wyrastały nieśmiało spomiędzy rumowiska. Czytałem Świrszczyńską wers po wersie, wiersz po wierszu i płakałem, tak jak teraz, kiedy piszę te słowa. I tak jak teraz — nikt tego nie widział. Ale przecież miało to miejsce.

Chmury szły coraz wyżej, co jakiś czas przebijają zza nich blade słońce, a ja czytałem na głos ślimakom, wszelkiej drobinie leśnej. Zatrzymałem się, łapałem oddech i znowu czytałem. Chciałem, żeby ta chwila trwała bez końca, chociaż przecież na Górową warto byłoby zejść za dnia, rozbić namiot, rozpalić ognisko, spojrzeć gwiazdy. Chociażby dlatego, że oni — już nie mogą.

Po kilkudziesięciu minutach, jakby obudzony z długiego snu, wstałem i podniosłem plecak, na którym odcisnęła się wilgotna plama od pniaka, który tylko wyglądał na suchy. Wytarłem zasmarkany nos w rękaw, zapakowałem się ponownie i ruszyłem dalej. Szło się źlej. Może to złudzenie, może w rzeczywistości byłem bliżej celu niż myślałem, przystając o piątej. Na polanie byłem na długo przed zmierzchem. Rozbiłem namiot, umyłem się w strumieniu za baczówką, na wspólnym ogniu podgrzałem jakąś puszkę, dojadłem resztę suchych bułek, wraz z innymi posiedziałem chwilę przy ogniu wśród niespiesznych rozmów. Niebo się zupełnie przetaiło, o zmierzchu powiał cieplejszy wiatr z dolin. Nazajutrz zapowiadał się ładny dzień, w sam raz na długą wędrówkę.

Kielczów 2.11.2018 roku

[*Franciszkwowi Koścowi (1939–2018) i Joli Ronikier-Kosiec (1946–2016)*]



Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest udostępniony na licencji *Licencja Wolnej Sztuki 1.3*.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/wisniewski-palimpsest>

Tekst opracowany na podstawie: źródło

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Redakcję historyczną wykonał Artur Wodzyński. Ilustracje: Tomasz Bohajedyn, Licencja Wolnej Sztuki 1.3. Projekt współfinansuje m.st. Warszawa.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Artur Wodzyński, Paweł Koziol.

ISBN 978-83-288-5730-8

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).